

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



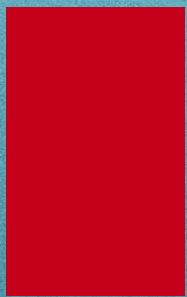
FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Z kogo się śmiejemy?
Takiego prezydenta
chcieliśmy • Skąd się wziął
Nadieżdin? Odpytujemy
rywala Putina



WYSOKIE OBCASY

**Wibrator, Tinder
i MeToo.** W XXI
wieku znowu mamy
problem z seksem



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Czarnek zastąpi Kaczyńskiego?

FOT. PATRYK OGORZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Kresowiaczy
Sowietom myśleli,
że Polacy chętnie
wyjadą



**Ja Boria,
ty Lech**
Toasty przepustką
do NATO

Tomasz Lis
Kto ma problem
z Leszkiem
Millerem?

Piękni ludzie
Karły, nudyści,
transwestyci,
kaleki, biedacy

Agnieszka
Kublik

Telewizor zamiast politruka

Gdyby spisywać najdziksze absurdy władzy PiS, ten rozkaz znalazłby się na szczycie listy. We wrześniu 2016 r. gen. Robert Głęb, dowódca Garnizonu Warszawa, rozkazał: „Polecam, aby podstawowym źródłem informacji pozyskiwanych z mediów w codziennej działalności służbowej były programy telewizji publicznej, w szczególności TVP Info”.

Trudno zgadnąć, jaka myśl przyświecała generałowi. Może chodziło o to, by żołnierze zgodnie z wymogami nowoczesnej armii zdobywali bieżącą, wiarygodną wiedzę o świecie, a poznając różne punkty widzenia, trenowali elastyczność myślenia? W takim razie pomylił stację.

Gen. Głęb dostał funkcję z rekomendacji szefa MON Antoniego Macierewicza. Cenił go i Mariusz Błaszczak – w czerwcu 2021 r. powierzył mu stanowisko zastępcy szefa sztabu ds. zarządzania zasobami w Sojusznicznym Dowództwie Transformacyjnym w Norfolk. Czego tam zakazywał?

W styczniu gen. Tomasz Dominikowski wydał nowy rozkaz: „Szanowni państwo, wolność pozyskiwania informacji, podobnie jak zakaz cenzury prewencyjnej, wynikają wprost z art. 54 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. W związku z powyższym uchylam polecenie wydane w dniu 23 września 2016 r. dotyczący TVP Info”.

Zdaje się, że za PiS dowództwo zajmowało się głównie rozkazywaniem, czego żołnierzom nie wolno. Skąd taki wniosek? Błaszczak oburzony, że wojsko grało w tym roku z WOŚP, założył, że to „na rozkaz”. Musiał być rozkaz „grać”, bo w wojsku jest wszystko na rozkaz – tak sobie myśli. Bo przecież za PiS wojsko

z Owsiakiem nie koncertowało, właśnie na rozkaz.

Tak samo na rozkaz pisowska KRRiT nie przelewa na konto TVP 39 mln zł. To nie są jej pieniądze, ale wpłaty z abonamentu. Jednak szef KRRiT Maciej Świrski uznał – wyręczając władzę sądowniczą – że władze TVP są nielegalne, więc nie zamierza ich finansować. Pieniądze oddał w depozyt do sądu, by to sąd zdecydował, do kogo należą. Dziwne, do tej pory było jasne, czyj jest abonament.

A co będzie, jeśli sąd Świrskiemu racji nie przyzna? Jakiś szturm, może z Kaczyńskim, Kamińskim i Wąsikiem? Są kompetentni, bo intensywnie trenują kwestionowanie wyroków sądu i szturmowanie Sejmu.

Tak samo na rozkaz prezydent Duda zawetował ustawę o budżetową, byle tylko nie wesprzeć TVP i Polskiego Radia papierami skarbowymi. Choć wcześniej i Duda, i KRRiT nie potrzebowali rozkazu, by ogromnymi kwotami dotować TVP, w tym zastępujące oficerów polityczno-oświatowych TVP Info.

Dziś widać, kto jeszcze wykonuje rozkazy – choćby Trybunał Julii Przyłębskiej czy Sąd Najwyższy Małgorzaty Manowskiej.

To jak przyznanie się do winy. Bardzo na rękę nowej władzy. ●

Andrzej rysuje



Francja Pięknie spatynowane złoto



FOT. REUTERS/STEPHANIE LECOCQ

Charles Coste, zdobywca złota w kolarstwie torowym na olimpiadzie w Londynie w 1948 r., udziela wywiadu z okazji setnych urodzin. Jako najstarszy żyjący francuski medalista w lipcu poniesie znicz olimpijski na ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu. I zapewne wreszcie usłyszy należną mu „Marsylianke” – podczas dekoracji 76 lat temu nie zagrano hymnu kraju zwycięzcy, bo ponoć Brytyjczycy zgubili płytę.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

J5NZ93P

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 10–11.02.2024 r.

Super Bowl Cała Ameryka na jednym stadionie

W niedzielę w największym sportowym show w USA, staną naprzeciw siebie futboliści San Francisco 49ers z kalifornijskiego, liberalnego wybrzeża i Kansas City Chiefs z konserwatywnego Midwestu „rednecków”. Trybuny futbolu amerykańskiego są bielsze i bardziej prawicowe niż grupy fanów w innych zawodowych sportach w USA, ale na środku boiska jest inaczej. Głośna była grupa czarnych graczy kłękających w proteście przeciw przemocy policji, wspomagana przez białych, takich jak grający w Chiefs na ofensywnej pozycji tight end Travis Kelce. Postawa graczy i ligi NFL zraziła do nich wyznawców Make America Great Again. Na forach skarżą się, że boisko jest dziś matczym lewakiem. Zabójczo przystojny Kelce, najlepszy tight end w historii, popierający ruch Black Lives Matter i szczepienia przeciw COVID, jest przedmiotem ich uczuć będących mieszanką zawiści i podziwu.



FOT. REUTERS/KIRBY LEE

W dodatku ta Taylor Swift, dziewczyna Kelce'a! Jest agentką wpływu waszyngtońskich elit, ich narzędnikiem do odwrócenia niekorzystnych dla Bidena trendów wyborczych – to pogląd pro-Trumpowych kibiców.

W połowie meczu zaśpiewa nie Swift, lecz raper Usher. A sportowo faworytem są broniący tytułu Chiefs, czyli Wodzowie, bo grają na terytoriach Czejenów, Paunisów i Komanaczów. Mecz pierwszy raz odwiedza Las Vegas, więc pobije rekordy zakładów i oglądalności (za sprawą Swift i Kelce'a finał z 2023 r. oglądało 115 mln osób). Transmisja w Polsacie i Polsacie Sport o godz. 0.30 czasu polskiego z niedzieli na poniedziałek. ●

Radosław Leniarski

Cytat dnia

*Sztuczna inteligencja?
Już nie bardzo wiemy,
jak to dalej ulepszać.
Putin, terroryzm,
globalne ocieplenie
– tego się bardziej boję*



ALEKSIEJ EFROS
jeden z pionierów AI
• Rozmowa z nim
► Wyborcza.pl/nauka

Informatyka nie jest kobietą

0
PROC.

• zatrudnionych w branży technologicznej to kobiety, w zaawansowanych technologiach, takich jak AI – 5 proc. Nieco więcej kobiet – 13 proc. – jest w kadrze zarządzającej firm high-tech. Te dysproporcje będą się zmieniać, bo mimo ekspansji AI zapotrzebowanie na specjalistów rośnie – w samej tylko dziedzinie cyberbezpieczeństwa brakuje 300 tys. osób.



FOT. SHUTTERSTOCK

5 rzeczy,
których nie wiedzieliśmy tydzień temu

Nasi nowi przodkowie

1 Skamieliny prastarych wielokomórkowych eukariotów – organizmów, które dały początek zwierzętom i roślinom – odkryli uczeni z Chińskiej Akademii Nauk i Harvardu. Ślady organizmu złożonego z 20 cylindrycznych komórek, przypominającego konstrukcją współczesne rośliny, znaleziono w skale sprzed 1,635 mld lat; najstarsze skamieliny liczyły miliard. *Qingshania magnifica* była fotosyntezującym, zielonym glonem.



FOT. ESA, SHUTTERSTOCK

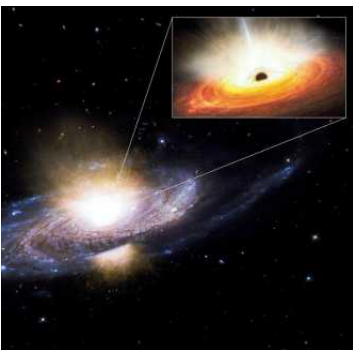
Pierwsi alpinści

2 W „Nature” oraz „Nature Ecology & Evolution” międzynarodowy zespół naukowców udowadnia, że blisko 45 tys. lat temu człowiek współczesny (*Homo sapiens*) zamieszkiwał – lub czasowo tam przebywał – grotę Ilsenhöhle (dziś w miejscowości Ranis w środkowo-wschodnich Niemczech). To dowód, że człowiek współczesny przekroczył Alpy, zanim w Europie wymarli neandertalczyki.



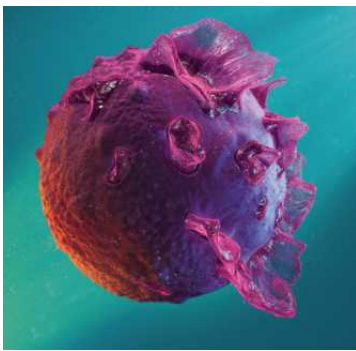
Zdumiewająca czarna dziura

3 Odkryta w galaktyce Markarian 817 (430 mln lat świetlnych od Ziemi) ogromna czarna dziura generuje ultraszybki wiatr, choć nie jest szczególnie aktywna – to znaczy nie pochłania materii tak „łapczywie” jak znane dotąd czarne dziury napędzające gazowe wiatry. To sugeruje, że czarne dziury mogą wpływać na swoje macierzyste galaktyki w znacznie większym stopniu, niż sądzono.



Nowa forma życia

4 Tylko czy to naprawdę życie? Obeliski – nazwane tak przez naukowców z Uniwersytetu Stanforda – zasiedlają bakterie żyjące w naszych ustach oraz jelitach. Jeszcze mniejsze i prostsze od wirusów są spłaszczone kręgami RNA. Na razie nie wiadomo, jak reagują z otoczeniem, ale biolodzy uważają, że mogą zmniejszać aktywność genetyczną swoich bakteryjnych żywicieli, co może wpływać na ludzkie geny.



Księżyc się kurczy

5 Amerykańscy naukowcy odkryli, że Księżyc jest aktywny tektonicznie. Uformował się z gorących popiołów po uderzeniu w Ziemię asteroidy i wciąż stygnie, co powoduje silne naprężenia powierzchni. Do dość silnych, trwających godzinami trzęsień ziemi dochodzi wzdłuż uskórków, zwłaszcza w pobliżu bieguna południowego. Tam, gdzie mają lądować astronauta NASA.

Tomasz Ulanowski



Więcej ► [Wyborcza.pl/nauka](https://wyborcza.pl/nauka)

Kaczyński czuje, że przegra kolejne wybory

Morale siada

Plan Morawieckiego nie jest sexy, a Tusk idzie po dwa kolejne wyborcze zwycięstwa

Wielowieyska



Odrzewanie emocji w sprawie Kamińskiego i Wąsika jest aktem rozpachy i niemocy PiS. Jarosław Kaczyński chce podtrzymać wzmożenie twardego elektoratu w wyborach samorządowych i europejskich, bo widzi spadające notowania. Obydwa głosowania mają zazwyczaj niższą frekwencję niż wybory parlamentarne, więc to pojedynki na twarde elektoraty. Kaczyński zdaje sobie sprawę, że skoro Tusk zrezygnował z koalicji z Lewicą w wyborach samorządowych, to jest pewny, iż KO wypierdzi PiS. Stąd rozpaczliwe próby narzucenia agendy.

Jednak awantura z Kamińskim i Wąsikiem nie przyniesie wzrostów. Szarpanina ze strażą marszałkowską i policjantami raczej zaszkodzi, niż pomoże. Tym bardziej że jeszcze przed chwilą Kamiński, były szef MSWiA, uwielbiał hasło: „Murem za polskim mundurem”.

Nawet nieprawdziwe wieści o umierającym niemal w więzieniu Kamińskim nie zmieniły układu sił. Sondaże pokazują, że większość Polaków była przeciwko ulaskawieniu obu polityków i uznaje, że stracili mandaty. Logika jest także po stronie koalicji rządzącej. Skoro prezydent ich ulaskawił i zdecydował o zatarciu wyroku, to oznacza, iż uznał wyrok II instancji skazujący polityków na dwa lata więzienia. A skoro ten wyrok istnieje, to jest oczywiste, że obaj stracili mandaty poselskie, bo wynika to wprost z konstytucji. Przyznała to zresztą posłanka PiS Olga Seme-

niuk-Patkowska w TOK FM, choć potem próbowała się wycofać, podkreślając, że procedura wygaszania mandatów i obsadzenia ich na nowo nie dobiegła końca.

I to prawda. PKW nie wie, co zrobić. To efekt chaosu prawnego, który PiS pozostawił, ale nie można temu chaosowi ulegać. Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego ostatecznie się skompromitowała. Próbowala zanegować wyrok sądu, rażąco przekraczając kompetencje. Upierała się, że pierwsze ulaskawienie było ważne. Tymczasem rola SN w tej procedurze jest czysto techniczna. Prezydent sam dobił symbolicznie i merytorycznie neosędziów w SN, uznając wyrok II instancji i ulaskawiając obu polityków – tym razem skutecznie.

Wydarzenia wokół Wąsika i Kamińskiego udowodniły potrzebę resetu w SN. Neosędziowie potwierdzili, że Izba ta powstała tylko po to, by chronić działaczy PiS przed odpowiedzialnością.

Nowa ofensywa Kamińskiego i Wąsika, którzy próbowali wejść na salę obrad, ma w PiS sporo krytyków, głównie skupionych wokół Morawieckiego. Część partii uważa, że trzeba wyjść z nowymi tematami, bo podgrzewanie sprawy mandatów wręcz pomaga rządowi uniknąć trudnych tematów. Poza tym na liście podsłuchiwanym Pegasussem jest sporo ludzi PiS. Jeśli ta lista wycieknie, to nastroje antykamińskie i antywąsikowskie wzrosną. Działacze mogą uznać, że obaj panowie są cwani, bo zapewnili rodzinom świetne posady – np. Kacper, syn Kamińskiego, dzięki wsparciu Glapińskiego zarabia masę pieniędzy w Banku Światowym – a innych, którzy też by chcieli trochę zarobić, służby Kamińskiego inwigilowały.

Nie wpływa to dobrze na morale aparatu partyjnego. Jacek Gądek z Ga-

zeta.pl napisał, że w partii krąży lista polityków PiS, których służby podsłuchiwały. Jest na niej wielu prominentnych działaczy, np. Marek Suski, Marek Kuchciński czy Ryszard Terlecki. Nie wiadomo, czy jest prawdziwa, ale sieje ferment. Kamiński na platformie X stwierdził, że ta informacja to fałszywka, i wezwał kolegów partyjnych, by nie dali się podzielić. Ale czy działacze uwierzą? Podczas obrad władz PiS w grudniu Kamiński stwierdził, że może to dobrze, że PiS nie ma trzeciej kadencji, bo degrengolada moralna w aparacie partyjnym jeszcze bardziej by się pogłębiła. To może świadczyć, że tropił kolegów.

Mogło to się dzieć na polecenie Kaczyńskiego, którego życiorys jest naznaczony walką ze spiskami, zdradami i rozłamami. Zdradzali prezesa i Macierewicz, i Ziobro, i wielu innych. Kaczyński wołał więc wiedzieć, o czym rozmawiają, aby bunt można było zdusić w zarodku. A przy okazji sprawdzał, kto jest łapówkarzem, a kto nie. Od zawsze haki na działaczy dawały mu poczucie, że panuje nad swoim obozem.

Z pozoru prezydent Duda też podkreśla sprawę Wąsika i Kamińskiego: skierował do Trybunału Julii Przyłębskiej ustawę budżetową i zapowiedział, że wyśle tam każdą ustawę, jeśli będzie uchwalana bez ich udziału. Ale kluczowe jest to, że podpisał budżet, więc tak naprawdę wielkiej awantury z rządem nie chce.

Ludzie w PiS mogą być zli na Kamińskiego i Wąsika: swoich krewnych ustawili, a kolegom, którzy też chcieliby zarobić, podsłuchiwali Pegasussem

Stan gry jest prosty: rząd będzie drukował rozmaite postanowienia Trybunału z adnotacją, że według wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka jest to sąd konstytucyjny wadliwie obsadzony. A następnie nikt tych decyzji nie będzie wprowadzał w życie. Jeśli Duda podtrzymuje sprawę Wąsika i Kamińskiego, to głównie z powodów symbolicznych: nie chce się odcinać od środowiska PiS, a poza tym naprawdę uważa, że sąd wydał niesprawiedliwy wyrok. Jego zdaniem mieli prawo urządzić prowokację, bo ludzie ze środowiska Samoobrony przechwalali się, że za łapówki załatwią wszystko. O tym, że takie sygnały były, można przeczytać w uzasadnieniu wyroku II instancji.

To już jednak pieśń przeszłości: panowie są ulaskawieni i mało kto chce do tego wracać. Natomiast w świadomości społecznej utrwalił się obraz, zgodnie z którym Kamiński i Wąsik chcieli zniszczyć Andrzeja Leppera, by przejąć posłów i wyborców Samoobrony.

Tak więc sprawa nie ma już wielkiego znaczenia politycznego i ewidentnie PiS buksuje w miejscu. Z drugiej strony przekonanie Morawieckiego, by nagłaśniać w Europie decyzje rządu Tuska jako bezprawne, też jest marne. PiS jest tu całkowicie niewiarygodny. To, że premierka Włoch Giorgia Meloni, z którą Morawiecki konferował niedawno, oburzy się na forum europejskim na Tuska i wesprze ją Orbán, też jest bez znaczenia. Poza tym uruchomienie jakiegokolwiek krytyki w Europie zakrawa na hipokryzję, bo wcześniej sam Morawiecki głosił, że ten, kto się skarży za granicą, jest targowicą.

Dlatego Kaczyński wybrał jednak opcję kręcenia awantury z Wąsikiem i Kamińskim: plan Morawieckiego wydaje mu się niezbyt sexy, a niczego ciekawszego nie ma w zasięgu ręki. ●

Dominika Wielowieyska

„To ten od traumy?” – spytał mnie ktoś, kiedy powiedziałam, że będę rozmawiać z Gaborem Maté. „Ten od traumy” to określenie, które często pojawia się obok nazwiska tego znanego kanadyjskiego lekarza i w zależności od nastawienia wypowiedziane jest – z szacunkiem, podziwem, wdzięcznością, dystansem, a czasem z sarkazmem.

Dla jednych Maté jest mistrzem. Dla innych – po prostu lekarzem. Dla jeszcze innych – autorem książek, które pokazują nieco inne spojrzenie na uzależnienia („W świecie głodnych duchów”), skutki przewlekłego stresu („Kiedy ciało mówi nie”), ADHD („Rozproszone umysły”) czy to, jak warunki społeczne, ekonomiczne, polityczne wpływają na zdrowie (o tym jest jego ostatnia książka pt. „Mit normalności. Trauma, choroba i zdrowienie w toksycznej kulturze”, którą napisał wraz z synem Danielem).

Krytyków też nie brakuje. Niektórzy zarzucają mu, że wiążąc wiele przewlekłych chorób z traumą psychiczną, zanadto upraszcza, choć dowodów naukowych pokazujących te zależności jest coraz więcej. Innym nie podoba się jego pozytywny stosunek do stosowania psychodelików w leczeniu (na przykład pacjentów terminalnie chorych), a jeszcze mniej podobają się im jego wycieczki w głąb południowoamerykańskiej puszczy, gdzie uczestniczy w ceremoniach ayahuaski. Dla indiańskich szamanów, którzy je prowadzą, to tradycyjne rytuały o leczniczym potencjale (uczestnicy piją napar z rośliny o psychodelicznych właściwościach, a potem wchodzą w trans, który ma dać im wgląd w ich problemy). Dla sceptyków – to jeszcze jeden sposób na narkotyczny odłot. Z tego powodu też niektórzy wrzucają dorobek Maté do przegródki z etykietką „New Age”, choć on sam otrzymał klasyczne, medyczne wykształcenie, ponad 20 lat przepracował jako lekarz rodzinny w Vancouver, a przez kilkanaście lat leczył osoby uzależnione.

Zarówno entuzjaści, jak i krytycy Maté doceniają jego spojrzenie na zdrowie psychofizyczne, które postrzega on jako wypadkową osobistej historii oraz kontekstu społecznego, w jakim przyszło człowiekowi żyć. Maté mówi osobom cierpiącym: ma znaczenie, czego doświadczyłeś jako dziecko, nastolatek, młody dorosły. Przemoc fizyczna, psychiczna, bycie świadkiem przemocy, uzależnienia bliskich, choroby psychiczne w rodzinie, wykluczenie, ale też zaniedbanie, chłód, nierealistyczne wymagania miały na ciebie wpływ. I będą go mieć, dopóki się z tym nie zmierzysz. Ale wpływ ma na ciebie również to, jakimi ludźmi się dziś otaczasz, w jakich warunkach pracujesz, jaka jest twoja sytuacja materialna, jaką rzeczywistość kształtują politycy, media, jakie wartości premiuje kultura. I gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla ciebie.

– Najcenniejsze przesłanie, jakie można wynieść z jego nauk brzmi: „To nie twoja wina” – mówi terapeutka pracująca z osobami uzależnionymi w filmie o Maté pt. „Mądrość traumy”, który obejrzało ponad 5 mln ludzi na świecie. Czyż nie jest to odświeżająca perspektywa w kulturze, która tak często podkreśla, że wyłącznie od nas zależy, jak wygląda nasze życie? Oraz zdrowie?

„To nie twoja wina” nie oznacza wyzbycia się odpowiedzialności. Przeciwnie. Oznacza gotowość do przyjrzenia się temu, co się kiedyś wydarzyło i w czym tkwimy obecnie. Bez zrozumienia tego, twierdzi Maté, nie ma mowy o zdrowieniu. Sam model biologiczny to za mało, żeby wyjaśnić, skąd się wziął nasz zły stan. „Przewlekła choroba – psychiczna lub fizyczna – jest w dużej mierze pochodną lub cechą tego, jak się rzeczy mają, a nie usterką; stanowi konsekwencję naszego życia, a nie tajemnicze wynaturzenie” – pisze w „Micie normalności.”

Niedawno skończył 80 lat. Od kilku lat jest na emeryturze, lecz wciąż jeździ po świecie z wykładami, pisze (kolejna książka, nad którą pracuje również z synem, dotyczy relacji dorosłych dzieci z rodzicami), a także szkoli lekarzy i terapeutów w podejściu, które nazwał „compassionate inquiry” – współczującym dociekaniem. Ta metoda, w dużym uproszczeniu, pozwala uświadomić sobie, jakie strategie kiedyś pomagały nam przetrwać (na przykład tłumienie złości wobec osób, od których byliśmy zależni), ale dziś już nam głównie szkodzi. Co opowiadamy sobie i innym o tym, kim jesteśmy, a kim jesteśmy naprawdę. Ta świadomość jest ważna. Nie po to, by na okragło, jak mawia Maté, „mieć przeszłość”, ale po to właśnie, żeby się od niej uwolnić. I wypracować nowe, zdrowsze sposoby reagowania.

Nieświadomiona trauma, twierdzi Maté, nie tylko sprawia, że emocjonalnie utykamy w prze-



szłości. Ale też „zniesztalca postrzeganie siebie i innych”, „okrada z bogactwa chwili obecnej”, „zatrutwa nasze związki”, „odbiera radość z życia”, „ogranicza nasz potencjał”. Jednym słowem: uniemożliwia dobre życie.

Żeby to zilustrować, Maté często odwołuje się do własnej biografii. Urodził się w styczniu 1944 r. w Budapeszcie w rodzinie węgierskich Żydów. Kiedy jego ojca zamknięto w obozie pracy, a dziadków zgładzono w Auschwitz, matka oddała go obcej osobie na przechowanie, szukając dla nich bezpiecznego miejsca. Rozłąka trwająca pięć czy sześć tygodni odcisnęła piętno na 11-miesięcznym chłopcu, który odebrał ją jako zwyczajne porzucenie. Wczesne lata Maté to życie w cieniu pogrążonej w żalobie i lęku matki, a potem w wieku 12 lat emigracja do Kanady i adaptacja do nowej rzeczywistości. Wybór kariery lekarskiej nie był przypadkowy. Jak dziś przekonuje Maté: „Dziecko, które nie czuje się kochane, lubi czuć się potrzebne. Bycie lekarzem gwarantuje to niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę”.

Mniej więcej do czterdziestki Maté nie dotykał ani swojej przeszłości, ani traumy rozłąki. Im bardziej pogrążał się w pracoholizmie, tym bardziej oddalał się od swojej rodziny – żony i trójki dzieci. Bywał nieprzystępny, opryskliwy, mroczny, skupiony wyłącznie na zawodowym sukcesie. Dopiero głęboka depresja zmusiła go do zajęcia się sobą i rozpoczęła przemianę, która trwa do dziś. W „Micie normalności” opisuje, jak jeszcze parę lat temu jako sie-

Dopiero kiedy ludzie poważnie zachorują albo rozpada się im związki, tracą kogoś bliskiego – zaczynają się zastanawiać: kim jestem i czy żyję swoim życiem?

demdziesięciokilkuletek potrafił zrobić żonie piekło dotknięty do żywego tym, że nie miała czasu odebrać go z lotniska (droga do domu zajęła mu 20 minut taksówką). Piekło to kiedyś potrafiło trwać tydzień, dziś trwa najwyżej dobę, co podobno jest miarą jego osobistego sukcesu. A wygląda tak: „(Po powrocie do domu) Warknąłem »cześć«, które zabrzmiało bardziej jak oskarżenie niż powitanie, i ledwie wymieniałem z nią spojrzenia” – pisze. – Zwraçałem się do niej lakonicznymi burknięciami. Odwracałem wzrok, górną część twarzy miałem napiętą jak maska i bez przerwy zaciskałem szczękę. Co się ze mną działo? Czy tak wygląda reakcja dojrzałego dorosłego, któremu stuknął siódmy krzyżyk? Tylko na pozór. W takich przypadkach dorosłego Gabora jest we mnie bardzo mało. Większość tkwi w szponach odległej przeszłości”. „Tego rodzaju fizyczno-emocjonalne zakrzywienie czasu, uniemożliwiające mi cieszenie się chwilą, jest jedną z oznak traumy i motywem przewodnim wielu ludzi w naszej kulturze. W rzeczywistości tkwi ona w nas cierniem tak głęboko, że wiele osób nawet nie zdaje sobie sprawy z jej istnienia” – tłumaczy. I dalej: „Trzeba przyznać, że moja żona nie pozwala mi wymigiwać się od odpowiedzialności za sytuacje takie jak lotniskowy foch przez zrzucanie całej winy na nazistów, faszystów i traumy z niemowlęctwa. Tak, moja historia zasługuje na współczucie i zrozumienie – a ona dała mi ich pod dostatkiem – lecz w pewnym momencie wymówka »to przez Hitlera« już nie przejdzie. Odpowiedzialność można i trzeba brać na siebie. (...) Tak naprawdę wielkim błogosławieństwem było poślubić kogoś, kto ma zdrowe granice, widzi mnie takim, jakim jestem teraz, i nie zamierza dźwigać ciężaru moich długich i nieprzewidywanych wizyt w odległej przeszłości. Ale też kogoś, można by dodać, kto rozumie, czym jest trauma i jaką ma moc”.

Io takie społeczeństwo walczy Maté. O społeczeństwo, w którym nie tylko każdy z osobna posiada taką wiedzę, ale w którym z taką wiedzą tworzy się kluczowe instytucje – ochronę zdrowia, edukację, prawo, polityki społeczne. Bo trauma ma wymiar

FOT. SHUTTERSTOCK



nie tylko osobisty, ale też zbiorowy. „Dotyka całe grupy i narody w różnych momentach dziejowych”. Nie mówiąc o tym, że strauumatyzowani ludzie stają na czele państw, globalnych korporacji i najważniejszych instytucji. Meblują nam rzeczywistość, a nierzadko i głowy.

W swoich wypowiedziach Maté wyraźnie zaznacza też, czym trauma nie jest. Przydatna wiedza w czasach, kiedy słowo to jest tak nadużywane. Traumą nie jest więc każda stresująca czy nieprzyjemna sytuacja. Nie jest nią też konstruktywna krytyka. „Wydarzenie jest traumatyzujące lub retraumatyzujące tylko wtedy, gdy coś człowiekowi odbiera, przez co rozumem pogłębienie wcześniejszych psychicznych (lub fizycznych) ograniczeń w sposób trwały” – pisze w „Micie normalności”. Nie jest traumą coś, co „nie krępuje, nie ogranicza, nie umniejsza zdolności do odczuwania lub myślenia, do ufania sobie lub broniienia swoich praw”. Nie jest traumą coś, co „nie umożliwia doświadczania bólu, smutku i strachu bez poczucia przytłoczenia albo konieczności uciekania w pracę lub kompulsywnego uspokajania się lub stymulowania w dowolny sposób”. Nie jest traumą coś, co „nie skłania cię ani do wywyższania się, ani do usuwania w cień w celu uzyskania akceptacji lub usprawiedliwienia własnej egzystencji”.

Najnowszą książkę Maté dedykuje żonie: „Najdroższej Rae, mojej partnerce życiowej, która ujrzała mnie, zanim ja mogłem ujrzeć siebie, i pokochała mnie całego, na długo przed tym, nim mnie udało się tego dokonać choć w części”. Oraz dzieciom: „rozsławiacie nasz świat”.

Medycyna jest coraz bardziej zaawansowana, a nasze zdrowie ma się coraz gorzej. Przybywa osób przewlekle chorych – na cukrzycę, nadciśnienie, choroby autoimmunologiczne, nowotwory. W zeszłym roku w samej Polsce wypisano ponad 450 mln recept. Do tego coraz więcej osób choruje na depresję, zaburzenia lękowe, uzależnia się. Kryzys psychiczny dotyka także dzieci

i nastolatków na niespotykaną dotąd skalę. Co się takiego dzieje?

– Niektórzy powiedzą: to wszystko biologia! Ale gdyby te problemy, które pani wymieniła, miały podłoże wyłącznie biologiczne, nie przyrastałyby w takim tempie, ponieważ biologia człowieka nie zmienia się sama z siebie. Musi być coś w środowisku, co na nią oddziałuje i czyni tę ogromną różnicę.

Perwersja, to właśnie robi społeczeństwo konsumpcyjne – bierze autentyczne ludzkie potrzeby i całkowicie je wypacza

Spójrzmy na zwierzęta w zoo. Powszechnie wiadomo, że żyją krócej i mają się gorzej niż te na wolności. Bo stworzenie wyrwane ze swojego otoczenia i przeniesione do takiego, w którym nie jest w stanie funkcjonować w zgodzie ze swoją naturą, po prostu zaczyna chorować. Podobnie jest z nami. Też żyjemy w zoo. Tyle że najczęściej nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Co chce pan przez to powiedzieć?

– Nas również wyrwano z naszego naturalnego środowiska.

Przez większość ewolucji – dziesiątki tysięcy lat – żyliśmy w małych grupach, w poczuciu więzi z otaczającą nas przyrodą, z innymi ludźmi. Byliśmy z naszymi dziećmi przez cały dzień. Cała wspólnota się o nie troszczyła oraz czuwała nad ich wejściem w dorosłość.

Na drodze tej ewolucji wykształciliśmy pewne potrzeby, takie jak właśnie związek z naturą, pragnienie bliskości z innymi, poczucie swobody, umiejętność bycia w kontakcie z własnymi uczuciami i działania w zgodzie z nimi. To są nasze prawdziwe potrzeby! Żeby było jasne, nie twierdzę, że powinniśmy wrócić do pradawnych czasów. Twierdzę jedynie, że tworząc cuda współczesnej cywilizacji, zapomnieliśmy, kim jesteśmy. Społeczeństwo konsumpcyjne, a w takim żyjemy, wychodzi z założenia, że ludzie są chciwi, samolubni, skoncentrowani na sobie, zachłanni i agresywni...

A nie są?

– Bardzo wiele osób nie jest, natomiast stworzyliśmy kulturę, w której to się stało dominującą etyką. A ludzie, którzy mają takie cechy, uważani są za wzór. Są naszymi liderami, autorytetami. Mówi się o nich, że odnieśli sukces. Osoby, które takich cech nie przejawiają, zostają w tyle.

Jako społeczeństwa oddalamy się więc od tego, co w nas autentyczne. Sposób, w jaki sprowadzamy dzieci na świat, w jaki je wychowujemy, jak je edukujemy, jak sami pracujemy i funkcjonujemy, jest coraz bardziej sprzeczny z naszymi potrzebami. I to jest, moim zdaniem, sedno problemu i główna przyczyna wielu chorób.

Od rewolucji przemysłowej dzieli nas przeszło 200 lat. Na pewno zdążyliśmy już przywyknąć do życia w uprzemysłowionym świecie, w wielkich miastach. Być może ta nasza prawdziwa natura jest już zupełnie inna?

– Oczywiście, że człowiek jest się w stanie zaadaptować praktycznie do wszystkiego, historia nieraz to pokazała. Ta adaptacja zachodzi zresztą od początku naszego istnienia. Jednak to, że łatwo się adaptujemy, nie oznacza, że będziemy optymalnie funkcjonować w każdych warunkach. Jedne nam sprzyjają, inne szkodzą. Możemy na przykład żyć na biegunie północnym czy na pustyni, ale nasze możliwości będą tam siłą rzeczy mocno ograniczone. Jeszcze raz podkreślę – nie chodzi o to, żebyśmy wrócili do stylu życia sprzed okresu tak zwanej cywilizacji. Chodzi o to, żebyśmy zobaczyli, czego nam brakuje. I co sprawia, że mamy się tak źle.

To czego nam brakuje?

– Proszę zauważyć, że dziś dzieci w bardzo wielu krajach spędzają większość dnia, czasem osiem, dziesięć i więcej godzin, z dala od troskliwych dorosłych. Gdybyśmy zechcieli zobaczyć, jaką cenę płacą za to zarówno one, jak i my, to może moglibyśmy to zmienić? Na przykład stworzyć takie przedszkola i szkoły, w których dzieci będą miały zapewnione nie tylko bezpieczeństwo fizyczne, ale będą też otoczone emocjonalną troską. Żeby to zrobić, nie musimy wcale wracać do dżungli. Wystarczy zmienić swoje wyobrażenie o tym, czym powinna być dobra edukacja, czemu ma służyć – czy temu, by tworzyć ludzi „sukcesu”, czy też ludzi, którzy są stabilni, potrafią dać oparcie sobie i innym? Być może dostrzegliśmy wtedy, że brak tej emocjonalnej troski przyczynia się do tego, że tyle dzieci boryka się dziś z depresją, zaburzeniami lękowymi czy ma myśli samobójcze.

Kolejna rzecz: porody. Nie wiem, jakie są statystyki dotyczące cesarskich cięć w Polsce...

Prawie połowa ciąż kończy się w ten sposób. To dwa razy więcej niż jeszcze 20 lat temu. I ta tendencja rośnie.

– Podobnie jak w wielu innych uprzemysłowionych państwach. I znów, współczesne położnictwo jest wspańiale, ratuje życie wielu matkom i noworodkom. Jednak ze względów medycznych w ten sposób powinno się rozwiązywać 10-15 procent ciąż, a nie 50 procent czy więcej. Natura wymyśliła poród w taki sposób nie tylko po to, żeby wypchnąć dziecko na świat, ale również po to, żeby stworzyć więź pomiędzy nim a matką. Dlatego podczas naturalnego porodu wytwarza się cały ten koktajl z oksytocyny, wazopresyny i innych więziotwórczych hormonów. Trend, który pozbawia matki i dzieci takiego doświadczenia bez wyraźnego powodu, jest niepokojący. Wysłuchałem historii naprawdę wielu kobiet, którym wykonano cesarskie cięcie wbrew ich woli, bo „procedury”, i konsekwencje były druzgocące. To też moglibyśmy zmienić, ale do tego stopnia zmedykalizowaliśmy porody, że wielu osobom zejście z tej drogi wydaje się niewyobrażalne.

Nie neguję osiągnąć współczesnej medycyny, wygląda jednak na to, że trochę się zapędziliśmy. W ogóle w praktyce lekarskiej. Dawne tradycje, czy to w Indiach, czy w Chinach, czy rdzenne praktyki lecznicze w różnych częściach świata od zawsze zakładały jedność ciała i umysłu.

Neurobiolożka Candace Pert nazywa to ciałoumysłem. W wyniku wielu badań doszła do przekonania, że „praktycznie każda choroba, nawet jeśli nie ma psychosomatycznego podłoża, posiada wyraźny psychosomatyczny element”. Te jej słowa cytuje pan zresztą w książce. – No właśnie. Ale takie podejście we współczesnej medycynie, w duchu której i ja zostałem wykształcony, to rzadkość. Współczesna medycyna ma na swoim koncie niewiarygodne osiągnięcia. Potrafimy przeszczepiać serca, nerki, szpik, jednak bardzo często zapominamy, że ciało i umysł to jedno. Mimo że dysponujemy już niezliczoną liczbą badań, które to potwierdzają. Na przykład to, jak ogromny wpływ na nasze ciała ma przewlekły stres, albo to, w jaki sposób sobie radzimy, a raczej nie radzimy z emocjami.

Jestem prawie pewien, że jak pójdzie pani do lekarza, czy to będzie neurolog, kardiolog, pulmonolog, czy gastrolog, to będzie on zainteresowany leczeniem wyłącznie szwankującego organu. Nie spyta pani ani o pani związek, ani o pani wcześnie doświadczenia, ani o to, jak się pani czuje w pracy, ani o to, co pani myśli na swój temat.

Takie ćwiczenie często zadaje pan uczestnikom i uczestniczkom swoich wystąpień. Najpierw prosi pan o podniesienie ręki tych, którzy w ciągu ostatnich pięciu lat odwiedzili jakiegoś specjalistę. Na co wznosi się las rąk. A potem, żeby rękę w górę zostawili ci, których ten specjalista spytał o codzienny stres, relacje z rodzicami i z innymi ludźmi, bieżące trudności...

– I w sali pełnej ludzi zostaje raptem kilka rąk w górę, ponieważ większość lekarzy nie jest szkolona w takim podejściu. Co więcej, jak powiedział mi kiedyś pewien ceniony lekarz i pracownik Uniwersytetu Harvarda: „Sprawa połączenia umysł – ciało od dawna jest czymś, czego studiowanie wiąże się z wielkim zagrożeniem dla dalszej kariery w tej instytucji”. No więc podkreślę to raz jeszcze: nie namawiam do odrzucenia współczesnych zdobyczy medycyny. Mówię tylko: spójrzmy, co mówi nauka, bo ona tylko potwierdza, jak istotne są te pytania.

Przeciętny polski lekarz powiedziałby pewnie: „Ależ doktorze Maté, mam sześć minut na pacjenta. Kiedy mam go o to spytać?”

– To nie problem, wiem to z własnej praktyki. Zostałem wykształcony w podobnych szkołach, co ci lekarze, a potem przez 22 lata pracowałem jako lekarz rodzinny. I bardzo długo to nie brak czasu stanowił problem.

A co?

– Brak świadomości. Aż w pewnym momencie pod wpływem obserwacji moich pacjentów i ich historii ta świadomość zaczęła się budzić. A wraz z nią owe pytania.

Nieprawdą jest też, że żeby je zadać, lekarz musi zostać terapeutą. Ja ostatecznie nim zostałem, ale to nie jest konieczne. Żeby skutecznie leczyć, potrzebna jest wiedza. Po to, żeby można było powiedzieć pacjentce na przykład z reumatoidalnym zapaleniem stawów: „Chciałbym pani zaproponować leczenie, które powstrzyma to zapalenie, ale wiem z badań, że ta przypadłość ma wiele wspólnego ze stresem. Czy możemy o tym chwilę porozmawiać? A może mógłbym pokierować panią do kogoś, kto pomoże pani lepiej zrozumieć, jak przewlekły stres wpływa na zdrowie i jak mogłaby pani sobie lepiej z nim radzić?”.

Albo weźmy uzależnienia. Nie ma wątpliwości, że u ich podłoża najczęściej leży trauma – wszelkiego rodzaju przemoc, uzależnienia rodziców, ale również zaniedba-

nie emocjonalne czy odrzucenie. Jednak przeciętny lekarz nie ma tej wiedzy. Gdyby ją miał, mógłby powiedzieć takiemu pacjentowi: „Tu są moje zalecenia, tu leki, ale uzależnienie to wyraźny sygnał, że próbuje pan uciec od jakiegoś bólu. Czy mogę skontaktować pana z kimś, kto pomoże panu zorientować się – co to za ból i skąd się wziął? Albo pokierować pana do odpowiedniej grupy wsparcia?”. Naprawdę problemem nie jest czas, tylko mentalność. Nie wspominając o tym, jak w ogóle skonstruowany jest system ochrony zdrowia. I jak bardzo obciążeni są w nim lekarze i lekarzki, którzy często leczą pacjentów tak, jakby przierzucali towar na taśmie w fabryce.

Na szczęście to niejedyny sposób praktykowania medycyny. Można stworzyć kliniki, w których lekarze będą pracować w zespołach, w bliskiej współpracy z psychologami, terapeutami, specjalistami od żywienia itd.

Bez systemowych rozwiązań się nie da. A do tego potrzebna jest zmiana mentalności całego społeczeństwa, polityków oraz pieniądze, czas i jakaś długofalowa wizja zdrowia publicznego.

80 proc. chorych na choroby autoimmunologiczne to kobiety. Dlaczego?

– Cóż, spytała mnie pani, w czym jest problem, więc odpowiadam, jak to widzę.

Ale tak, ma pani rację. Jeśli lekarze rozumieliby to, o czym w tej chwili mówię, musieliby zmienić sposób, w jaki leczą. A szkoły medyczne musiałaby zmienić sposób, w jaki uczą.

Mamy już na przykład mnóstwo badań, które wiążą traumatyczne doświadczenia nie tylko z uzależnieniami, ale także ze stwardnieniem rozsianym, z chorobami autoimmunologicznymi, jednak w północnej Ameryce, w Polsce pewnie również, przeciętny lekarz w toku kształcenia nie ma ani jednego wykładu o traumie.

Studia medyczne, jakkolwiek cudowne z wielu powodów, omijają całe obszary ludzkiego doświadczenia, a przy okazji też pokazane dowody naukowe. I jeśli chcemy być zdrowsi, to się musi zmienić. Nie tylko zresztą lekarze muszą się zmienić, nauczyciele również. Skoro wiemy, że ludzki mózg rozwija się od życia płodowego do dorosłości, to oznacza, że głównym zadaniem nauczycieli nie powinno być wtłaczanie do młodych głów jak największej ilości informacji – w którym roku były rozbiory Polski i jaki jest pierwiastek z ośmiu – choć oczywiście to ważne, tylko ich głównym zadaniem powinno być wspieranie zdrowego rozwoju dziecięcych mózgów. Tymczasem przeciętny nauczyciel na studiach nie ma ani jednego wykładu na ten temat. Nie wie, co temu rozwojowi sprzyja, a co go zaburza. Dzieci, których mózgi prawidłowo się rozwijają, zainteresują się historią czy matematyką. W ogóle będą chciały się uczyć.

Nie wiem, jak w Polsce, ale byłem niedawno w Serbii i dowiedziałem się, że tam wciąż często daje się dzieciom klapsy.

U nas kary cielesne są zakazane prawnie. A stosunek do klapsów też na szczęście się zmienia.

– To dobrze, bo jest już wiele badań, które dowodzą, że długofalowe skutki bicia dzieci są tak samo złe dla ich rozwoju emocjonalnego jak skutki wykorzystania. Bicie może też upośledzać funkcje poznawcze, prowadzić do zaburzeń zachowania, psychicznych.

W Stanach Zjednoczonych na przykład wielu młodym rodzicom wciąż powtarza się, żeby nie podnosili płaczących dzieci,

tylko pozostawiali je w łódeczkach, aż się wypłaczą. Dla rozwijającego się mózgu to jest straszne. Nie mówiąc o tym, co to robi poczuciu bezpieczeństwa.

W wielu rdzennych kulturach, kiedy dziecko płacze, rodzice od razu je przytulają. Też mogliśmy to robić, to nic nie kosztuje.

Wystarczy sobie przypomnieć, jakie są nasze prawdziwe ludzkie potrzeby. A są nimi: potrzeba kochania i bycia kochanym, akceptacji, autentyczności. Żeby się dobrze rozwijać, dzieci muszą też realizować potrzebę swobodnej zabawy. To... (*Gabor Maté wyciąga z kieszeni telefon*) nie jest zabawa, to jest uzależnienie. Zdaję sobie sprawę, że mówię o rzeczach banalnych...

Może takie nastały czasy, że trzeba przypominać sobie o tym, co wydaje się banalne?

– Kiedy dorastałem w Budapeszcie, bawiliśmy się na ulicy. Rodzice doglądali nas z balkonów. Odwiedzaliśmy się w domach, a każdy rodzic traktował nas jak swoje własne dziecko. Rodzicielstwo nie było tak samotne jak teraz. Mieliśmy poczucie, że gdzieś przynależymy. Dziś w wielu miejscach ta wspólnota została zniszczona.

Samotnych ludzi jest coraz więcej, w każdym wieku. A życie w izolacji, jak wiadomo z badań, jest równie szkodliwe dla zdrowia co palenie 15 papierosów dziennie.

Te wszystkie społeczne i kulturowe czynniki zostały uruchomione przez ekonomiczny, globalny system, który poza tym, że osiągnął wiele, jednocześnie niszczy fundamenty potrzebne do zdrowego życia.

Nazywa pan go toksycznym. Czym jest ta toksyczność?

– Jedną z podstawowych ludzkich potrzeb jest możliwość odczuwania i wyrażania wszystkich emocji. Jest ku temu dobry ewolucyjny powód. Mianowicie taki, że dawno temu dobre rozeznanie w tym, co czujemy i co się dzieje z naszymi ciałami, było kluczowe dla naszego przetrwania. Dziś w wielu rodzinach dzieci dowiadują się, że jeśli chcą być akceptowane przez dorosłych – bliskich, nauczycieli – muszą tłumić swoje uczucia. Na przykład złość albo smutek, albo bezradność. A czasem w ogóle się z nimi nie kontaktować. Wie pani, co oznacza takie odłączenie? Że takie dziecko, a później dorosły, będzie bardzo często doświadczało stresu. Nie będzie się w stanie przed nim chronić. Będzie brało na siebie za dużo i permanentnie przeciążało swój układ odpornościowy. Bo układ emocjonalny jest z nim powiązany. Nauka nam już pokazała, że kiedy ludzie tłumią emocje, to się odbija na ich zdrowiu. Widziałem to też wiele razy w swojej praktyce. Osoby, u których rozwinęły się choroby autoimmunologiczne, takie jak stwardnienie rozsiane, choroba Leśniowskiego-Crohna, fibromialgia, chroniczne zmęczenie, egzema – długo mógłbym wymieniać – to często osoby, które musiały tłumić to, co czują. Szczególnie zdrowy gniew. To tłumienie najczęściej bierze się z konfliktu pomiędzy potrzebą przynależności i bycia akceptowanym, czyli potrzebą więzi, a potrzebą bycia sobą i wyrażania siebie, czyli autentycznością.

Uważa pan, że dziś trudno te dwie rzeczy pogodzić?

– A ile zna pani osób, które mogą być tak naprawdę sobą i jednocześnie mieć pewność, że zostaną zaakceptowane?

Ale przecież ta kultura, którą nazywa pan „toksyczną”, dokładnie do tego nas namawia: „Bądź sobą!”, „Bądź autentyczny!”, „Czuj to, co czujesz!”.

– A zauważyła pani, co to tak naprawdę oznacza?

„Bądź sobą!”, czyli zdobądź jeszcze więcej followersów na Instagramie, pochwal się swoimi osiągnięciami... – Kup sobie takie buty, taki zegarek.

Czyli tak naprawdę: „Bądź taki jak wszyscy!”? No jest w tym coś perwersyjnego.

– To bardzo dobre słowo. To właśnie robi społeczeństwo konsumpcyjne – bierze autentyczne ludzkie potrzeby i całkowicie je wypacza.

Prawdziwa autentyczność nie jest o tym, żeby być jak wszyscy, ale o tym, że właśnie nie chcę być jak wszyscy. Chcę się zastanowić, kim w ogóle jestem, czego tak naprawdę potrzebuję, a nie kierować się sztucznie wykreowanymi potrzebami. Problem w tym, że dziś bardzo wiele osób nie ma tego luksusu. Od dzieciństwa są trenowane w tym, żeby nie być sobą, a jeśli próbują, są za to natychmiast karane. Tylko że cena za to jest wysoka.

Na przykład?

– 80 procent chorych na choroby autoimmunologiczne to kobiety. Dlaczego? Moim zdaniem dlatego, że to one częściej zajmują się realizowaniem potrzeb innych, wchłaniają stresy swoich partnerów, dzieci, częściej tłumią frustrację, złość. To nie ich wina, do takiej roli są socjalizowane.

Wydaje mi się, że dziś wiele osób nie ma nawet możliwości, żeby pokontemplować te pytania: „Kim jestem, czego chcę?”. Pracują na dwa etaty, mają liczne zobowiązania zawodowe, rodzinne.

– Ale refleksja, że nie żyje się w zgodzie ze sobą, naprawdę nie zajmuje długo. Każdy tak naprawdę wie, kiedy udaje. Inną sprawą jest wprowadzenie tych zmian w życie. I tu ma pani rację, że na drodze staje wiele przeszkód, ale żeby ta zmiana mogła się w ogóle rozpoznać, potrzebna jest zmiana świadomości.

Inaczej będzie tak jak w tej przypowieści Davida Fostera Wallace’a: dwie młode ryby spotykają starszego przedstawiciela swojego gatunku, ten je wita: „Cześć, jak tam woda?”. One mijają go i płyną dalej w milczeniu, po czym jedna patrzy na drugą i mówi: „A co to takiego woda?”.

– Otóż to. Ciekawe jest, o czym przekonałem się wielokrotnie, że dopiero kiedy ludzie poważnie zachorują albo przechodzą kryzys innego rodzaju – rozpada się im związek, tracą kogoś bliskiego – zaczynają się zastanawiać: „Kim jestem i czy żyję swoim życiem?”

Pytanie brzmi, i jest to jeden z powodów, dla których napisałem „Mit normalności” – czy musimy czekać na poważny kryzys, żeby podjąć taką refleksję?

Pan musiał czekać na swój? Czy od razu był pan taki mądry?

– Ha, ha, ha. Po pierwsze, jako lekarz rodzinny w pewnym momencie zorientowałem się, kto z moich pacjentów zaczyna chorować, a kto nie. I łączyć kropki. Gdybym był specjalistą, pewnie bym tego nie dostrzegł, bo specjaliści widzą swoich pacjentów dopiero, kiedy ci mają już problem. A ja moich oglądałem, zanim poważnie zachorowali, a niektórych znałem od dziecka. I to było główne źródło mojej rodzącej się świadomości. Poza tym, oczywiście, przeszedłem też swoje. Chorowałem na depresję, potem zdiagnozowano u mnie ADHD. Miałem problemy w małżeństwie, w relacjach z dziećmi. Musiałem wykonać dużo pracy – zarówno nad moją praktyką lekarską, jak i nad sobą.

I co pana dziś utrzymuje przy zdrowych zmysłach? Wiem, że pływa pan codziennie 2 km.

– Po pierwsze, założyła pani, że ma do czynienia z kimś stabilnym. A wciąż zdarzają mi się gorsze momenty.

**Podobno szamani wyrzucili pana z odosobnienia, które prowadził pan w ama-
zońskiej puszczy dla grupy lekarzy, bo
uznali, że jest w panu za dużo mroku
i psuje pan pobyt pozostałym.**

– To jeden przykład, sprzed czterech lat. Mó-
wiąc wprost: zwolnili mnie. Z kolei pięć lat
temu żona powiedziała mi: „Napisałeś książ-
kę »Kiedy ciało mówi nie«, to teraz czas na
książkę »Kiedy żona mówi nie«”.

A skoro już pani pyta – co sprawia, że
udaje mi się utrzymać względną równowa-
gę – to odpowiem: przede wszystkim mo-
je małżeństwo, w którym moja żona z jed-
nej strony oczekuje, że będę w pełni sobą,
a z drugiej – pilnuje swoich granic.

Poza tym, kiedy mam się gorzej, wra-
cam na terapię. Ostatnio podczas pracy
nad „Mitem normalności”. Samo zbieranie
materiałów do tej książki zajęło mi dzie-
sięć lat, pisanie jej – trzy. W pewnym mo-
mencie tak mnie to wszystko przerosło, tak
się bałem, że nie podolam, że zwróciłem
wydawnictwu zaliczkę. A potem przez kil-
ka miesięcy raz w tygodniu spotykałem się
z terapeutą, by omówić ten kryzys. Nie boję
się prosić o pomoc.

**Jakby pan sformułował przesłanie tej
książki? Od czego może zacząć czytelnik,
który ma liczne obciążenia zawodowe,
rodzinne, do tego czuje się źle: fizycznie,
psychicznie?**

– Przede wszystkim chciałbym mu powie-
dzieć: to nie twoja wina. Nie jesteś wewnątrz-
nie i nieodwracalnie popsuty. To cierpienie,
którego doświadczasz, jest normalną reak-
cją na nienormalne okoliczności. A także:
masz w sobie ogromny potencjał do zdro-
wienia. Ale żeby go uruchomić, musisz sie-
bie wpięrować.

**Coraz trudniej siebie usłyszeć w tej ka-
kofonii pomysłów na „dobre życie”.**

– Dobra wiadomość jest taka, że każdy po-
siada wewnętrzny kompas, trzeba się tyl-
ko do niego dokopać. A wtedy człowiek sta-
je się odporny na te zewnętrzne nawoływa-
nia. Nie jest to łatwa podróż, lecz z pewno-
ścią możliwa. Niedawno młody mężczyzna,
który przeczytał „Mit normalności”, napisał
mi: „Dziękuję. Przypomniałem sobie, kim
jestem.” Wierzę, że każdy może sobie przy-
pomnieć, kim jest. Nauczyć się, jak trakto-
wać siebie i innych z większym szacunkiem
i uważnością. Jak inaczej odnosić się do swo-
ich dzieci. Zrozumieć, skąd się biorą trudno-
ści. Złe rzeczy wydarzyły się w naszym życiu,
wskutek czego nabraliśmy pewnych przeko-
nań na swój temat i na temat otaczającego
nas świata, które nam szkodzą, ale nie mu-
simy się ich kurczowo trzymać.

**Wierzy pan, że taka zmiana jest możli-
wa społecznie?**

– Jakby to powiedzieć... Żyjemy teraz w okrop-
nych czasach. Okropnych... Kiedy jako żydow-
ski ocaleniec z Holocaustu codziennie oglą-
dam, jak izraelskie wojsko zabija palestyń-
skie dzieci, pęka mi serce. Kiedy widzę, jak
rządy europejskich krajów, w których kiedyś
prześladowano Żydów, a także przedstawicieli
innych nacji, wspierają masakrę w Ga-
zie, robi mi się słabo. Tak, jakby niczego się
nie nauczyli...

Ale spytała mnie pani, czy jestem opty-
mistą czy pesymistą. O to samo zapyta-
łem kiedyś Naoma Chomskiego. Odpo-
wiedź więc za nim: „Trzeba być optymi-
stą, bo w przeciwnym razie równie dobrze
można popełnić samobójstwo. Trzeba ro-
bić, co w naszej mocy, by wprowadzić ko-
rzystne zmiany, a czy da się to zrobić, czy
nie, tego nie wiemy”. Chyba nie mamy in-
nego wyjścia.

Optymizm nie powinien dotyczyć tyl-
ko tego, co ma nadzieję. Ale też tego, co mo-
gę zrobić dziś. Jak mogę się stać bardziej
sobą, a przez to przyłożyć się do tego, żeby
świat był trochę lepszy.

**To ważne, co pan powiedział, że w tym
nawoływaniu do większego kontaktu
ze sobą nie chodzi wcale o ego. Ale o to,
żeby móc dać coś z siebie innym, żeby**

**tworzyć lepsze związki, szkoły, miejsca
pracy.**

– Zgadza się. Większość ludzi spytana, kie-
dy czują spokój i swobodę w ciele – czy wte-
dy, kiedy zachowują się samolubnie, agre-
sywnie, zachłannie i manipulują, czy wte-
dy, kiedy są szczodrzy, życzliwi, zaciekawie-
ni i prawdomówni – odpowie, że w tej dru-
giej sytuacji. Bo to jest nasza prawdziwa na-
tura. I nie tylko o umiejętność dawania cho-
dzi, ale też przyjmowania. O wymianę. I jak
pani popatrzy na tych potężnych, bogatych
i zapatrzonych w swój obraz przywódców
politycznych i biznesowych, to w twarzach
wielu z nich tego spokoju pani nie znajdzie.
Wyłącznie napięcie. Wierzę, że ta nasza praw-
dziwa natura jest na wyciągnięcie ręki, tyl-
ko toksyczność współczesnej kultury nas od
niej odgradza.

**I od innych. Polityka, biznes, media spo-
łecznościowe przekonują nas, że ktokol-
wiek się z nami nie zgadza, jest naszym
wrogiem. Bo w spolaryzowanym świecie
łatwiej utrzymać władzę.**

– Zacytuję kogoś. Ten wpływowy człowiek po-
wiedział kiedyś, że żyjemy w świecie, w któ-
rym „człowiek człowiekowi wilkiem”. „Ka-
żdy jest przeciwko tobie. Nawet twoi przyja-
ciele pragną twojego domu, bogactwa, two-
jej żony”. Autor tych słów nazywa się Do-
nald Trump. Napisał je w swojej autobiogra-
fii. Chciałaby się pani znaleźć w jego głowie
choćby na chwilę? Ja nie. Choć to nie jego wi-
na. Okoliczności, w jakich wzrastał, sprawi-
ły, że jedynym sposobem na przetrwanie by-
ły agresja, egoizm i inwestowanie w fasadę.

Co panu daje nadzieję?

– To nie jest słowo, którego często używam.
Wolę mówić o możliwości. No więc wierzę
w taką możliwość, że ludzie się ockną. Zobac-
zą, że nie muszą traktować siebie i innych
tak, jak często robią to dzisiaj, z pewną bez-
względnością, że nie muszą definiować te-
go, kim są, przez pryzmat marki butów, ja-
kie kupują. Możliwość bardziej autentycz-
nego życia istnieje.

**A jeśli miałby je pan zareklamować, to
jak pan by to ujął?**

– To niemożliwe. Reklama to zaprzeczenie au-
tentyczności.

**Przykro mi, ale w takim świecie żyjemy.
Wszystko trzeba najpierw zareklamo-
wać.**

– Nieprawda, nie trzeba. Jest takie węgier-
skie powiedzenie: „Dobre wino nie potrzebu-
je reklamy”. ●



FOT. GABOR GASTONY/CREATIVE COMMONS

*Dr Gabor Maté

● jest emerytowanym kanadyjskim lekarzem,
który ponad 20 lat pracował w przychodni
rodzinnej, potem na oddziale opieki paliatyw-
nej, a następnie przez ponad dekadę zajmo-
wał się osobami uzależnionymi od narkoty-
ków i chorymi psychicznie w dzielnicy
Downtown Eastside w Vancouver. Jest rów-
nież popularnym mówcą cenionym ze wzglę-
du na swoją wiedzę na temat uzależnień,
traumy, rozwoju dzieci oraz powiązań między
stressem a chorobami

Ad Hitlerum

**Jak mawiał Antoni Słonimski: tonący
brzydko się chwyta.**

Michał Rusinek



N a niedawnym spotkaniu polity-
ków i sympatyków PiS w Lubli-
nie Jarosław Kaczyński powie-
dział, że rząd Donalda Tuska
„bezczelnie łamie prawo”: „Prawo tak, ale
takie, jak my rozumiemy. Wolą Tuska jest
to, żeby jego wola była prawem. Byli już ta-
cy. Już kiedyś wola Führera była prawem”.
Kilka dni wcześniej, pytany, dlaczego na
obradach Sejmu nie pojawili się Mariusz
Kamiński i Maciej Wąsik, odrzekł: „Nie
ma ich, ponieważ mogą być w bardzo
złym stanie zdrowia w związku z pobylem
w więzieniu. Stosowano wobec jednego
z nich tortury”. Gdy dziennikarka zwróciła
uwagę, że obaj panowie po wypuszczeniu
z więzienia nie wyglądali na ofiary tortur,
Kaczyński odparł: „Mój wuj, który był tor-
turowany przez gestapo, żył potem prze-
szło 90 lat”. Dopytywany, czy można tak
porównywać, stwierdził: „Można porów-
nywać, bo niemieckie związki pana Tuska
na to wskazują”. W tych samych dniach
do podobnych skojarzeń postanowiła
się przyznać była małopolska kuratorka
oświaty Barbara Nowak. Według niej
Hitlerjugend była tym dla NSDAP, czym
WOŚP może się stać dla „ideologii LGBT” –
„młodzieżową szpicą”. ●

Nie jest to nic nowego. W grudniu zeszle-
go roku Marek Suski mówił w TVP Info,
odnosząc się do nowej większości parla-
mentarnej, że „Hitler też doszedł do wład-
zy w wyniku demokratycznych wybo-
rów”, i dodał, że „to nie jest za mocne po-
równanie”. Gdy PiS był u władzy, Jarosła-
wowi Kaczyńskiemu symbol Strajku Ko-
biet – czerwona błyskawica – kojarzył się
z „esesmańskimi błyskawicami”. Krysty-
na Pawłowicz jako posłanka twierdziła, że
Niemcy rozumieją Europę „jako swoją ko-
leijną Rzeszę”, natomiast jako sędzia Try-
bunału Konstytucyjnego błysnęła, komen-
tując fotomontaż przedstawiający Tuska
oglądającego w telewizji przemówienie
Hitlera pytaniem: „A który to Hitler?”. Nie
jest więc tak, że ostatnio retoryka PiS się
zaostrza. Od czasu do czasu politycy i poli-
tyczki tej partii pozwalają sobie po prostu
na takie analogie. Ale nagromadzenie ich
powoduje, że są lepiej widoczne i wzbu-
dzają zainteresowanie, więc warto się ni-
mi zainteresować. Jak je traktować? ●

Po pierwsze, jako zaostrenie retoryki an-
tydemokratycznej, wzmocnionej despe-
racją po utracie władzy na rzecz partii de-
mokratycznych. Kiedy brakuje już stop-
ni przymiotników zożydzających rządzą-
ce dzisiaj ugrupowania polityczne – po-
zostają analogie do zbrodniczego re-
żimu. Wiadomo, że to podniesie temperatu-
rę politycznego sporu i zapewni chwilowy
wzrost popularności politykowi, który się
nimi posłuży. Choć posługiwanie się nimi
powinno być raczej powodem do wstydu
niż dumy. Ale i nam kończą się już przy-
miotniki do opisywania językowych wy-
bryków obecnej opozycji. ●

Po drugie, politycy posługujący się nimi
przypominają postaci z filmu „Undergro-
und” Emira Kusturicy, które jeszcze 20 lat
po wojnie utrzymywane były w przeko-

naniu, że wciąż trwa niemiecka okupacja.
Nie chodzi im bynajmniej o obawę przed
odradzającymi się ruchami neonazistow-
skimi, bo często im jawnie przyklaskują.
Dla nich wciąż jest połowa XX wieku, trze-
ba więc nieufnie patrzeć na to, co dzie-
je się za naszą zachodnią granicą, bo tam
czai się nasz odwieczny wróg. Wystarczy
przypomnieć politykę zagraniczną PiS,
podgrzewanie wewnętrznych antynie-
mieckich nastrojów, niechęć do Unii Eu-
ropejskiej, która tylko udaje europejską,
ale jest przecież niemiecka, więc stanowi
dla nas zagrożenie, i wreszcie paranoicz-
ne dostrzeganie wszędzie esesmańskich
błyskawic, gestapowskich metod, Rzeszy
i Hitlerjugend. Politycy patrzący na współ-
czesność wyłącznie przez pryzmat analo-
gii do historii przestają rozumieć współ-
czesny świat, karmią się resentymentami
i zachowują jak grupa rekonstrukcyjna,
która wciąż odgrywa sceny z przeszłości,
narażając się na śmieszność. ●

Po trzecie, można traktować tę retoryczną
– a właściwie erystyczną – strategię PiS ja-
ko tzw. *reductio ad Hitlerum*. Jest to strate-
gia opisana w 1951 roku przez amerykań-
skiego politologa Leo Straussa, której na-
zwę zaczerpnął on od terminu używanego
w logice: *reductio ad absurdum*, ale i zara-
zem forma *argumentum ad hominem*. Jest
to rodzaj błędu argumentacyjnego polegą-
jący na odwoływaniu się nie do argumen-
tów oponenta, ale do samego oponenta
(cech, które można mu przypisać, fak-
tów z jego życia, poglądów na inne spra-
wy), a więc błąd nieistotności. *Argumen-
tum ad Hitlerum* to rodzaj błędnego sko-
jarzenia, czyli niepoprawne zestawienie
ze sobą dwóch rzeczy, które tylko z pozo-
ru mają wspólne cechy. Zwykle jest pró-
bą unieważnienia stanowiska oponenta,
skoro podobny pogląd ma osoba, która łą-
nie się kojarzy w powszechnej świadomości;
jest to tzw. wina przez skojarzenie. Jeśli
nasz oponent lubi psy, to możemy przypo-
mnąć, że Hitler także lubił psy, więc nasz
oponent jest jak Hitler. ●

Argumentum ad Hitlerum ma jeszcze jed-
ną funkcję, którą opisał w 1994 roku ame-
rykański adwokat i pisarz Mike Godwin.
Zauważył, że „w miarę jak dyskusje w in-
ternecie robią się coraz dłuższe, prawdo-
podobieństwo, że ktoś zostanie porówna-
ny do Hitlera, albo jakiejś innej analogii do
nazizmu, rośnie”. Spostrzeżenie to znane
jest jako prawo Godwina i obrosło w „pra-
wa” pokrewne, np. przekonanie, że do *ar-
gumentum ad Hitlerum* ucieka się zazwy-
czaj ten, kto zaczyna przegrywać w dysku-
sji. Jak mawiał Antoni Słonimski: tonący
brzydko się chwyta. ●

„Prawo” Godwina zostało obalone przez
prof. Dariusza Jemielniaka, który na la-
mach „New Media and Society”, przeba-
dawszy ok. 200 milionów konwersacji na
Redditcie, wykazał, że słowa „Hitler” czy
„nazista” bynajmniej nie zamykają dysku-
sji. Na portalu Nauka w Polsce czytamy, że
prof. Jemielniak streścił wyniki swoich ba-
dań w poście na Facebooku: „Pod postem
[...] odezwał się sam Mike Godwin, zarzu-
cając naukowcowi niewłaściwą metodykę
badań. Po krótkiej, acz burzliwej dyskusji
Jemielniak napisał, że idzie słuchać Wa-
gniera, a Godwin prawdopodobnie go za-
blokował”.
W przypadku ostatnich wypowiedzi Ka-
czyńskiego i innych polityków i polityczek
PiS wolałbym, żeby to Godwin miał rację
i żeby pojawiające się w nich skandaliczne
stwierdzenia były znakiem końca pisow-
skiej narracji. Wszystko wskazuje jednak
na to, że rację ma prof. Jemielniak. Oba-
wiam się, że ta narracja będzie płynąć na-
dał, strużką wprawdzie skromniejszą, acz
pełną trujących miazmatów, nie tylko za-
latujących desperacją, stęchłą grup re-
konstrukcyjnych czy pokrętnymi argu-
mentami *ad Hitlerum*. ●

Upadek Dudy czy upadek prezydenta

Z KOGO SIĘ ŚMIEJECIE?
Z SIEBIE SAMYCH SIĘ
ŚMIEJECIE

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Andrzejowi Dudzie zaufało 10,44 mln Polaków. Nie ma na kogo zwalić za to winy. Wybraliśmy go my. My Naród

Jarosław Kurski

Słychać lament, bo mieliśmy taką wspaniałą ustrojową instytucję: prezydenta Polski, głowę państwa, najwyższy organ władzy wykonawczej, najwyższego reprezentanta Rzeczypospolitej, gwaranta ciągłości władzy państwowej, strażnika suwerenności, prawa i konstytucji, zwierzchnika Sił Zbrojnych RP itd., itp. – a mamy Dudę. Andrzeja Dudę.

Lament trwa dziewiąty już rok, ale nasilił się ostatnio po brauwrowym powtórnym ulaskawieniu dwóch przestępców – Wąsika i Kamińskiego, których to bohaterów wyklętych Duda po ojcowsku przytulił do prezydenckiego łona, czule poklepał po łopatkach, a nawet lęz uronił. A potem zapowiedział, że wszystko jak leci będzie odsyłał do Trybunału mgr Przylębskiej.

No więc zawodzenie, że to już ostateczny upadek i zszarganie powagi państwa i urzędu. Cóż, racja. Ale tylko częściowa, bo wiadomo, że to nie problem urzędu, ale problem jego obsady i politycznej kamaryli, która ten urząd obsiadła. Nie upadamy więc na duchu, wszak „dłużej klasztoru niż przeora”, jak mawia ludowe przysłowie. A poza tym nie zawsze było znowu różowo.

Pisanie o obecnym prezydencie Polski stało się dla publiczności dość śliskim zajęciem. Chodzi o łatwy poklask publiki. Wystarczy napisać kilka tyleż dosadnych, co prawdziwych słów o jego żalonych minach, patetycznych gestach, blazerńskim zachowaniu, za granicą zwłaszcza. I się podobą. Podobą się, bo odtrutki nam trzeba. Bo my, demokraci, żyjemy z codziennym pięknym wstydem i zażenowaniem. Z czyhającą na nas obawą, że skoro Duda jeszcze dziś czegoś nie powiedział, to niestety zaraz coś powie, albo jeśli czegoś głupiego nie zrobił, to na pewno zaraz zrobi.

Tak, to wszystko o prezydencie wiadomo, tyle tylko, że ta wiedza nie przybliżyła nas do żadnych wniosków ani do żadnego rozwiązania.

Szczególnie znaczący jest powtórny wybór Dudy w 2020 roku. Wtedy już nie było żadnych złudzeń, że mamy do czynienia z marionetką Jarosława Kaczyńskiego, ze szkodnikiem niszczącym wymiar sprawiedliwości, strażnikiem konstytucji gwałcącym konstytucję, szczującym na mniejszości seksualne, amatorem nocnego internetu, człowiekiem z infantyлизmem dziewięćlatka, niedostrzegającym własnej śmieszności, perfekcyjnie pustym i perfekcyjnie beztreściowym. Otóż taki człowiek zy-



skal zaufanie, uwaga, 10,44 mln wyborców. To niemal tyle, ile zebrali wszyscy demokraci w ostatnich wyborach parlamentarnych!

Tak, oczywiście, wiemy, że wybory nie były uczciwe, że odbywały się na pochyłym boisku, z miażdżącą przewagą w mediach publicznych i wsparciem spółek skarbu państwa – z czego Duda skwapliwie korzystał.

Ale jeśli nawet by te wybory przegrał, to nic nie zmieniłoby tego, że ktoś taki cieszy się zaufaniem ponaddziesięciomilionowej rzeszy Polaków. Niestety.

Lech Wałęsa mawiał o sobie, zupełnie słusznie zresztą, że „takiego macie prezydenta, jakiego żeście sobie wybrali”. Tyle tylko, że Lecha na kolejną kadencję Polacy już nie wybrali. Wybory wygrał Aleksander Kwaśniewski. Tymczasem Duda wygrał o 420 tys. głosów z Rafałem Trzaskowskim. Mając do wyboru Dudę i Trzaskowskiego – Polacy wybrali Dudę.

Nie ma na kogo zwalić za to winy. O ile Mościckiego wybrał nam Piłsudski, Bierut wybrał nam Sowiet, Jaruzelskiego – wiadomo – kontraktowe Zgromadzenie Narodowe, to Dudę wybraliśmy my. My, Naród.

O czym to świadczy? O nas samych to świadczy, by powtórzyć za Gogolem: „Z czego się śmiejecie, a z siebie samych się śmiejecie”.

Wróćmy do lejtmotywu tekstu: czy jesteśmy więc świadkami upadku instytucji prezydenta?

Jest w tę instytucję od zarania wpisany w Polsce jakiś tragizm. Zaczęło się od nagonki endeckiej prasy na pierwszego prezydenta Gabriela Narutowicza, którego Zgromadzenie Narodowe wybrało „żydowskimi głosami”. Potem było obrzucanie głowy państwa błotem i gradami lodu, uliczne pałkar-skie burdy, a skończyło się na politycznym mordzie. „Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni. Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie” – pisał Tuwim.

Drugi prezydent Stanisław Wojciechowski, stojący na straży konstytucyjnego porządku, został zmuszony przez Józefa Piłsudskiego do ustąpienia w następstwie zamachu majowego. Na prezydenta wybrany został sam „Ziuk”, ale wyboru nie przyjął, bo konstytucja marcową dawałaby mu za małe uprawnienia. Postawił więc, jak mawiał, na „Ignasia”.

Ignacy Mościcki – chemik wybitny, który z powietrza umiał zrobić kwas azotowy, ale polityk żaden. Szybko dał się poznać jako – skąd my to znamy – „lokalaj Piłsudskiego”. Premier Kazimierz Bartel sadystycznie cytował ludową przyspiewkę: „Tyle znaczy co Ignacy, a Ignacy g... znaczy”. Adam Ciołkosz, jeden z przywódców PPS, wyznał, że „prezydenci RP nie mają szczęścia, bo jednego zastrzelono jak psa, drugiego wypędzono jak psa, a trzeci słucha jak pies”.

Po śmierci Piłsudskiego Mościcki, mając silną osobistą władzę na mocy konstytucji kwietniowej, pozostał niewolnikiem swego sanacyjnego środowiska i dalej słuchał – tym razem Edwarda Rydza-Śmigłego, którego uczynił zresztą marszałkiem. Koniec jego prezydentury symbolizują porzucenie walczącego z najazdem narodu i ucieczka do Rumunii. Tym smutniejsza, że nawet w obliczu nadchodzącej wojny Mościcki odrzucił propozycję utworzenia wraz z opozycją rządu obrony narodowej. Wierny syn sanacji.

Tyle dobrego, że przynajmniej wstydu Polsce nie przynosił, bo miał oglądę, języki posiadał i nigdy nie przekroczył granicy śmieszności.

O emigracyjnych prezydentach rozpisywać się nie będę, bo wprawdzie byli konstytucyjni, ale bez terytorium, a później nawet bez państwa. Z czasem każdy następny pograżał się w tragiczno-groteskowej fasadowości swej instytucji.

Nie wszyscy pamiętają, że towarzysz Bierut też był prezydentem, co dla Andrzeja Dudy jest powodem do ulgi. Nie będzie najgorszy, bo trudno być gorszym od zbrodniarza i sowieckiego namiestnika, który notabene

**Obóz demokratyczny
już powinien opracować
strategię zwycięstwa
w wyborach prezydenckich
2025. Jest mi równo obojętne,
czy będzie to Hołownia,
Trzaskowski, Tusk,
Kosiniak-Kamysz,
czy ktokolwiek inny,
byle był to demokratą
traktujący konstytucję jak
nienaruszalną świętość**

swą przysięgę zakończył słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Instytucja prezydenta odżyła po w 1989 roku. General Wojciech Jaruzelski był ostatnim prezydentem wybranym przez Zgromadzenie Narodowe.

Miałem przyjemność poznać osobiście lepiej lub gorzej wszystkich prezydentów III RP, od Jaruzelskiego po Komorowskiego, za co jestem losowi wdzięczny. I miałem przyjemność nie poznać osobiście Andrzeja Dudy, za co wdzięcznym pozostaję.

Przy okazji jakiegoś wywiadu z byłym już prezydentem Jaruzelskim wyznałem mu na koniec rozmowy: – Panie generale, proszę wybaczyć, ale musi pan to usłyszeć. W czasie stanu wojennego tak gorąco pana nienawidziłem, że gdybym miał ku temu okazję, tobym pana zamordował albo przynajmniej próbował jak Kordian cara.

Jaruzelski z pokerową twarzą i wzrokiem schowanym za przyciemnionymi okularami wyprostował się w fotelu jak struna i po chwili wystrzelił krótkim:

– Jako żołnierz rozumiem pana!

Otóż to, Jaruzelski rozumiał swój czas, zwłaszcza jako prezydent. Wiedział, że jest częścią kontraktu, że jego formacja schodzi ze sceny, że za kraj biorą odpowiedzialność prozachodni demokraci i nie należy im przeszkadzać: ustawy reformujące kraj podpisywać i ustąpić w trakcie kadencji, gdy Lech Wałęsa zadeklaruje gotowość kandydowania na urząd głowy państwa. No i konstytucji Jaruzelski nigdy nie złamał.

Czy Duda weźmie przykład z Jaruzelskiego? Oczywiście, że nie weźmie, zmarnuje swą ostatnią szansę na podmiotową, samodzielną prezydenturę. Będzie wiernym sługą PiS, jak Mościcki był sługą sanacji. Obaj niczego nie rozumieli – nawet w obliczu wojny. Jeden czmychnął do Rumunii, a drugi informuje walczący najazdem ukraiński naród, że Krym to już na zawsze pozostanie rosyjski. Nie miejmy więc wobec Dudy żadnych oczekiwań, wówczas i o rozzarowaniu nie będzie mogło być mowy.

Ciekawe, bracia Kaczyńscy promujący Lecha Wałęsę na urząd prezydenta uważali, że jego także należy wybrać przez Zgromadzenie Narodowe. I może byłoby to nawet lepsze z uwagi na spójność ustrojową państwa. Słaby prezydent ze słabą legitymacją w ustroju parlamentarno-gabinetowym, a więc takim, w którym całość władzy wykonawczej w istocie sprawuje rząd kontrolowany przez Sejm. Jednak motywacja Kaczyńskich była inna. Zwłaszcza Jarosław uważał, że Wałęsę wybrać musi Zgromadzenie Narodowe, bo jak już przestanie być potrzebny – to łatwiej go będzie odwołać.

Środowisko demokratów wspierające rząd Tadeusza Mazowieckiego i jego kandydaturę na prezydenta uważało – jak się okazało, naiwnie – że premier Mazowiecki właśnie w wyborach powszechnych będzie miał z Wałęsą szansę na zwycięstwo. Stało się inaczej.

Lech – bohater narodowy, lider „Solidarności”, laureat pokojowego Nobla, w konfrontacji ze Stanem Tymińskim, z człowiekiem znikąd – w drugiej turze zdobył ponad 10,6 mln głosów. To dużo, ale tylko o 200 tys. więcej, niż padło na Dudę w ostatnich wyborach.

Wałęsa, bardziej trybun i wódz niż demokrat, zaraz zaczął się rozpychać, żądać więcej władzy dla siebie, resortów prezydenckich, zwierzchnictwa nad armią i lojalności generałów podczas obiadu drawskiego. Chciał rządzić dekreтами.

Należałem do przeciwników jego prezydentury. Zanim jeszcze Lech zgłosił swą kandydaturę, złożyłem dymisję z funkcji jego rzecznika prasowego.

Już w Belwederze pytał jak sfrustrowany monarcha, którego nie obowiązuje konstytucja:

– Co to jest? Wygrałem wybory, a ja nic nie mogę.

Zacząły się falandyzacja prawa i spory kompetencyjne z rządem. Lech konstytucję naciągał, ale jednak jej nie złamał. A nawet podpisał nową tzw. małą konstytucję.

Za jego prezydentury podtrzymano prozachodni kurs państwa, wyprowadzono wojska radzieckie z Polski, przeprowadzono reformy gospodarcze, a Lech dawał ochronę rządowi Jana Krzysztofa Bieleckiego, Hanny Suchockiej i Waldemara Pawlaka. Wreszcie Lech zapobiegł zamachowi politycznych szaleńców na młode państwo, który przygotowali Jarosław Kaczyński z Antonim Macierewiczem i Januszem Korwin-Mikkem – tzw. nocy teczek. (Oprócz lustracyjnej obsesji były też inne niskie polityczne motywacje, jak zemsta na prezydencie Wałęsie za to, że wyrzucił braci z swej kancelarii, i polityczne ojcobójstwo Macierewicza na marszałku Wiesławie Chrzanowskim).

Wreszcie w sierpniu 1993 roku Wałęsa sobie znanymi sposobami uzyskał od Borysa Jelcyna deklarację, że Rosja nie sprzeciwia się wstąpieniu Polski do NATO.

Lech powtarzał: „Ja demokratycznie, półdemokratycznie, a nawet niedemokratycznie buduję demokrację”. I rzeczywiście. Lecz mimo wszystko zwycięstwo postkomunisty Aleksandra Kwaśniewskiego, podobnie jak legendarny Jan Nowak-Jeziorański i wielu ludzi dawnej opozycji antykomunistycznej, przyjąłem jako tragedię osobistą i tragedię dla Polski.

Zaiste Pan Bóg pisze prosto po liniach krzywych. Już tylko te trzy daty: 1997 – uchwalenie konstytucji, 1999 – wstąpienie Polski do NATO i 2004 – do Unii Europejskiej, przesądzają, że to prezydent o historycznie największych zasługach dla Polski. Tego Kwaśniewskiemu nikt już nie odbierze. Nawet kłopoty z prawą golenią w Charkowie, które musiały się pojawić po wspólnej eskapadzie z arcybiskupem Głódziem. W niczym to Kwaśniewskiemu nie zaszkodziło, bo już rok później, w 2000 roku, jako jedyny kandydat w polskiej historii wygrał wybory prezydenckie w pierwszej turze.

Zawetował wprowadzić kilka ważnych reformatorskich ustaw rządu Jerzego Buzka, ale odegrał za to ważną rolę jako mediator podczas pomarańczowej rewolucji w Ukrainie i godnie reprezentował państwo, gdy w Buchli sprawa sąsiedzkiego mordu Żydów w Jedwabnem. Choć nigdy nie przestał być człowiekiem lewicy, w swych decyzjach był niezależny. I nigdy nie naruszył konstytucji.

Myszę, że o bliźniaczej relacji Lecha i Jarosława nie napisano jeszcze wszystkiego. Niewątpliwie Lech był pod silnym wpływem Jarosława, ale był też jedynym, który potrafił na niego wpłynąć. Ale oczywiście był Lech politycznym narzędziem w rękach brata i spełnieniem jego osobistych ambicji. Jako wiceprzewodniczący „Solidarności”, współpracownik Wałęsy, co obserwowałem z bliska, jako szef BBN w kancelarii Lecha Wałęsy, jako prezes NIK, jako prezydent Warszawy i wreszcie jako prezydent Polski. A zatem czy był samodzielny? Wszystko konsultował z bratem, z którym rozmawiał kilkanaście razy dziennie. Bliźniaczo myślał jak Jarosław, choć nie było w nim tej nienawiści do ludzi, która charakteryzuje brata. Przynajmniej w pierwszych latach prezydentury utrzymywał przyjazne kontakty z kolegami dawnej opozycji, których Jarosław dziś wyzywa od ruskich i niemieckich agentów.

Po blądzie prezydenturze Lech Kaczyński był bez szans na reelekcję. Jego kadencja zgasła tragicznie.

Ale w odróżnieniu od swego ucznia Andrzeja Dudy Lech Kaczyński nigdy nie naruszył konstytucji.

Podczas ataku Rosji na Gruzję zachował się tak, jak było trzeba. Adam Michnik pisał, że: „Lech Kaczyński, udając się w podróż do Tbilisi, zrobił maksimum tego, co mógł w tym momencie zrobić. Była to sytuacja nadzwyczajna, bo bombardowano gruzińskie miasta. W takiej sytuacji należy szukać nadzwyczajnych odpowiedzi.

I Kaczyński ją znalazł. Pierwszy raz poczułem się dumny z tego, że prezydent mojego państwa zachował się w tak godny sposób, a zarazem tak zgodny z polskim i moim wyobrażeniem etosu wolności, honoru, tradycji historycznej i rozumu politycznego”.

Największym grzechem prezydentury Bronisława Komorowskiego jest jego fatalna porażka z Andrzejem Dudą. Paradoks Komorowskiego polegał na tym, że był zdecydowanie lepszy w roli głowy państwa niż w roli kandydata na prezydenta. Odsuwam na bok podsycane przez przeciwników jego słabostki i nieprzęczności obracane w szyderstwa. Od początku dramatycznych okoliczności wyboru konfrontował się godnie z posmoleńskim nienawistnym seansem wokół krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Beznadziejnie próbował kleić rozdartą Polskę, zabiegał o zwiększenie budżetu obronnego do 2 procent, był niezależny od swego środowiska politycznego. W obliczu blażnistwa i destrukcji Dudy z nostalgią możemy tylko wspominać „dubeltówkę”, „wąs”, „kaszaloty” i „szoguna”. Stał na straży konstytucji i w odróżnieniu od Dudy nigdy jej nie złamał.

Konstytucyjne zbrodnie Andrzeja Dudy muszą zostać przykładownie ukarane! Bez tego nie przywróci się godności i sensu samej instytucji prezydenta

Nie będę robił bilansu „dokonań”, to znaczy 13 deliktów konstytucyjnych Andrzeja Dudy. Czytelnik znajdzie je w osobnym tekście.

O czym zaświadcza ten pobieżny poczet polskich prezydentów? O jednym niezbicie. Prezydentura to suma: instytucji i charakteru człowieka, który ten urząd sprawuje. Problem pojawia się wówczas, gdy prezydentem zostaje postać bez charakteru. Nie ma więc kryzysu instytucji prezydenta, jest kryzys Andrzeja Dudy, a jego przykład ukazuje, jak wielka może być siła destrukcji niegodnie obsadzonego urzędu. Teraz na przykład prezydent sabotuje zaprzysiężenie nowych, prawidłowo wybranych przez Sejm, członków Państwowej Komisji Wyborczej.

My, demokraci, też powiedzmy sobie słowo prawdy. Sami pomogliśmy Dudzie zwyciężyć. Największa partia opozycyjna do ostatniej chwili miała problem z kandydatem, by ostatecznie podmienić Małgorzatę Kidawę-Bołkowską na Rafała Trzaskowskiego już w trakcie kampanii wyborczej. Szymon Hołownia z kolei nie udzielił jednoznacznego poparcia kandydatowi demokracji. Trzaskowski zaś nie zaważył w debacie TVPiS w Końskich z Dudą. Wówczas nie było to oczywiste, ale dziś widać, że trzeba było próbować.

Dziś demokraci postępują wobec siebie lojalnie, w duchu jedności, nastawieni na ten sam cel. Nie można było tak wcześniej?

Dwa wyciągam z tej opowieści zasadnicze wnioski.

Po pierwsze. Demokraci nie mogą powtórzyć starych błędów. Nie wolno zaważyć i pozwolić wygrać jakiemuś dudoidalnemu kandydatowi. Nie ma pewnych zwycięstw – o czym przekonał się Komorowski, a my razem z nim. Teraz na przykład pojawiło się wsparcie Polsatu dla PiS. Kandydatura Doroty Gawryluk, obłudnie przed-

stawianej jako „niezależnej”, choć jej czule związki ze środowiskiem Kaczyńskiego są tajemnicą poliszynela. To nie jest mem, to realne pieniądze i telewizyjne zasięgi wspierającego ją oligarchy, który wiele ma do stracenia. Dużo się więc może jeszcze złego wydarzyć.

A zatem, tu nie ma miejsca na improwizację. Obóz demokratyczny już powinien opracować strategię zwycięstwa w wyborach prezydenckich 2025. Osobiście jest mi równo obojętne, czy będzie to Szymon Hołownia, Rafał Trzaskowski, Donald Tusk, Władysław Kosiniak-Kamysz, czy ktokolwiek inny, byle był to demokratą traktujący konstytucję jak nienaruszalną świętość.

Z tego wynika drugi, równie ważny wniosek: konstytucyjne zbrodnie Dudy muszą zostać przykładownie ukarane. Po to, by przywrócić sens samej instytucji prezydenta; by postawić na nogi porządek aksjologiczny w państwie (dlaczego zwykli obywatele mieliby przestrzegać prawa, skoro głowa państwa pozostawałaby bezkarna?); by obywatele odzyskali zaufanie do państwa; wreszcie by żadnemu z kolejnych prezydentów nie przyszło do głowy pójść w ślady Dudy.

Dziś z braku odpowiedniej większości nie jest możliwe postawienie Dudy przed Trybunałem Stanu. Potrzeba do tego dwóch trzecich głosów Zgromadzenia Narodowego. Ale czy Andrzej Duda może być pewien, że nie stanie się możliwe po następnych wyborach?

Są tacy, którzy nie przywiązują do tego politycznego znaczenia. Odrzucam takie myślenie. Uważam, że demokraci muszą uczynić wszystko, co politycznie i prawnie możliwe, by prezydent poniósł odpowiedzialność za notoryczne łamanie ustawy zasadniczej.

Są cztery okoliczności, które powiększają odpowiedzialność Andrzeja Dudy.

Po pierwsze, sam jest prawnikiem, doktorem prawa. Nie może się zasłaniać ignorancją. Świetnie wiedział, co robi. Działal z wyrachowaniem i premedytacją.

Po wtóre, uroczyscie przysięgał stać na straży konstytucji. Nie tylko złamał przysięgę, ale miał bronić konstytucji przed innymi, sam ją gwałcił. To tak, jakby policjant okradał ofiary przestępstw, a lekarz mordował swoich pacjentów. To tzw. zbrodnia kwalifikowana, podlegająca wyższej karze.

Po trzecie, Duda robił to wielokrotnie, a więc w warunkach swoistej recydywy.

Po czwarte wreszcie, towarzyszyło mu poczucie kompletnej bezkarności. Zapewne myślał, że rządy PiS potrwają wiecznie. Ale z tego, że teraz jest prezydentem, nie wynika bezkarność w przyszłości. Państwa o wysokiej kulturze demokratycznej i prawnej stawiają swoich prezydentów przed obliczem sprawiedliwości. Nie ma świętych krów. Tak było z byłym prezydentem Kacawem, Chirakiem, Sarkozym, Trumpem, Bolsonaro. Tak może być i z Dudą, choć nie o pospolite przestępstwo tu chodzi.

Napiętnujmy Dudę i pożegnajmy się z nim raz na zawsze! ●

SAMOTNY TURYSTA

Prezydent Polski, piątego kraju UE, dwudziestej pierwszej gospodarki świata, powinien się cieszyć międzynarodowym autorytetem. Od Andrzeja Dudy raczej się stroni

Bartosz T. Wieliński

Po październikowych wyborach międzynarodowa gwiazda Andrzeja Dudy już w ogóle nie świeci. Przeglądam jego dyplomatyczny kalendarz: Światowe Forum Ekonomiczne do Davos, wizyta nowego króla Danii, tournée po wschodniej Afryce (znowu wpadki), nic poza za tym. Nie ma wywiadów w zagranicznych mediach, nie ma nawet zaproszenia do Monachium na prestiżową Konferencję Bezpieczeństwa, która odbędzie się w połowie lutego. Rok temu na konferencji, na którą zjeżdżają politycy, dyplomaci, eksperci od bezpieczeństwa i wojskowi, polski prezydent był jedną z ważniejszych postaci. Teraz Polskę będzie reprezentował szef MSZ Radosław Sikorski. Wiele wskazuje na to, że ten trend się utrzyma. Szkoda. Prezydent Polski, piątego kraju UE, dwudziestej pierwszej gospodarki świata, powinien się cieszyć międzynarodowym autorytetem. Od Andrzeja Dudy raczej się stroni.

Miało być inaczej. Pod koniec sierpnia 2015 r. Duda poleciał z pierwszą wizytą zagraniczną do Berlina, pod koniec października, zaraz po wygraniu przez PiS wyborów do Sejmu, ruszył do Paryża. Witano go z pełnymi honorami, wzdłuż Pól Elizejskich powiewały polskie flagi. Zachód był ciekawy nowego prezydenta, napływające z Polski obawy, że przejęcie władzy przez PiS oznacza koniec demokracji, wręcz wysmiewano. Przecież zmiana u steru jest demokracją kwintesencją, spodziewano się przesunięcia akcentów, ale ogólnie – kontynuacji kursu. Polska aspirowała wówczas do roli jednego z głównych państw rozgrywających Unii, wybór Tuska na stanowisko szefa Rady Europejskiej potwierdzał, że znaczenie Warszawy rośnie. Po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Ukrainie w 2014 r. oczy zachodniego świata po raz pierwszy zwróciły się na Warszawę – polscy dyplomaci z powodzeniem rozkręcali kampanię, przekonując nieznających, a często zblatowanych z Rosją polityków na unijnym zachodzie i południu, że polityka Putina zagraża także bezpieczeństwu ich krajów. I że miejsce Ukrainy jest w Unii. Pod rządami Dudy miałyby to się zmienić, Duda miałby osłabiać znaczenie Polski w Unii, prezydent miałby być samobójcą? Przecież on był europoseł. Bądźcie poważni...

– Będzie drugim Lechem Kaczyńskim – tak zachodni dyplomaci wyobrażali sobie relację z nowym polskim prezydentem. Za pierwszego rządu PiS, gdy premier Jarosław Kaczyński prezentował w polityce zagranicznej nieprzejednane stanowisko, przywódcy i ich dyplomaci uderzali do jego brata. Lech Kaczyński znał lepiej świat, nie był tak nieufny wobec Zachodu, cenil międzynarodowe kontakty. Relację, która miała łagodzić polsko-niemieckie napięcia, utrzymywał z nim np. Richard von Weizsäcker, były prezydent RFN. W nowym rozdaniu liczono, że młody Duda będzie w po-



dobny sposób łagodził starzejącego się Jarosława Kaczyńskiego. Kaczyński w 2015 r. był zdecydowanie bardziej antyniemiecki niż w roku 2007. Ale przecież żona Dudy jest germanistką, rodzina spędzała wakacje w Heidelbergu. To Europejczycy.

Nikt nie przywiązywał wagi do słów Dudy z debaty prezydenckiej z Bronisławem Komorowskim, gdy wypalił, że Polska nie powinna „płynąć w głównym nurcie polityki międzynarodowej”, tylko tworzyć własny. Próbę tworzenia tego polskiego nurtu Duda zaczął zaraz po zaprzysiężeniu, skrzykując państwa regionu do współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza. Wstępny plan nowego prezydenta zakładał konsolidację krajów bałtyckich, grupy wyszehradzkiej i krajów bałkańskich pod przewodnictwem Polski, by stworzyć blok, który zrównoważy wpływ Niemiec czy Francji.

Na papierze liczby się zgadzały, gorzej szło z przekonaniem szefów państw, by realizując polskie instrukcje, szły na udry z innymi krajami UE. Ostatecznie Trójmorze powstało, ale jako międzynarodowe forum zajmujące się współpracą gospodarczą, rozbudową korytarzy transportowych, przesyłem energii. To ważne kwestie, ale o stworzeniu środkowo-europejskiego politycznego bloku nie było mowy. Państwa rozsiane od Bałtyku po Adriatyk i Morze Czarne zbyt wiele różni. A poza tym nikt nie chciał wchodzić na konfrontacyjny kurs, którym coraz wyraźniej płynęła Polska.

Rok 2016 zaczął się od wszczęcia przez Komisję Europejską wobec Polski karnej procedury z art. 7. traktatu europejskiego. To konsekwencja zamachu na Trybunał Konstytucyjny, w którym Duda czynnie uczestniczył. Zaczęły wojenki PiS z Brukselą, Berlinem, Paryżem, które w ciągu ośmiu lat przekształciły się w dyplomatyczny konflikt.

W tym samym czasie piśowski minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski zapowiedział zawiązanie strategicznego partnerstwa z Wielką Brytanią. Pół roku później, po brexitowym referendum, polski strategiczny sojusznik postanowił opuścić Unię. W PiS podobne myślenie trafiło na podatny grunt. Skoro Unia nie akceptuje tego, jak PiS zmienia Polskę, to z Unią trzeba się rozstać... Polska przestała w za-

sadzie prowadzić aktywną politykę europejską, wyłączyła się z dyskusji o przyszłości Wspólnoty, liczyły się tylko polajanki pod adresem unijnych komisarzy, sędziów Trybunału Sprawiedliwości UE, zagranicznych przywódców, którzy odważyli się powiedzieć cokolwiek złego o rządzie PiS.

Wyobraża pan sobie szczyt Trójkąta Weimarskiego w składzie Andrzej Duda, Emmanuel Macron, Olaf Scholz? – pytam unijnego dyplomaty.
Czy powinniśmy narażać poważnych polityków na stratę czasu? – słyszę w odpowiedzi

Andrzej Duda, wykorzystując urząd, mógł hamować zapędy piśowskich radykałów, łagodzić napięcia w relacjach z Zachodem, wręcz działać po swojemu. Ale nie chciał. Zachód z niedowierzaniem dowiadywał się, że polski prezydent nie jest intelektualnie niezależny od szefa rządzącej partii. A w wielu kwestiach jest nawet bardziej radykalny – bo Duda chętnie jechał na antyeuropejskiej fali. „Wspólnota europejska, wspólnotowe wartości – to jest bajka dla frajerów. To jest dla naiwnych tylko”, „Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy”. „Wyimaginowana wspólnota, z której dla nas niewiele wynika” – to najsłynniejsze wypowiedzi prezydenta o Unii. Lech Kaczyński, do którego Dudę naiwnie przyrównywano, był wobec Unii sceptyczny, ale raczej życzliwy. O Dudzie tego powiedzieć się nie dało. Polski nurt w polityce zagranicznej prowadził na peryferia. Polexitu nie wymyśliła opozycja jako nośnego propagandowego hasła – PiS naprawdę dążył do niego małymi krokami, powoli gotował żabę. To stało się ewidentne, gdy pod koniec 2021 r.

• Prezydent RP Andrzej Duda w towarzystwie wyższych rangą oficerów wojskowych podczas uroczystego powitania w State House w Nairobi, 5 lutego 2024 r. FOT. SIMON MAINA/AFP/EAST NEWS

trybunał Przylębskiej uznał za niezgodny z polską konstytucją traktat europejski i europejską konwencję praw człowieka. Duda nie protestował.

– Duda jest, jaki jest, trzeba to jakoś znosić. Choć i tak potrafił zaskoczyć. Na przykład opowieścią, że Unia zakazała sprzedaży zwykłych żarówek – mówi unijny dyplomata. W październiku 2018 r. w Berlinie podczas dyskusji z niemieckim prezydentem Frankiem-Walterem Steinmeierem ubolewał nad przepisami, które zabraniają sprzedawać w sklepach nieenergooszczędne żarówki. – To są problemy, nad którymi zastanawiają się ludzie. Nie wiem, czy to przypadkiem nie jest jedna z przyczyn brexitu – mówił. I wywołał w Europie niedowierzanie – raz, że dyrektywę o energooszczędności zatwierdziły unijne kraje i instytucje, dwa, że żarówki energooszczędne dają więcej światła i kosztują mniej niż zwykłe. I z pewnością akurat to nie jest kwestia, która wywoływałaby jakiegokolwiek kontrowersje.

W tej historii są też jaśniejsze karty. Gdy 24 lutego 2022 r. Rosja napadła na Ukrainę, prezydent, tak jak większość społeczeństwa, jednoznacznie stanął po stronie ofiary. W sytuacji, gdy nie było jasne, czy Ukraina przetrwa uderzenie (według amerykańskich prognoz Kijów miał upaść w 72 godziny), gdy przywódca Zachodu, bojąc się rosyjskiego odwetu, zwlekali ze wsparciem walczącego kraju, Duda był jednoznaczny. Choć wcześniej polsko-ukraińskie relacje były fatalne, stanął po właściwej stronie. W pierwszych miesiącach wojny znaczenie wsparcia polskiego społeczeństwa, które przyjmowało uchodźców, rządu, który wysyłał broń i sprzęt, oraz prezydenta, który występował jako rzecznik Kijowa, miało dla Ukrainy olbrzymie znaczenie. Można śmiało powiedzieć, że Duda zawstydził Zachód. Bo gdy oni szukali wymówek, by nic nie robić, on działał, jak powinien działać europejski polityk.

Przełożyło się to na niespodziewany przełom w relacjach z USA. Jeszcze w debacie z Komorowskim Duda oburzał się, że w Polsce nie było amerykańskich baz. Administracja Obamy, który urzędował w Białym Domu do 2016 r., była wyczulona na łamanie praworządności i do rządu PiS miała chłodny stosunek. Na szczycie NATO w Warszawie w czerwcu 2016 Obama publicznie skrytykował Dudę za przejmowanie Trybunału Konstytucyjnego.

Jego następca Donald Trump do polityki PiS nie miał zastrzeżeń, o ile nie kolidowała ona z interesami amerykańskich koncernów (ku zgryzocie rządzących chodziło też o właścicieli telewizji TVN). Duda, jako jedyny przywódca dużego europejskiego państwa, Trumpowi nieustannie czapkował, proponował nawet, by stałą bazę amerykańskich wojsk w Polsce nazwać fortem Trump. Trump umizgami gardził. W 2019 r. w ostatniej chwili odwołał przyjazd do Warszawy na obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Mimo to Duda tygodniami nie chciał uznać jego wyborczej klęski, a jego otoczenie przekonywało, że zwycięstwo Bidena może zostać podważone. Ostatecznie polski prezydent gratulacje nowemu prezydentowi USA wysłał jako jedne z ostatnich, tuż po Putinie. Stosunki z nową administracją były lodowate. Aż wybuchła wojna. W ciągu roku Biden był w Polsce aż dwa razy.

Wydawało się, że dzięki wspieraniu Ukrainy Duda nadrabia to, co stracił. Odzyskuje wiarygodność, daje przykład, wyznacza nurt polskiej polityki zagranicznej. Ale Duda pozostał Dudą.

Odnosiłem wrażenie, że wspieranie Ukrainy było dla prezydenta i dla rządu PiS kolejnym polem do propagandowej konfrontacji z Zachodem. Bo Polska daje przecież Ukrainie czołgi i ciężką artylerię, a Zachód się waha. A ten sam Zachód, który poucza Warszawę w sprawie rządów prawa i innych wartości, sam te wartości łamie, odmawiając pomocy napadniętemu krajowi. Duda wczuł się w rolę i ostro lajał Zachód. Pamiętam, jak publicznie rozważał, by Niemcy oddali Rosji Bawarię, skoro domagają się, by Ukraina w zamian za pokój oddała Rosji obwód ługański. Rzekoma niemiecka propozycja krążyła jedynie w internecie, być może była rosyjską wrzutką. Słowa prezydenta propaganda PiS niosła po Polsce. Bo wiadomo, kto w polskiej polityce jest Niemcem...

Propagandowe zyski były chwilowe. Berlin i Paryż przełamały się i zaczęły dostarczać Ukrainie ciężką broń, relacje tych stolic z Kijowem błyskawicznie się poprawiły. Polski prezydent przestał być potrzebny jako łącznik Ukrainy z przywódcami Europy.

A potem w Polsce zaczęła się kampania wyborcza. PiS ostro grał antyukraińską kartą, wprowadził embargo na eksport ukraińskiego zboża – choć wcześniej dopuścił do tego, że załalo polski rynek, z ust najważniejszych rządzących polityków padły deklaracje o wstrzymaniu pomocy wojskowej, a nawet możliwym blokowaniu wejścia Ukrainy do UE. To, co Duda budował przez półtora roku, latem zeszłego roku rozleciało się w kilka tygodni.

Jaką rolę w polityce zagranicznej odegra prezydent? Może tylko utrudniać jej odbudowę, choć na razie, mimo walki z rządem o naprawę sądownictwa, na tym polu rysuje się kompromis. Andrzej Duda odwołał pisowskiego stałego przedstawiciela przy UE, zapowiada też, że nie będzie robić problemów, jeśli chodzi o zmiany kadrowe w innych ambasadach. Ale tuż przed wyborami przeforsował zmiany w ustawach, dzięki czemu zagwarantował sobie wpływ na politykę europejską rządu i na to, kto zostanie polskim komisarzem. Z rządu Tuska nieustannie słychać sygnały, że w tej sprawie prezydent będzie konsultowany. Ale nie będzie miał prawa głosu. ●

Andrzej Duda w punktach

Żaden inny polski prezydent nie udzielił schronienia skazanym na więzienie przestępcom, nikt też nie podpisał tak wielu łamiących konstytucję ustaw.

Anita Karwowska

2015

PIERWSZE UŁASKAWIENIE MARIUSZA KAMIŃSKIEGO I MACIEJA WĄSIKA

Prominentni politycy PiS zostali w marcu 2015 r. skazani nieprawomocnie za przekroczenie uprawnień w procesie dotyczącym afery gruntowej z 2007 r., kiedy kierowali Centralnym Biurem Antykorupcyjnym. Po wygranej przez PiS w wyborach wyrok stał pod znakiem zapytania ich obecność w formującym się rządzie Beaty Szydło, na czym zależało Jarosławowi Kaczyńskiemu. Z pomocą przyszedł prezydent, który kilka godzin przed przysiężeniem rządu ułaskawił Kamińskiego, Wąsika i dwóch oficerów CBA. Politycy zdążyli wziąć udział w ceremonii wręczenia nominacji członkom nowego gabinetu. Był to pierwszy przypadek zastosowania prawa łaski przed prawomocnym wyrokiem. Duda tłumaczył, że chciał w ten sposób „uwołnić wymiar sprawiedliwości” od tej sprawy. Drugi raz uwolnił go od sprawy Kamińskiego i Wąsika w styczniu 2024 r. Tym razem – jak oceniają to prawnicy – prawidłowo.

NOCNE ZAPRZYSIĘŻENIE DUBLERÓW

Prezydent odmówił przyjęcia ślubowania od trzech sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez Sejm siódmej kadencji, która dobiegła końca jesienią 2015 r. PiS unieważnił ich wybór i wybrał na ich miejsca nowe osoby, a Duda błyskawicznie – nocą z 2 na 3 grudnia – odebrał od czterech nowych osób ślubowanie. Jak tłumaczył potem w orędziu, zrobił to, „by zakończyć niepotrzebne waśnie”, co było wstępem do zdemolowania Trybunału Konstytucyjnego.

2016

PREZYDENT I „RUCHADŁO LEŚNE”

Wiosną 2016 r. głośno zrobiło się o aktywności głowy państwa na Twitterze. Obserwatorzy internetu dostrzegli, że Andrzej Duda śledzi na Twitterze, często nocą, nastolatki o nickach „Foczka”, „Pimpus Sadelko”, „ruchadło leśne”, „Karolina Wazelina” i „seba sra do chleba” – pozdrawia młodych użytkowników sieci, pociesza, gdy trzeba, składa też im życzenia. „Kurwa. Czemu Andrzej Duda dał mi follow? Ja tu płaczę” – napisała internautka adrienne, na co prezydent zapytał: „Usunąć?”. Ta odpowiedziała: „Absolutnie”. Prezydent zakończył: „Proszę. I pozdrawiam:-)”).

„DOJNA OJCZYZNA”

W marcu 2016 r., podczas wiecu w Otwocku, Andrzej Duda skomentował protesty Komitetu Obrony Demokracji wobec wymierzonej w praworządność polityki PiS: – Patrzę na to z przykrością czasem, bo o ile widzę często na tych manifestacjach twarze właśnie tych, którzy w ostatnim czasie bardzo dużo stracili (...) – jak to się niektórzy śmieją, „ojczyznę dojną racz nam wrócić Panie”, mówią ci ludzie – to wśród nich jest bardzo wielu ludzi przywoitych, którzy dają się zwać pewnym próbom zastraszania. Proszę państwa, spokojnie, nie ma się czego bać.

2017

ZAMACH NA SĄDY

Aby przejąć kontrolę nad Sądem Najwyższym, Andrzej Duda łamał i konstytucję, i prawo unijne. Zrobił to w kilku krokach. Wniósł i podpisał się pod projektami ustaw niszczących Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa. To jemu zawdzięczamy stworzenie systemu dyscyplinarnego do nękania sędziów i prokuratorów. To on podpisał się pod ustawą dewastującą sądy powszechne i ustawą kagańcową, która pozwala gnębić i karać sędziów wykonujących orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości UE.

2018

FORT TRUMP

Podczas wizyty w Białym Domu w 2018 r. prezydent Polski zaproponował Donaldowi Trumpowi, że Polska przeznaczy 2 mld dol. na stałą bazę jego imienia. Prezydent USA wydawał się mile polecthany, a Duda i politycy PiS później regularnie zapewniali, że budowa jest na dobrej drodze. Sprawę zamknęła ambasadorka USA w Polsce Georgette Mosbacher, stwierdzając, że koncepcja budowy fortu Trump była wyłącznie pomysłem Dudy i nigdy nie była brana na poważnie.

2020

TO JEST PO PROSTU IDEOLOGIA

Podczas kampanii wyborczej Andrzej Duda postanowił walczyć o reelekcję za pomocą homofobicznej retoryki. Podpisując tzw. kartę rodziny, obiecał, że będzie „chronił dzieci przed ideologią LGBT” i że zakaze jej „propagowania” w instytucjach publicznych. Podczas wiecu wyborczego w Brzegu powiedział o osobach nieheteronormatywnych: – Próbuje się nam, proszę państwa, wmówić, że to ludzie. A to jest po prostu ideologia. Jeżeli ktoś ma jakiegokolwiek wątpliwości, to niech sobie zajrzy w karty historii i zobaczy, jak wyglądało na świecie budowanie ruchu LGBT, niech zobaczy, jak wyglądało budowanie tej ideologii, jakie poglądy głosili ci, którzy ją budowali. Wypowiedzi Dudy wywołały powszechny sprzeciw organizacji działających na rzecz praw człowieka.

JOE BIDEN BEZ GRATULACJI

7 listopada, trzy dni po wyborach prezydenckich w USA, które przyniosły polityczną zmianę, Andrzej Duda pogratulował Joemu Bidenowi „udanej kampanii prezydenckiej”, precyzując, że robi to w „oczekiwaniu na nominację Kolegium Elektorów”. Zostało to odebrane jako brak gratulacji. Właściwą depeczę gratulacyjną wysłał miesiąc później. Powszechne przekonanie, że Duda nie może się pogodzić ze zmianą lokatora w Białym Domu, jeszcze się wzmocniło.

2021

PRZEMOC POLICJI?

NIE, PROFESJONALIZM

Trzy miesiące po wyroku TK Julii Przyłębskiej, w wyniku którego zakazana została aborcja z powodu ciężkiej wady płodu, wybuchły wielotysięczne protesty przeciwko drakońskiemu prawu. Ich uczestnicy wielokrotnie doświadczali brutalności ze strony policji (użyto np. pałek teleskopowych). Zapytany przez dziennikarza TVN 24 o ocenę działań mundurowych Andrzej Duda odpowiedział: – Policja u nas zachowuje się w niezwykle profesjonalny sposób. U nas nie ma przypadków, że ktośkolwiek zginął.

2022

PREZYDENT DAJE SIĘ WKREŚCIĆ. ZNOWU

Andrzej Duda przez ponad siedem minut prowadził rozmowę telefoniczną, myśląc, że po drugiej stronie jest prezydent Francji Emmanuel Macron. Było to w dniu eksplozji rakiety w Przewodowie. Prezydent Duda tłumaczył i przekonywał rozmówcę o swoim stosunku do Rosji i szczegółach tragedii, w której zginęło dwóch Polaków. W rzeczywistości z głową państwa rozmawiała dwójka rosyjskich blogerów, znani jako „Vovan” i „Lexus”. To pranksterzy, którzy nabierają znanych ludzi, podając się za inne znane osoby, a nagrania publikują w sieci. Z Andrzeja Dudy zażartowali w ten sposób dwukrotnie. W 2020 r. Rosjanie dodzwonili się do niego, podając się za sekretarza generalnego ONZ.

2023

„LEX TUSK”

Pod koniec maja 2023 r. prezydent podpisał ustawę o komisji do zbadania wpływów Rosji na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski w latach 2007-22, zwaną lex Tusk. Miała to być główna broń PiS-u w kampanii wyborczej przeciwko liderowi opozycji demokratycznej. Celem działań komisji było wykazanie, że Donald Tusk w swojej polityce działał na rzecz Rosji. Duda podpisał ustawę, argumentując, że transparentność wyjaśniania ważnych kwestii publicznych ma dla niego „czołowe znaczenie”. Prawnicy i obrońcy praw człowieka przekonywali, że ustawa na potęgę łamie konstytucję, z czego Duda wiele sobie nie robił. Ugiął się po krytyce ze strony USA. Trzy dni po podpisaniu ustawy wniósł projekt jej nowelizacji z poprawkami, które miały uratować sytuację obozu władzy. Bezskutecznie. Sprawa „lex Tusk” zapisała się wśród największych kompromitacji PiS i prezydenta Dudy.

2024

PAŁAC PREZYDENCKI SCHRONIENIEM

Po tym jak sąd wydał nakaz doprowadzenia do zakładu karnego Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego, obu skazanych przysgarzył Andrzej Duda. Prezydent zaprosił ich do Pałacu Prezydenckiego na uroczystość zaprzysiężenia ich bliskich współpracowników – Błażeja Pobożego oraz Stanisława Żaryna – na swoich doradców, po czym gościł przez cały dzień. Policja weszła na teren pałacu późnym wieczorem i zatrzymała obu skazanych. Kilka dni prezydent utrzymywał, że jego pierwsze ułaskawienie było prawidłowe. Następnie zmienił zdanie i ponownie ułaskawił politycznych kolegów, by znów przyjąć ich z pełnym czułości powitaniem w Pałacu Prezydenckim.

CZYJ JEST KRYM

W wywiadzie internetowym dla Kanału Zero udzielonym na początku lutego br. Andrzej Duda ocenił szanse odzyskania przez Ukrainę Krymu, który od 2014 r. jest okupowany przez Federację Rosyjską: – Nie wiem tego, czy odzyska Krym, ale wierzę w to, że odzyska Donieck i Ługańsk. Przeciw słowom prezydenta wypowiedzieli się m.in. ukraiński ambasador w Warszawie oraz minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który zapewnił, że Polska uznaje niepodległość Ukrainy w jej międzynarodowo ustanowionych granicach. ●



PRZEMYSŁAW
POLSKĘ ZBAW!

Młody, a już doświadczony, silny fizycznie i odporny psychicznie, profesor prawa, biegły w retoryce.
I już przemawia jak szef! Ludzie PiS są pewni, kto zastąpi Kaczyńskiego

Piotr Głuchowski, ilustracja Patryk Sroczyński

– Przemysław na prezesa! – takimi okrzykami (w ostatnią niedzielę stycznia) przywitała byłego ministra edukacji publiczność wypełniająca salę kongresową hotelu Weneda w Opolu.

– Wcale mnie to zawołanie nie dziwi – mówi politolog i historyk profesor Antoni Dudek. – Jeszcze niedawno widziałem dwóch delfinów: Czarnka i Morawieckiego. Obaj emblematyczni dla pisowskich skrzydeł – radykalnego i umiarkowanego. Skoro jednak Kaczyński idzie w radykalizm, to szanse byłego premiera maleją, a szanse eksministra rosną.

– Czarnek jest samonarzucającą się opcją – potwierdza znawca krajowej polityki, profesor nauk społecznych Jarosław Flis. – Atrakcyjny dla żelaznego elektoratu, swojski dla aparatu. Zresztą... jakich ma konkurentów?

Lista potencjalnych następców prezesa PiS jest faktycznie krótka. Wedle zgodnej tym razem opinii publicystów „Rzeczpospolitej”, TOK FM i serwisu wPolityce.pl znajdują się na niej cztery nazwiska: Beata Szydło, Mateusz Morawiecki, Mariusz Błaszczak i właśnie Czarnek.

– Do niedawna z grubsza równe szanse w tym kwartecie mieli on i Błaszczak – mówi mi wieloletni poseł PiS spoza Warszawy. – Po posiedzeniu klubu z połowy stycznia Przemysław wyszedł na prowadzenie. Widziałem na własne oczy.

Zdaniem mego rozmówcy Beata Szydło ma tylko jedną zaletę: „jest kobietą”. Była słabym premierem i „trzeba ją było wymienić”. Jej kapitał to „wyłącznie zwietrzała pamięć twardego elektoratu”.

Mateusz Morawiecki z kolei „za szybko wyskoczył przed szereg”, kiedy z początkiem roku wystąpił w Radiu ZET. „Chciałbym, żeby Jarosław Kaczyński był jak najdłużej szefem” – zaczął niedawny premier, lecz od razu dodał, że wymiana jest nieunikniona, on zaś „chciałby wystartować w zaszczytnym wyścigu” o schedę.

Za tę wypowiedź prezes osobiście „skrytykował Mateusza na posiedzeniu kierownictwa PiS”.

Krótko później zebrał się klub parlamentarny z udziałem mego posła. Debatowano m.in. nad poparciem wniosku o odwołanie Krzysztofa Bosaka z funkcji wicemarszałka Sejmu – bo nie poradził sobie z chanukowym występem z gaśnicą kolegi z Konfederacji Grzegorza Brauna.

Na klubie Mariusz Błaszczak opowiedział się przeciw Bosakowi, którego odwołania chcieli posłowie Lewicy. Wówczas ostro zaoponował Czarnek. Pomyśl „wywoływania wojny na prawicy”, czyli wchodzenia w konflikt z konfederatami, nazwał szkodliwym i głupim; gorzej niż zbrodnią – błędem. Po czym miał skrytykować Błaszczaka za miękkość. Obecni nagrodzili Przemysława spontanicznymi brawami. Mariusz był zdruzgotany, Bosak ocalał.

– Do przyszłorocznego kongresu, na którym prawdopodobnie wybierzemy następcę, wiele się może zdarzyć, na razie mamy Czarnka – mówi mi dalej poseł. – Jest jeszcze młody, a już doświadczony. Silny fizycznie i odporny psychicznie. Ma doskonałe relacje z Toruniem. Do tego jest profesorem prawa, biegłym w retoryce, a co jeszcze ważniejsze: z jasnym oglądem sytuacji. Dzieli polityków na patriotów i zdrajców. Barzan [poseł, odwołując się do popularnych na prawicy analogii historycznych, ma na myśli konfederatów barskich] i targowiczán. A czasy są dla nas ostateczne, bo tamci się też nie cackają. Potrzebujemy hetmana polnego. Wystarczy zresztą posłuchać: on już przemawia jak szef.

Wystąpienia Czarnka – od sali sejmowej po Radio Maryja – stały się w ostatnich miesiącach czymś w typie exposé – stanowiskiem PiS wobec najważniejszych problemów gospodarczych, społecznych, politycznych. Mniej ważni politycy partii jedynie te teksty powielają. „PiS mówi dzisiaj Czarnkiem” – zauważa publicysta Wirtualnej Polski Michał Wróblewski. A poseł robi spotkanie za spotkaniem, dużo gestykuluje, przechodzi od krzyku do mormorando, sypie dowcipami, czaruje słuchaczy, wskazując niektórych palcem. Od połowy stycznia pracuje tak we wszystkie weekendy i wciąż doskonalili przekaz, który można ocenić m.in. na jego starym youtubowym kanale „Polska to nie wstyd” (17 tys. subskrybentów, wznowiony po przerwie na osiem lat rządów PiS).

Czarnek przedstawia tam choćby definicję „koalicji 13 grudnia”, jak pisowscy propagandyści nazywają rządzący sojusz KO, Trzeciej Drogi i Lewicy. – Mówimy tak nie tylko dlatego, że owego dnia – co jest symboliczne – nowy rząd został zaprzyszczony, ale również dlatego, że są tam ludzie – potomkowie tych, co stan wojenny współtworzyli, albo przynajmniej gloryfikowali. Są tam ludzie, któ-

rzy nawet teraz wychwalają takich zbrodniarzy, jak Jaruzelski czy Kiszczak. Do rządu weszli choćby tacy, jak redaktor [Paweł] Wroński z „Gazety Wyborczej” z Czerskiej. Jeden z tych, co przez dziesięciolecia serwowali pedagogikę wstydu.

Inny podcast z serii „Polska...” dotyczy obecnego ministra sprawiedliwości, który zaszedł rządzącej prawicy za skórę jako rzecznik praw obywatelskich. Czarnek za biurkiem na tle biało-czerwonej flagi i fikusa beniamina przedstawia...

– ...kompromitacji pana Adama Bodnara ciąg dalszy. Otóż stwierdził on, że może wbrew przepisom ustawy, wbrew systemowi prawnemu, dokonać zamachu na funkcję prokuratora krajowego. Stwierdził, że prokurator krajowy [Dariusz] Barski nie jest prokuratorem krajowym i nigdy nim nie był. Na podstawie czego to stwierdził? Na podstawie niczego! Łamanie prawa ciąg dalszy! Łamanie konstytucji ciąg dalszy! [Lecz przyjdzie czas] kiedy będziemy wyciągać konsekwencje wobec tych, którzy postanowili dzisiaj zniszczyć w Polsce demokrację, zniszczyć praworządność i występować zupełnie poza granicami prawa.

– Oto klasyczne, znane w psychologii przeniesienie: oskarżanie przeciwników o własne bezecnistwa – mówi mi prawnik i komentator polityczny, profesor Marcin Matczak.

A Czarnek się rozkręca. Spotkanie w połowie stycznia w Opolu: – Szymon Holownia to pajac z TVN, który wykonuje posłusznie rozkazy Tuska, płynące oczywiście z Brukseli, Berlina i Moskwy! Kto do tej jego partii należy? Pani Róża von und... coś tam. Ja będę tak mówił, bo nie muszę znać całego niemieckiego nazwiska [sala głośnie się śmieje]. Moja rola, by myśleć po polsku i dbać o interes państwa polskiego! Inna pani, która jest przedstawicielem partii Polska 2050, nazywa się Paulina Hennig-Kloska. Jakże polsko brzmiące nazwisko... Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiła, to zdjęła symbol Polski Walczącej z budynku Ministerstwa Klimatu. Kim jest więc Hennig-Kloska?

**Od szóstego roku życia służył
do mszy, pięknie śpiewał pieśni
religijne, znał na pamięć więcej
zwrotek niż większość rówieśników.
Po latach, jako wojewoda lubelski,
znajdował czas, by się stawiać
na diecezjalnych zjazdach byłych
ministrantów**

– Zdrajcą! – odpowiada sala.

– Dam inny przejaw bezczelności Niemców – zagaja poseł 28 stycznia na „spotkaniu wolnych Polaków” w sprawie mediów publicznych we Wrocławiu. – Znać państwo projekt portu kontenerowego bardzo dla nas ważnego w Świnoujściu?

– Znamy! – dobiega z zatłoczonej sali otwartej na przepełniony korytarz.

– To wiecie, że zakończył się termin na składanie protestów środowiskowych i można z inwestycją było iść dalej do przodu... Jednak dwa dni temu ministerstwo pani Hennig-Kloskiej przedłużyło o dwa miesiące możliwość składania odwołań. W interesie kogo?!

– Niemiec!

Czarnek: – W Berlinie dopiero się podnoszą po szampanie, który wypili z radości po tej decyzji Polski. To jest kolejny przejaw służalczości Niemcom! Pani [minister edukacji Barbara] Nowacka mówi, że dzieci nie muszą się uczyć w domu... ona chce zrobić z Polaków parobków! Bo przecież człowiek, który nic nie umie, może być tylko parobkiem...

– Niemieckim! – słychać rytmiczne oklaski.

Czarnek: – Tusk, Holownia, Sienkiewicz... oni łamają prawo, a jeszcze występują przeciw najważniejszej polskiej inwestycji...

Psuje się mikrofon, lecz były minister nie milknie, tylko zaczyna krzyczeć:

– Centralny Port Komunikacyjny w Baranowie to jest coś jak port Gdynia przed wojną! To nie tylko lotnisko, żeby sobie latać! To nie tylko kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy! To jest przede wszystkim możliwość zarabiania przez państwo polskie na transporcie lotniczym z całego świata wielu miliardów złotych rocznie! Dlatego nasi przeciwnicy nie chcą, żeby Polacy zarabiali?! Bo mają zarabiać...

Czarnek podnosi ręce i woła razem z salą:

– Nieeemcy!

Na tym samym wrocławskim spotkaniu profesor prawa i poseł stwierdził, że „żydowska »Gazeta Wyborcza« niszczy państwo polskie”.

– I mówię to głośnie, bo nie mam kompleksów.

Nie jestem antysemitą. Pochodzę ze zwykłej wiejskiej, katolickiej, robotniczo-chłopskiej rodziny!

Tyle że chwytiliwa wrzutka o „robotniczo-chłopskim” pochodzeniu nijak się ma do rzeczywistości. Owszem, Czarnek pochodzi ze wsi – liczącego niespełna 800 mieszkańców Goszczanowa w powiecie sieradzkim. Jan Czarnek (zbieżność nazwisk przypadkowa), historyk regionalista, autor książki „Ziemia goszczanowska”, utrzymuje, że wszyscy Czarnkowie z tych okolic wywodzą się od „czarnych”, czyli tatarskich jeńców osadzonych między Wartą a Turkiem jeszcze przez Jagiellę. Nie ma na to dowodów pisanych – jest tylko tradycja ustna. Na pewno wiemy tyle, że mama przyszłego ministra Bożena była w latach 80. pielęgniarką (po liceum) w przychodni zdrowia. Ojciec Henryk – zawodowym kierowcą. Po roku 1989 i transformacji ustrojowo-gospodarczej ona otworzyła sklep 1001 Drobiazgów, on kupił własną ciężarówkę i też został przedsiębiorcą.

Oboje byli religijni – nie tylko chodzili do kościoła, przestrzegali postów i przyjmowali kołędę, ale też nocowali, karmili i zaopatrywali na drogę pomorskich pielgrzymów regularnie przechodzących przez wioskę w drodze do Częstochowy. Ojciec przyjaźnił się z proboszczem, mama nosiła kwiaty do kościoła.

Syna urodziła wiosną 1977 r. w wielkopolskim Kole. Chłopiec dorastał, mieszkając z rodzicami i siostrą w niewielkim domu z ogródkiem naprzeciwko szkoły noszącej obecnie imię Jana Pawła II.

11 listopada 2021 r. wybrany z listy PiS wójt Goszczanowa Krzysztof Andrzejewski wręczył najbardziej prominentnemu absolwentowi tej podstawówki akt honorowego obywatelstwa gminy. Radni poparli gest jednogłośnie: za uhonorowaniem Czarnka opowiedzieli się również ci z PSL oraz Lewicy Razem. Goszczanów jest z posła dumny bez względu na barwy partyjne.

„Był doskonałym uczniem” – wspomina w One-cie Aleksandra Maryniaczyk, nauczycielka przyrody. „Wysoki i przystojny, na świadectwach miał same piątki, a kiedy wprowadzono sześciostopniową skalę, zaczął dostawać szóstkę”.

Szóstkę na koniec roku wystawiał mu m.in. nauczyciel muzyki i organista miejscowej parafii. Nic dziwnego: Przemek od szóstego roku życia służył do mszy, pięknie śpiewał pieśni religijne i znał na pamięć więcej zwrotek niż większość rówieśników. Po latach jako wojewoda lubelski mimo nawału pracy znajdował czas, by się stawiać na diecezjalnych zjazdach byłych ministrantów.

„Był nie tylko pierwszy w nauce, lecz i wzorowy w zachowaniu – kontynuuje pani od przyrody. – Działal aktywnie w szkolnym samorządzie i zdobył dyplom w olimpiadzie matematyczno-fizycznej”.

Rodzice chcieli więc wysłać młodego zdolnego do szkoły dającej maturę. Szczęśliwie brat matki, ksiądz Jerzy Pałucki (który akurat wrócił ze studiów we Włoszech, by zostać dyrektorem instytutu historii Kościoła na KUL) zaczął budować dom przy ulicy Gajowej w lubelskiej willowej dzielnicy Sławin. Piętnastoletni Przemysław wyjechał z Goszczanowa na stałe, by mieszkać z duchownym.

Dzięki dyplomowi olimpijczyka przyjęto go do II Liceum im. hetmana Jana Zamoyskiego, które już wtedy uchodziło za najlepszy ogólniak w Lublinie. Poziom był tak wysoki, że szóstkowicz ze wsi ledwo wyciskał tu średnią 3,7 do 4,0. Maturę zdał jednak na bardzo dobrych i w dodatku – jak później podkreślał – nie biorąc korepetycji.

Dzięki kontaktom wuja jeszcze przed wejściem Polski do Unii pracował podczas wakacji we Włoszech. Najczęściej jako barman. Zarabiał w tydzień tyle, ile ojciec kierowca w miesiąc. Po 1996 r., gdy został studentem Wydziału Prawa KUL, mimo zdobycia uczelnianego stypendium nadal jeździł na saksy – i tak poznał żonę.

– Pracowałem w jednym hotelu, ona w restauracji w drugim – wspomina na YouTube. – No i pewnego razu oczy się spotkały. Kasia od razu mi się spodobała. Byłem typem nieśmiałym, więc trochę to trwało, nim bliżej się poznaliśmy. Po powrocie do Polski zostaliśmy parą.

Katarzyna Czarnek, wysoka dziewczyna o filmowej urodzie, skończyła biologię, by wykładać na KUL dietetykę. Jesienią 2019 r. zrobiła doktorat. Wcześniej urodziła dwójkę dzieci: Julię oraz Mateusza. W ostatnich latach była m.in. wiceszefową uczelnia-

nego Instytutu Nauk o Zdrowiu, od maja ubiegłego roku – dyrektorką Instytutu Nauk Medycznych KUL.

Czwierć wieku wcześniej młodzi małżonkowie mieszkali na Gajowej z wujem kapłanem i jego rodzicami, czyli dziadkami Przemysława, których ks. Pałucki sprawdził na stare lata do siebie. Gdy Katarzyna urodziła Julkę, zrobiło się ciasno, więc Czarnkowie wynajęli mieszkanie na Kalinowszczyźnie – blokowisku po drugiej, wschodniej stronie miasta. Z czasem wybudują dom na północnym skraju Lublina.

W 2001 r. Czarnka spotkały i szczęście, i tragedia. W Lublinie dostał dyplom magistra prawa (temat pracy: uwłaszczenie chłopów). W Goszczanowie mama umarła na raka. Miała dopiero 44 lata. W dodatku zachorował ojciec – wykryto u niego stwardnienie rozsiane. Opiekowała się nim głównie córka, syn – asystent, potem adiunkt w katedrze prawa konstytucyjnego KUL – przyjeżdżał, kiedy mógł. Pracował wtedy nad doktoratem: „Zasady państwa prawnego i sprawiedliwości społecznej w praktyce ustrojowej III RP”.

Czytam jego pracę: doktorant opowiada się za koncepcją „społecznej gospodarki rynkowej” jako wspólnego dzieła rządzących i rządzonych. Mocno krytykuje państwo opiekuńcze, „którego polityka stanowi obciążenie gospodarki rosnącym pakietem świadczeń socjalnych i odrzuca (...) sprawność w imię prymatu polityki socjalnej nad gospodarką”.

Dziesięć lat przed wprowadzeniem przez PiS 500 plus oraz 13. i 14. emerytury młody prawnik pisał, że „państwo opiekuńcze, socjalne, jest tylko z pozoru państwem solidarnym. Zadania państwa rozbudowane ponad miarę i co najważniejsze, ponad ekonomiczne możliwości, związane w szczególności z szeroką sferą ochrony społecznej, powodują coraz większe zadłużanie i efekt w postaci wystawiania rachunków przyszłym pokoleniom”. Leszek Balcerowicz nie ująłby tego lepiej.

– Jako licealista i student Przemek nie był politycznie zbyt określony – mówi mi starsza odea o pokolenie lubelska radna Jadwiga Mach, kiedyś działaczka Ruchu Odbudowy Polski, potem w klubie rajców PiS, dziś w komisicie popierającym związanego z Platformą prezydenta Krzysztofa Żuka i w radzie parafii św. Stanisława Biskupa Męczennika, gdzie zasiada też Czarnek. – Mówiono o mnie, że byłam matką chrzestną jego politycznego sukcesu, bo zaprosiłam go, jeszcze jako nastolatka, do rady osiedla Sławin. Był życzliwy, rozmowny, przyjaźnił się z moimi dziećmi, również będąc studentem. Pobożny, prawdomówny, dopiero z latami bardziej prawicowy.

Jesienią 2002 r. dwudziestopięcioletni dzielnicowy radny wystartował do samorządu miejskiego z komitetu Prawo i Rodzina, którego listę otwierał publicysta Radia Maryja i wykładowca szkoły medialnej ojca Rydzka, profesor KUL Mieczysław Ryba (obecny członek Kolegium IPN). Startujący z miejsca piątego Przemysław zdobył ledwo 61 głosów. Prof. Ryba otworzył mu jednak drzwi do toruńskiej rozgłośni i Telewizji Trwam. Występy na obu antenach zostały dostrzeżone przez wierzchołek PiS – i tak się zaczęła ogólnopolska kariera przyszłego ministra edukacji.

Odsłuchuję „Rozmowy niedokończone” – flagową audycję Radia Maryja – sprzed lat. Temat: „Rozwój rewolucji seksualnej w Polsce”. Gośćmi są Ryba i Czarnek.

– Jaka jest główna myśl tej rewolucji? – pyta redemptorysta o. Bolesław Słota.

Ryba odpowiada: – Próba łączenia tego, co jest redukcjonistycznym spojrzeniem na człowieka w wymiarze jego popędu seksualnego, z myśleniem marksistowskim, które zakłada wywrócenie starego porządku...

Włącza się Czarnek: – Oni tak patrzą na to, że wyzwolenie seksualne ma zniszczyć wszystkie zniewolenia, które człowiek ma

w aspekcie życia w rodzinie, narodzie, Kościele i tak dalej. Tymczasem my, jako zdecydowana większość chrześcijańska w Polsce, mamy swój katechizm, mamy Biblię i patrzymy ze zgrozą na to, co na ulicach... Nie mówimy tu źle o ludziach, bo im się należy szacunek, również tym zagubionym. Lecz akty homoseksualizmu, z moralnego punktu widzenia, nie mogą być akceptowane.

Ta tematyka stanie się znakiem rozpoznawczym Czarnka. W 2019 r. w jego gabinecie – jako wojewody – narodzi się pomysł przyjmowania przez samorządy „uchwał anty-LGBT”. Pierwsze przegłosują gminy i powiaty województwa lubelskiego – m.in. Kraśnik, Świdnik, Puławy. Gdy wcześniej, latem 2018, przez Lublin przejdzie pierwszy Marsz Równości, wojewoda orzeknie, że to „promocja zbrodni, dewiacji i wynaturzeń”. Organizator demonstracji Bartosz Staszewski wyśle mu prywatny akt oskarżenia, lecz sprawa się skończy ugodą po zamieszczeniu na YouTube oświadczenia oskarżonego: „Jest mi niezmiernie przykro, że moje słowa wywołały negatywne oceny co do moich intencji. Wszystkich, którzy z tego powodu poczuli się urażeni – przepraszam”.

Krótko po ugodzie Czarnek publikuje na YT materiał wyjaśniający zwolennikom, że „przeprosiny w żaden sposób nie zmieniają jego negatywnej oceny homoseksualizmu”. I komentuje: „W dalszym ciągu jestem, pozostaję i będę zawsze przeciwnikiem promocji zbrodni, dewiacji i wynaturzeń, a zwolennikiem promocji małżeństwa opartego na związku kobiety i mężczyzny”.

Wtedy Staszewski skarży decyzję sądu rejonowego o umorzeniu sprawy w wyniku ugody, ale sąd okręgowy broni orzeczenia. Nie podważa się przecież dobrowolnie zawartych ugod.

A Czarnek opowiada słuchaczom Radia Maryja, jak go targano po wokandach:

– Ponieważ myśmy dotąd siedzieli biernie, cicho, gdzieś za filarami, to pozwoliliśmy wejść z rewolucją seksualną na nasze ulice. Pozwalamy spokojnie maszerować marszom, bo oni nas przekonali, że to jest normalne, a zatem i równe. Mamy dziś do czynienia z dyktaturą mniejszości!

Wypowiedź tak przypadnie do gustu ojcu dyrektorowi, że zadzwoni do studia:

– Jesteśmy z przyjaciółmi w samochodzie, i to jest po prostu rozkosz słuchać pana! My nie możemy być obojętni! Brawo, pan profesor Czarnek! A audycję teraz zwiąż z internetem, przesłać znajomym, powiedzieć im o tym wszystkim... no!

Rydzik może nazywać Czarnka profesorem nie tylko grzecznościowo, bo ten w 2015 r. habilituje się rozprawą „Wolność gospodarcza. Pierwszy filar społecznej gospodarki rynkowej”. We wstępie píše, że „kluczową przyczyną głębokiego kryzysu gospodarczego, z jakim od wielu lat boryka się nie tylko gospodarka europejska, ale również światowa, jest nasilający się interwencjonizm państwowy w postaci narzuty dużej liczby zadań realizowanych przez państwo”.

– To zabawne, że jako naukowiec Czarnek zwalcza interwencjonizm w gospodarce, a jako polityk zwalcza, jak to mówi prezes, imposybilizm państwa – wzdycha mój informator, poseł. – Kaczyńskiemu to jednak nie przeszkadza. On lubi mieć wokół siebie profesorów, lecz nie do tego stopnia, żeby czytać ich wszystkie prace.

Jeszcze przed habilitacją młody tata i naukowiec spróbował sił w biznesie. Razem z poznanym na saksach Włochem i drugim bratem mamy Mariuszem Pałuckim założyli biuro podróży Mediteran Travel. Interes nie mógł się rozkręcić, więc otworzyli lubelski oddział słynnej niegdyś firmy komputerowej Optimus, która podówczas sprzedawała głównie kasy fiskalne. To również nie przyniosło spodziewanych dochodów. Czarnek po 2005 r. założył spółkę z wujem, by zarabiać już tylko jako jurysta. Prowadził ćwiczenia ze

studentami w Katedrze Prawa Konstytucyjnego KUL, był radcą prawnym urzędu miejskiego w odległym o 60 km od Lublina Radzynie Podlaskim, później wykładał prawo w Akademii Koźmińskiego w Warszawie i w Wyższej Szkole Handlowej w Radomiu. No i zaczął robić polityczną karierę.

Jego współpracownikowi – wujowi Mariuszowi – powiedło się gorzej: w 2019 r. CBA zatrzymało go wraz z trzema osobami (w tym byłym przewodniczącym lubelskiej rady miasta) pod zarzutem korupcji, którą wykrył agent o pseudonimie „Krzyśiek”. Czarnek – wówczas ustępujący wojewoda i świeży poseł PiS – odciał się od brata mamy. „Jest moim krewnym, z którym nie utrzymuję żadnych relacji towarzyskich ani też rodzinnych – napisał na Twitterze. – Prowadziłem z nim pewną działalność, która się skończyła 14 lat temu. Uprzejmie proszę o niełączenie mnie, choćby pośrednio, z interesami osób zatrzymanych w sprawie”.

Muszę się oprzeć tej prośbie, ponieważ w grudniu 2023 „Krzyśiek” udzielił Onetowi wywiadu pt. „Szef CBA uratował karierę Przemysława Czarnka”. Z treści rozmowy wynika, że badając korupcję w Lublinie, agent ABW zainteresował się pogłoskami,

Posel PiS o wyścigu o prezesurę: Szydło ma tylko jedną zaletę, „jest kobietą”, Morawiecki „za szybko wyskoczył przed szereg”, Błaszczak „chciał wywołać wojnę na prawicy”. Przemo wyszedł na prowadzenie

że wuj Czarnka obiecuje załatwienie za kasę różnych spraw urzędowych dzięki znajomości z wojewodą. „Powoływał się na wpływy u Przemysława Czarnka. Kontaktował się z wojewodą w wielu sprawach, na przykład prosił o pomoc przy załatwieniu karty stałego pobytu [w Polsce] dla swojego kolegi. Do urzędu wojewódzkiego wchodził, przepraszam za wyrażenie, jak do ubikacji. O każdej porze, w każdej chwili...”.

Akcją lubelskiej delegatury zainteresował się sam szef CBA Ernest Bejda. Agent dowiedział się, że usłyszy „prokuratorskie zarzuty korupcyjne” i że jego lubelskiego przełożonego naciskano, by ów podał się do dymisji, więc sam poprosił o zwolnienie i poszedł na emeryturę. Wkrótce postawiono mu zarzuty – od podżegania do kradzieży kołpaków samochodowych po przyjęcie łapówek. Akt oskarżenia sporządził prokurator awansowany przez Zbigniewa Ziobrę. Proces się jeszcze nie zaczął.

W Lublinie mówi się, że Czarnek został wojewodą po tym, gdy partyjny spór o kandydatów przeciął Sławomir Zawisłak, pięciokrotny parlamentarzysta oraz autorytet prawicy w regionie. Jak wyglądały trzyletnie rządy jego faworyta w urzędzie wojewódzkim? Z lektury lubelskich gazet wynika, iż nowy wojewoda równie mocno co sprawami urzędu zajmował się historią, polityką i obyczajami.

Już na początku kadencji ostentacyjnie schował do szafy zdobiącą gabinet flagę UE. Krótko po tym zorganizował kontramaniestację blokującą lubelski marsz Komitetu Obrony Demokracji. W lutym 2018 zażądał, by obózowi muzeum na Majdanku nadać niemiecką nazwę na wzór

Auschwitz-Birkenau. Aby nikomu nie przyszło do głowy, że to „polski obóz”.

– Dosyć już tej narracji polskojęzycznych gazet: „Wyborczej” i „Newsweeków”, co karmią świat opowieściami o Polakach, jako o szmalcownikach – argumentował w TVP.

– Nie macie prawa obrażać narodu polskiego! – krzyczał, przemawiając na lubelskim placu Teatralnym w Dniu Żołnierzy Wyklętych 1 marca 2018 r. Na tle zielonych sztandarów ONR z białymi falangami dał krótki kurs historii:

– Rok 2015 to początek odzyskiwania godności przez nasze państwo. Państwo, które zostało powołane przy Okrągłym Stole w 1989 r. i było pełnym kontynuatorem tego powstałego w 1944 r. My wiemy, że „żołnierze wyklęci” toczyli walkę o niepodległość, i tej wiedzy nie odbiorą nam garstki potomków ubeków, sowietów, komunistów i tajnych kapusiów. Tych, którzy dziś mówią, że są Komitetem Obrony Demokracji...

W kwietniu 2019 r. przekonał radnych sejmiku lubelskiego do przyjęcia „negatywnego stanowiska w sprawie sprzecznego z Konstytucją RP ideologii LGBT”.

Rzecz uchwalono głosami PiS i PSL, większość radnych Platformy nie zagłosowała. Miesiąc później wojewoda zorganizował w urzędzie uroczystość wręczenia medali „odważnym samorządowcom”, którzy nie bali się przyjąć karty praw rodziny:

– Jesteśmy świadkami wielkiego, totalnego uderzenia w jedność wspólnoty narodu polskiego – mówił do wójtów, starostów i rajców. – Czyja to sprawa? Szatana! Nazwijmy go po imieniu. Jeśli szatan chce uderzyć we wspólnotę, to uderza w rodzinę. Bo gdy zniszczy rodzinę, zniszczy również naród...

Aby stawić diabłu opór, pod koniec czerwca 2019 r. doradca wojewody i lubelski radny PiS Tomasz Pitucha zaczął zbierać podpisy pod żądaniem „całkowitego zakazu homoparad”. Jego szef ponownie wystąpił w Radiu Maryja.

– Cieszę się ogromnie z tej inicjatywy oddolnej. Już cztery tysiące podpisów zebrane!

– Czyli, panie wojewodo, lublinianie zdają egzamin – pochwalił gościa redemptorysta Janusz Dyrek. – Myślę, że inne miasta też za wami pójda...

Nie poszły. Pozbawione unijnych dotacji „wolne od LGBT” powiaty i miasta Lubelszczyzny wycofały się ze swoich kart. Deklaracje odwołały m.in. powiaty: lubelski, krasnostawski, zamojski, kraśnicki.

Jesienią 2019 r. wojewoda Czarnek wystartował do Sejmu z drugiego miejsca lubelskiej listy PiS. Kampanię rozpoczął przy fontannach na placu Litewskim w towarzystwie profesora Ryby, który zachwalał kandydata:

– Mój przyjaciel Przemysław reprezentuje sobą takie rzeczy, których, wydawa-

loby się, nie można połączyć w jednej osobie. Z jednej strony to wybitny naukowiec, a z drugiej wielki działacz społeczny, człowiek o bardzo wyrazistych, konserwatywnych poglądach, związany z Kościołem katolickim.

Sam wojewoda tym razem nie mówił o walce z sodomitami czy polskojęzycznymi mediami. Chwalił się pozyskaniem dla regionu rządowego wsparcia „na poziomie dotąd niespotykanym”, budową „ponad 300 kilometrów dróg ekspresowych” i otwarciem nowej części szpitala wojewego w Lublinie. Kandydatowi nie przeszkodziło, że otwarcie poszło średnio, bo podczas przecięcia wstęgi przewróciły się donice ze sztucznymi kwiatami, a w dodatku nazajutrz dziennikarze odkryli, że nowe skrzydło szpitala nie może przyjąć pacjentów – gdyż prace budowlane wciąż trwają i skończą się po wyborach.

Które Czarnek wygrał, bo musiał. W końcu postawił na niego nie tylko Kaczyński, ale też Rydzyk. Tuż przed dniem elekcji zaprosił kandydata na osobistą, transmitowaną w Radiu Maryja i TV Trwam, rozmowę, by zapytać: – Dlaczego pan jest dopiero na drugim miejscu? Prze-

łowski. – Z niektórymi osobami na naszej uczelni też się niewiele da zrobić. Proszę się nie przejmować, szanowni państwo. To lewaki.

A Czarnek na pożegnalnym briefingu w urzędzie wojewódzkim zapowiedział oskarżenie Kitlińskiego: – To, co ten pan zechciał napisać w liście otwartym, no si znamiona przestępstwa karnego i dlatego w dniu dzisiejszym złożyłem zawiadomienie do prokuratury. Bo nigdy w swoich wypowiedziach nie pałałem nienawiścią do nikogo ze środowiska LGBT personalnie. Krytyczne uwagi kieruję pod adresem ideologii, zawsze podkreślając szacunek do człowieka.

19 października 2020 r. premier Mateusz Morawiecki desygnował posła Czarnka na urząd ministra edukacji i nauki z pensją 21 tys. zł. Wybrany od razu zapowiedział, że jako szef resortu ubogaci podstawę programową treściami dotyczącymi Jana Pawła II i „żołnierzy wyklętych”; będzie też zwalczał poglądy lewicowo-liberalne i postara się uzależnić nabór do szkół średnich i wyższych m.in. od osiągnięć w formacyjnych organiza-

Z rozprawy habilitacyjnej: „kluczową przyczyną głębokiego kryzysu gospodarczego, z jakim od wielu lat boryka się nie tylko gospodarka europejska, ale również światowa, jest nasilający się interwencjonizm państwowy”

cież dla mnie pan jest, jakby powiedzieli Rosjanie, number one! Pan się nie boi tych od LGBT!

W dniu wyborów Czarnek dostał 87 343 głosy – więcej od wszystkich innych pretendentów z okręgu lubelskiego. Główna kandydatka opozycji – Joanna Mucha – zebrała o 30 tys. mniej.

Tydzień po zwycięstwie poseł elekt odebrał od zaprzyjaźnionego z KUL Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej medal „szczególnie zasłużonego dla uczelni” – Amicis Universitatis.

Nie przeszkodziły protesty części naukowców UMCS, w tym doktora Tomasza Kitlińskiego, członka lubelskiego Klubu Krytyki Politycznej i partii Zieloni, który opublikował na Facebooku list otwarty: „Dziś medal władze uczelni przyznają Przemysławowi Czarnkowi, który szczyci się nienawiścią do środowisk LGBT, a rolę kobiet ogranicza do reprodukcji”. Ostatnie zdanie nawiązywało do wystąpienia wojewody podczas kongresu ruchu Europa Christi na lubelskim Uniwersytecie Medycznym. Czarnek stwierdził wówczas, że „pierwzoplanową rolą kobiety jest rodzenie dzieci, a nie kariera zawodowa”.

Na nie zdążyła się również akcja lewicowej aktywistki Anny Dąbrowskiej, prezeski stowarzyszenia Homo Faber, która przyszła na wręczenie orderu z banerem „Medal dla hejtera! WSTYD”. Gdy rektor Stanisław Michałowski dekorował odchodzącego wojewodę, Dąbrowska kilkakrotnie krzyknęła: „Hańba!”, co wywołało irytację jego magnificencji.

– Mam ciągle w pamięci słowa Józefa Piłsudskiego, który powiedział, że można wiele zrobić dla Polaków, ale z Polakami niewiele – stwierdził prof. Micha-

łowski. Do tego dojdzie nowy przedmiot: historia i terażniejszość, z podręcznikiem prof. Wojciecha Roszkowskiego. Do tego obligatoryjny wybór między religią a etyką (dotąd uczniowie mieli opcję trzecią – nie chodzić).

Szybko posypały się krytyczne komentarze oraz protesty uczniów i nauczycieli. – Czarnek jest człowiekiem nietolerancyjnym i przeciwieństwem ministra, jakiego potrzebujemy – stwierdziła Krystyna Szumilas, ministra edukacji za rządów PO-PSL.

„Wypowiedzi podważające prawa człowieka i godzące w ludzką godność nie powinny być głoszone przez urzędnika i kandydata na ministra odpowiedzialnego za kształcenie uczniów” – oświadczył na piśmie zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W centrum Lublina – mimo pandemii – trzydziestka tęczowo przystrojonych młodych ludzi trzymała transparent: „Uczniom, nauczycielom i studentom jest wystarczająco ciężko. Pan Homofob cegiełki dokładać nie musi”.

W Warszawie lewicowe Forum Młodych zainicjowało akcję „Czarny tydzień”, w ramach której część uczniów przychodziła do szkół w kruczych ciuchach. Podobne demonstracje odbyły się we Wrocławiu, w Trójmieście, Krakowie i Olsztynie.

W Łodzi antyczarnkowa Manifa przeszła ulicą Piotrkowską pod siedzibę PiS. Odczytano petycję Federacji Młodych Socjaldemokratów do prezydenta Dudy, by nie wręczał teki lublinianinowi.

Prezydent jednak potwierdził nominację, tyle że nie od razu, bo w dniu zaprzysiężenia rządu Czarnek leżał z COVID-19.

Teke odebrał od Dudy dwa tygodnie później.

Uroczystość zbiegła się z nagłośnionym w propisowskich mediach sprzeciwem 56 polskich naukowców „wobec fali nienawiści, pomówień i manipulacji dotyczących osoby nowego ministra”.

„Z wielką dezaprobatą obserwujemy narastające historyczne ataki części lewicowo-liberalnego środowiska akademickiego obawiającego się ograniczenia wpływów na uniwersytety” – stwierdzili profesorowie i doktorzy z KUL, UMCS, Politechniki Lubelskiej, lubelskiego Uniwersytetu Medycznego i UMK w Toruniu.

Odpowiedzią przeciwników ministra była zbiórka podpisów pod petycją „Stop deMENTażowi edukacji”. Pod wnioskiem o odwołanie Przema, który sporządził dr Paweł Dybała, orientalista z UJ, podpisało się w kilkanaście dni prawie 90 tys. osób. Kartony z autografami zaniesiono do kancelarii premiera, ten jednak szybko odpowiedział, że „nie znajduje podstaw do odwołania ministra”.

A Czarnek się zabrał do pracy. Nie wziął przy tym, jak większość ministrów profesorów, urlopu bezpłatnego z uczelni. Dzie-



kan wydziału prawa zostawił mu zajęcia w poniedziałki (od wtorku jest już w Warszawie) i pięćdziesięcną pensję.

Już w lutym 2021 r. nowy szef resortu zmienił zasady punktowania publikacji w pismach naukowych – dla akadeników i ich pracodawców kluczowe, bo punkty składają się na ocenę autora i uczelni, w konsekwencji – na wysokość jej finansowania. Podwyższył m.in. siłę periodyków, do których sam pisał. Artykuł w „Tece Komisji Prawniczej PAN oddział w Lublinie” dawał wcześniej 40 punktów, po zmianie – 100. Publikacja w „Biuletynie Stowarzyszenia Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa KUL” przynosiła tylko 20 punktów, teraz – 70. W nowym rozdaniu zyskały: „Ethos. Kwartalnik Instytutu Jana Pawła II” (z 20 na 70 punktów), „Studia Prawnicze KUL” (z 40 na 70 punktów), „Zeszyty Naukowe KUL” (z 20 na 40), „Vox Patrum” – pismo Instytutu Historii Kościoła i Patrologii (z 40 na 100) i „Kościół i Prawo” (z 20 na 70).

Na listę czasopism punktowanych weszły periodyki wcześniej nieobecne: „Tekka Komisji Historycznej KUL” (20 punktów za tekst), wydawane przez szkołę Rydzika pismo „Fides, Ratio et Patria. Studia Toruńskie” (40 punktów), „Ateneum Kapałńskie” (20 punktów), „Teologia Polityczna” (40 punktów), a także „Nieruchomości: Kwartalnik Ministerstwa Sprawiedliwości” (70 punktów).

W efekcie tych zmian – skrytykowanych przez Komitet Nauk Prawnych PAN i Komisję Ewaluacji Nauki – minister osobiście urósł jako naukowiec. Jeszcze w poniedziałek 8 lutego 2021 r. był „wyceniany” na

170 punktów. Nazajutrz jego dorobek spuchł do 260 punktów.

Ciekawostkę dostrzegł przy okazji historyk i publicysta Adam Leszczyński. Obwieszczając nastanie nowego szefa, resort edukacji zakomunikował na stronie, że prof. Czarnek „jest autorem kilkudziesięciu monografii i artykułów naukowych”.

„Tymczasem w oficjalnym spisie publikacji ministra znajduje się jedna monografia, rozprawa habilitacyjna – zauważył dziennikarz. – Do tego siedem [autorskich] artykułów recenzowanych i trzy artykuły w wydawnictwach zbiorowych. A gdzie publikował dotąd poseł-profesor-wojewoda-minister? Przede wszystkim w niszowych wydawnictwach kościelnych”. Takich jak kwartalnik „Cywilizacja”, wydawany przez lubelską fundację Servire Veritatis, którą ćwierć wieku temu założył ojciec Rydzyk.

Latem i jesienią 2023 r. MEN jeszcze mocniej podkreśli w prawo wykaz pism punktowanych. „Pedagogika Katolicka” zostanie zrównana w punktach (200) z najważniejszymi globalnymi tytułami typu „Nature”, „Science”, „Lancet”.

Zdaniem prof. Matczaka chodzi o coś więcej niż proste promowanie milej władzy opcji światopoglądowej.

– To celowe gmatwanie porządku świata. Jeżeli dajemy tyle samo punktów za publikację w „Science”, co za annały teologii, to mamy sytuację jak z orwellowskiego „Roku 1984”. Ignorancja to siła. Wojna to pokój. Chodzi o to, by utrudnić rozeznanie się w rzeczywistości.

Kolejne autorskie posunięcia Czarnka to podwyższenie nauczycielskiego pensum o cztery godziny (z obietnicą podwyżek, która skończyła się na 150 złotych) oraz uzależnienie możliwości wprowadzenia dodatkowych zajęć szkolnych od zgody powoływanego przez MEN kuratora. Ta druga nowelizacja prawa oświatowego miała ukrócić klasowe wizyty seksedukatorów czy aktywistów praw człowieka z lewicowych oraz liberalnych organizacji pozarządowych.

Gdy Sejm głosował „lex Czarnek”, nazewnątrz pedagodzy zrzeszeni w ZNP machali transparentami „Ministerstwo Ciemnoty Narodowej” i „Edukacja to nie indoktrynacja!”. Przeciw zmianom opowiedziało się 15 spośród 18 wybieranych przez MEN Nauczycieli Roku, a poza nimi rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Unia Metropolii Polskich i Związek Miast, które połączyły się w ruch Wolna Szkoła. Manifestacje kroczyły ulicami – nie tylko w Warszawie – przez cały rok 2021 i 2022.

– Dajemy ministrowi czerwoną kartkę za jego kłamstwa i poniżanie nauczycieli, za jego pseudopodwyżki! – krzyczał Dominik Kuc z Wolnej Szkoły pod ministerstwem, gdy w październiku 2022 r. kilkuset nauczycieli stanęło z czerwonymi kartonikami i transparentami typu: „Czarnek, znajdź nową pracę!”.

W takiej atmosferze pracownia SW Research przeprowadziła dla „Rzeczpospolitej” sondaż na temat ministra: 57 proc. badanych orzekło, że zmienia szkołę na gorsze, 15 proc. uważało przeciwnie. Podobne badanie wykonała dla Wirtualnej Polski sondażownia Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna. Tutaj „zdecydowanie negatywnie” oceniło ministra 39 proc. respondentów, „raczej negatywnie” – 13, zaś „zdecydowanie pozytywnie” i „raczej pozytywnie” – łącznie 16 proc.

Lublinianin stał się – nie tylko dla przeciwników PiS – „czarnym ludem” wyśmiewanym choćby za chęć ugruntowania w uczennicach „cnót niewieścich”. Jego słowa o tym, że „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny jest znane ludziom od miliardów lat”, zdobyły trzecie miejsce w konkursie na Biologiczną Bzdurę Roku 2021. „Ja oświaty nie ogarnę, odkąd szkołą rządzi Czarnek” – śpiewał zespół Big Cyc w utworze „Ministrant edukacji”. Profesor

KUL zdobył też dwa kolejne tytuły Dzbaną Roku w plebiscyie tygodnika „NIE” i popularnego bloga satyrycznego Make Life Harder. Za drugim razem pokonał Grzegorza Brauna.

„Lex Czarnek” zawetował przysypyany nauczycielskimi protestami prezydent Duda.

Latem 2022 r. ministerstwo rozstrzygnęło wart 40 milionów konkurs pt. „Rozwój potencjału infrastrukturalnego podmiotów wspierających system oświaty i wychowania”. Wybrano 45 organizacji, w teorii związanych ze szkolnictwem, choć kryterium było zupełnie inne. – Nie dajemy pieniędzy lewakom i komunistom, bo to sprzeczne z konstytucją – wyznał minister w Onecie. – Lewactwo to marksizm, a promowanie idei komunistycznych jest w Polsce zabronione. Dlatego organizacje lewackie i szkodliwe, które były beneficjentami rozmaitych programów za czasów naszych poprzedników i teraz w wielkich miastach rządzonych przez Platformę, niczego od nas nie dostaną.

Kto zatem dostał?

Pięć milionów na zakup 400-metrowej modernistycznej willi na stołecznym Mokotowie otrzymała fundacja Polska Wielki Projekt związana z eurodeputowanym PiS, cenionym na prawicy socjologiem Zbigniewem Krasnodębskim.

Cztery i pół miliona na wykup domu na Żoliborzu (440 metrów) przyznano fundacji Wolność i Demokracja założonej przez posła PiS i byłego szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka.

Nieco więcej, z przeznaczeniem na 540-metrowy dom w dzielnicy Ursynów, dostała organizacja Megafon, której fundatorem był Tomasz Kulikowski, dyrektor jednego z biur kancelarii prezydenta Dudy.

Półtora miliona na pomoc w kupnie zabytkowej, odrestaurowanej kamienicy przy ul. Dorotowskiej 7 na Ochocie przyznano Fundacji Edukacji i Mediów, której prezesuje Marta Tenerowicz, żona działacza Ruchu Narodowego, zarazem radnego Solidarnej Polski w krakowskim sejmiku.

Dwa miliony otrzymał wykładający na KUL ksiądz Henryk Witczyk, związany z Ordo Iuris pogromka „tęczowej cywilizacji śmierci”, który buduje w podkarpackiej Wetlinie „ośrodek szkoleniowo-konferencyjny” (wedle wtajemniczonych – dom rekolekcyjny) będący częścią większego projektu o nazwie Centrum Młodzieży Trójmorza im. Prymasa Tysiąclecia i Jana Pawła II.

„Akcja willa plus była sprytnym zabiegiem – podsumował dotacje dziennikarz „Newsweeka” Jakub Korus. – Pieniądze z MEN pozwoliły się politycznie uwłaszczyć tym, którzy dobrze zapamiętają, kto przyznawał środki i w jaki sposób”.

Mój rozmówca poseł: – Czarnek od lat przynajmniej pięciu buduje to, co Chińczycy nazywają guanxi. Sieć wyświadczonych przysług. I ona mu się przyda w przyszłym, a może jeszcze w tym roku.

– Słyszę opinie, że mógłby nawet startować na prezydenta – wtrącam.

Posel: – Nie wydaje mi się. Jest zbyt ściśle kojarzony z poglądami jednoznacznie prawicowymi, z Kościołem i z naszą partią. To w końcu Człowiek Roku „Gazety Polskiej”, który o waszej gazecie mówi publicznie „żydowska”. Z takimi poglądami prezesa może zastąpić, prezydenta – trudniej.

Podobnego zdania jest prof. Antoni Dudek: – Jeżeli chodzi o prezydenturę, słabo Czarnka widzę. Bo trzeba w drugiej turze przekonać do siebie centrum elektoratu. Duda był w tym dobry: unikał ostrych sformułowań, używał ogólnie akceptowanych ogólników. Czarnek by tak nie umiał. Za ostry w charakterze. A i centrum reaguje nań alergicznie, co wykazują badania.

Na przykład United Surveys dla Wirtualnej Polski z września 2023. Ponad 60 proc. ankietowanych zadeklarowało niechęć i nieufność wobec ówczesnego ministra.

Innego zdania jest profesor Flis. Według niego Przemo może objąć i szefostwo partii, i pretendować do roli pierwszego obywatela.

– On się sam narzuca jako jedna z opcji. Dla żelaznego elektoratu bardzo atrakcyjny, bo pewny swego jak prezes i podobnie patrzy na świat z wysokości majestatu, co niektórzy uznają za atut. Na przeciwników działa jak płachta na byka, co tym bardziej oznacza, że jest „nasz”. W dodatku on sam na pewno by chciał kandydować, a prezes go ceni, uważa za partnera i ufa mu. Trudno o lepszą rekomendację. Nawet gdyby kierownictwo PiS miało innego kandydata, to może się zdarzyć sytuacja jak z Kidawą-Błońską i Rafałem Trzaskowskim. Borys Budka, jak pamiętamy, namaścił Małgorzatę, lecz partyjne doły wyniosły Trzaskowskiego. A Czarnek dla pisowskiego aparatu jest głęboko swój.

Także prof. Matczak uważa, że lublinianin może być kandydatem i na szefa PiS, i na prezydenta: – Jest niezwykle bezczelny, potrafi opowiadać bzdury bez mrugnienia okiem. Zdobyte wykształcenie służy mu nie do czynienia dobra, lecz do tworzenia napięcia. Ma umiejętność prowokowania przeciwników... W stylu mówienia i działania przypomina Orbána.

Wtorek 9 stycznia, komenda policji przy ul. Grenadierów w Warszawie. W środku siedzą byli ministrowie Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński. Przy wejściu – mimo jedenastu stopni mrozu – tłoczy się kilkudziesięcioro zwolenników PiS z biało-czerwonymi flagami. Przed kordonem policji, która pilnuje bramy, staje Przemysław Czarnek, obecnie opozycyjny poseł wybrany w okręgu lubelskim 122 tysiącami głosów, co daje ósmy wynik w kraju, a piąty w PiS. Pokazuje legitymację parlamentarzysty. Zebrani wołają: „Wpuścić posła!”.

Przemo jednak nie wchodzi, bo policja przewozi zatrzymanych do aresztu na Olśzynie Grochowskiej. Lublinianin jedzie również tam. Nagrywa wideo:

– Jesteśmy z interwencją poselską w areszcie, dokąd uprowadzono z Kancelarii Prezydenta [naszych] kolegów. Pamiętajcie, to jest zamach stanu! Dzisiaj przyszedli po naszych, ale jutro mogą przyjść po was! Koalicja 13 grudnia przed niczym się nie wstrzyma! Ale suweren odezwie się już niebawem i Tusk skończy tutaj – byli minister pokazuje bramę.

Dwa dni później, gdy Kamiński z Wąsikiem są już w zakładach karnych, PiS organizuje przed Sejmem Protest Wolnych Polaków. Czarnek na miejscu, choć jeszcze rano kończył nocny dyżur okupacyjny w budynku TVP w ramach „obrony mediów publicznych”. Z podwyższenia woła:

– Powiedzmy marszałkowi Hołowni, kto tu przyjechał! Naród, którego pan się boi! Zostali uprowadzeni posłowie Rzeczypospolitej, i to pan za tym stoi, że siedzą w więzieniach! Ale my z tych więzień ich wydobędziemy!!

Jak? Na przykład odwołując się do Elona Muska, który lubi przedstawiać się nie tylko jako wizjoner technologiczny, ale też obrońca wolności. Kiedy założyciel Tesli i Space-X ogłasza, że odwiedzi obóz w Oświęcimiu, Czarnek pisze doń na serwisie X, dawnym Twitterze: „Zaraz po wizycie w Auschwitz w imieniu Wolnych Polaków zapraszam do zakładów karnych w Radomiu i Ostrołęce, w których przetrzymywani są członkowie polskiego parlamentu”.

Elon ofertę ignoruje, ale posła to nie deprymuje. Przeciwnie, ciśnie, i to na różnych frontach. Choćby jako członek parlamentarnej komisji ds. oceny nieudanych wyborów kopertowych: składa tam liczne wnioski formalne; bierze w obronę świadków, którzy zeznają na korzyść PiS, i atakuje przeciwnych, nie przejmując się, że przewodniczący Dariusz Joński wyłącza mu mikrofon. Według Czarnka to „chamstwo” oraz objaw „wielkiego ego” i „kompleksów”.

Nowy minister
zmienił zasady
punktowania
publikacji
w pismach
naukowych
– m.in.

wzmacniając
„Tekę Komisji
Prawniczej
PAN oddział
w Lublinie”
czy „Biuletyn
Stowarzyszenia
Absolwentów
i Przyjaciół
Wydziału
Prawa KUL”,
do których
pisywał – i urósł
jako naukowiec.

Dorobek
wyceniany
na 170 punktów
urósł do 260

„Przewodniczący stara się ograniczać występy pana Czarnka, ponieważ ten wszedł do komisji z zadaniem dezorganizowania jej prac – mówią „Newsweekowi” członkowie zespołu wskazani przez koalicją rządzącą. – Obstrukcja będzie się tylko nasilać. Im więcej punktów daje w elektoracie i oczach prezesa takie zachowanie, tym Czarnek będzie agresywniejszy”.

I jest. 4 lutego w Radomiu: – My dzisiaj żyjemy w czasach rewolucji komunistycznej. Dzięki najazd komunistów ponownie się zaczął 13 grudnia 2023 r. Mówię to z pełną odpowiedzialnością, bo mówię wśród ludzi, którzy byli uczestnikami wydarzeń 1976 roku...

Rzeczywiście: w sali weselnej Dworku Saskiego siedzą w większości seniorzy, którzy mogą pamiętać strajk w zakładach Łucznik i podpalenie gmachu PZPR. W sumie – mimo trudnego dojazdu z centrum na przedmieście – zjawilo się około 300 osób.

Czarnek dalej: – Według badań już nawet do 20 proc. Polaków, zwłaszcza tych młodszych, cierpi na ojkofobię. Ojkofobia to jest nienawiść do własnego narodu. Mamy ludzi, którzy tę postawę dosłownie urabiali przez całe dekady, stosując pedagogikę wstydu, mówiąc, że jesteście marni, zacołani, że w sumie to trzeba klękać przed Niemcami. Na rozkaz Tuska, który przyszedł z Berlina, Sienkiewicz zajął telewizję, wyłączył TVP Info, wyłączył telewizję regionalne, wyłączył TVP World tylko dlatego, żeby odciąć nas od elektoratu.

Głos z sali: – Nie pozwolimy!

– I niech nie pozwalają! Im więcej Czarnka w mediach, tym lepiej dla strony liberalnej – mówi prof. Markowski. – Mało kto w PiS zrobił dla przeciwników tyle, co ten jeden minister. W dużych miastach na lekcjach religii jest pusto. Podręcznik Roszkowskiego skutecznie skompromitował politykę historyczną PiS. A sam Czarnek zmobilizował antypisowski elektorat i zraził część tych, którzy się jeszcze wahali. Dla dobra Polski życzę mu dalszej kariery. ●

* Na moje prośby o rozmowę (bezpośrednie i przez sekretariat w lubelskim biurze parlamentarnym) poseł Czarnek nie odpowiedział.

PRZEPRASZAM

Artykuł „Sztuka skakania na skakance” Iwony Görke (numer z 3 lutego) ukazał się bez autoryzacji. Właściwą wersję można przeczytać na naszej stronie internetowej: <https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,30650064,ministerstwo-nie-moze-ot-tak-stwierdzic-ze-prac-domowych.html>

Przepraszam bohaterów tekstu i autorkę.

Ewa Wieczorek

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
REDAKTOR NACZELNY: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wieliński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTODYDZIA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



ARTYSTA NIE BĘDZIE GŁODNY

Nie będziemy zwalniać ze względu na ich światopogląd. Ale muzeum, teatr czy galeria to nie scena dla ego dyrektora

**Z HANNA WRÓBLEWSKĄ*,
DYREKTORKĄ DEPARTAMENTU
NARODOWYCH INSTYTUCJI KULTURY
W RESORCIE KULTURY, ROZMAWIA
ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Prawica uważa, że ekipa Bartłomieja Sienkiewicza w resorcie kultury przeprowadzi w Polsce rewolucję kulturalną.
– I na czym ta rewolucja miałaby polegać?

Na przykład na promowaniu środowisk feministycznych i LGBT.
– Żadna z partii tworzących koalicję nie zapisała podobnych haseł ograniczających perspektywę na kulturę w swoich programach. Nie jestem w stanie odnieść się merytorycznie do tych zarzutów, które wywodzą się z uczuć, emocji i afektu. Nie wykluczam jednak – a wręcz mam nadzieję – że w wielu muzeach i na deskach wielu teatrów powstaną spektakle opowiadające o doświadczeniach kobiet czy dotykające problemów codziennego życia także osób homoseksualnych czy niebinarnych. Ale będą o tym decydować dyrektorzy programowi tych instytucji, kuratorzy i artyści, a nie Ministerstwo Kultury, gabinet polityczny za pomocą Facebooka.

Według prawicy macie też zamknąć konserwatywne instytucje.
– Ale które konkretnie?

Z Zachęty został zwolniony dyrektor Janusz Janowski.
– Ale instytucja nie została zamknięta?
Dyrektor został zwolniony, ponieważ nie wywiązywał się ze złożonych zobowiązań. Niezwykle trudno odpowiada się na tego typu insynuacje, ponieważ zarówno w Zachęcie, jak i w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Galerii Labirynt w Lublinie czy Muzeum Sztuki w Łodzi były przez lata prezentowane dzieła artystów także o konserwatywnym światopoglądzie. I nie mam na myśli okresu po 2015 r., tylko do 2015. Przykładem choćby Zbigniew Warpechowski, wybitny artysta, ceniony i przez środowiska artystyczne, i przez instytucje publiczne w III RP.

Kuratorzy i dyrektorzy muzeów raczej nie kierowali się poglądami, wybierając artystów. Oceniali jakość ich sztuki. Nie wiem, jakie „środowiska konserwatywne” były prezentowane w Zachęcie w czasie rządów Janusza Janowskiego, ja raczej widziałam pojedynczych twórców, a nie reprezentantów środowisk. Kiedy jako ministerstwo zwróciliśmy się do Związku Polskich Artystów Plastyków, z którego wywodzi się Janusz Janowski, o opinię w sprawie jego odwołania, otrzymaliśmy potwierdzenie tych wątpliwości. Mówiąc inaczej: ZPAP – jako środowisko – nie broniło dyrektora Janowskiego.

A czy musiał zostać odwołany?
– Tak, ponieważ odstąpił od realizacji zapowiadanego programu. Jako jedyny ze wszystkich dyrektorów instytucji podlegających pod ministerstwo nie składał rocznych sprawozdań. Nie radził sobie z kierowaniem zespołem, instytucją i z kontaktami ze środowiskami.

Odbwały się tam regularnie wystawy.
– To, co widzieliśmy przez ostatnie lata w Zachęcie, było wypadkową jego osobistych zainteresowań nawet nie dyrektorskich, ale kuratorskich, a nie założeń programowych. Muzeum, teatr czy galeria to nie scena dla ego dyrektora, ale instytucja publiczna, w której pracuje się zespołowo z myślą o odbiorcy.

A czy planujecie odwołanie dyrektora Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie? Piotr Bernatowicz realizuje tam od wielu lat skrajnie konserwatywny program artystyczny.
– Pozwoli pan, że przybliżę skalę, o jakiej rozmawiamy. Mój departament nadzoruje kilkadziesiąt instytucji kultury. Aktualnie zajmujemy się pogłębioną analizą wszystkich teatrów, filharmonii, czyli instytucji artystycznych oraz galerii czy centrów sztuki, które prowadzi lub współprowadzi minister. Dyrektorzy w końcówce każdego roku kalendarzowego składają plany artystyczne i inwestycyjne, które aktualizują po uchwaleniu ustawy budżetowej. Informują, jakie wystawy chcieliby zrealizować, jakie spektakle wyprodukować, w jakim kierunku chcieliby podążać. W ciągu roku niektóre plany są weryfikowane, niektórzy dyrektorzy z części założeń rezygnują – bo okazuje się, że nie starczy im środków, bo artyści z dnia na dzień zrywają współpracę itp. To wymaga też ustaleń z ministerstwem.

Wracając do CSW – na podstawie analizy i napływających sygnałów wnioskować możemy nie tyle o „skrajnie konserwatywnym programie artystycznym”, ile o swoim istym zawłaszczaniu instytucji, która staje się emanacją poglądów jednej osoby dyrektorskiej. Widzę spłaszczanie programu, odcięcie od wystaw kuratorów, którzy pracują w Zamku Ujazdowskim od ponad dziesięciu lat. Martwią mnie marginalizacja programu rezydencyjnego i utrata wieloletnich partnerów międzynarodowych. To na pewno tematy do rozmowy.

Czy w krajobrazie instytucji publicznych nie będzie od teraz miejsca dla takich konserwatywnych artystów i kuratorów?
– Mogę zapewnić, że nie będziemy zwalniać dyrektorów ze względu na ich światopogląd. Ani za realizację programu artystycznego. Jeśli tylko jest realizowany i jest zgodny ze statutem. Spójność z linią jakiegokolwiek partii nie jest żadnym kryterium.

Pytania, które stawiam, są inne: czy Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, które miało być nakierowane na przyszłość i prezentowanie sztuki współczesnej we wszystkich jej przejawach, powinno pokazywać jednostronną wizję świata?

Przejęcie kilku instytucji przez PiS stało się symbolem psucia państwa. Jedną z nich był Teatr Stary w Krakowie.
– Kadencja dyrektora Waldemara Raźniaka kończy się w sierpniu. Minister powiadomił dyrektora, zespół i środowisko o zamiarze rozpisania konkursu na prowadzenie teatru.

Takim symbolem jest też Instytut Adama Mickiewicza. Jaka jest jego przyszłość?

– Zostanie połączony z biurem programu Niepodległa, w konsekwencji zostanie w nim powołana nowa dyrekcja.

Co z Instytutem Literatury, który publikował głównie prawicowych pisarzy?
– Będzie połączony z Instytutem Książki.

Został nam jeszcze Instytut Teatralny.
– Jesienią pojawi się w nim nowy dyrektor lub dyrektorka.

Wszędzie mają się odbywać konkursy?
– Taka ma być reguła w instytucjach kultury i artystycznych.

Zostaną zwiększone budżety na programy ministra, czyli na granty wspierające projekty teatralne, literackie, dotujące sztuki wizualnej i czasopisma kulturalne?
– Na pewno ta kwota nie zostanie obniżona. Dzisiaj to 448 mln w ramach 32 programów. W przyszłości chciałabym, rzecz jasna, zwiększenia tych budżetów.

Ustawę włączającą artystów do powszechnego systemu ubezpieczeń społecznych obiecał nie tylko Piotr Gliński, ale też liderzy obecnej koalicji.
– Ministerstwo zrobi wszystko, żeby była procedowana w tym roku.

Czyli od 1 stycznia 2025 r. wszyscy artyści będą mogli liczyć na ubezpieczenie społeczne?
– Nie potrafię precyzyjnie odpowiedzieć na to pytanie. Wiem, że dla ministra Bartłomieja Sienkiewicza to sprawa priorytetowa.

Co z pieniędzmi z Krajowego Programu Odbudowy?
– Mamy do wydania 95 mln euro z przeznaczeniem na granty dla instytucji oraz na stypendia artystyczne. Pieniądze miały być dystrybuowane przez cztery instytucje: Centrum Sztuki Współczesnej, Instytut Teatralny, Narodowy Instytut Muzyki i Tańca oraz Narodowy Instytut Muzeów, wciąż jednak nie stworzyły one odpowiednich systemów i procedur. I, jak się okazuje, część dokumentów nie dotarła do Komisji Europejskiej. Nadrabiamy zaległości, kompletujemy dokumenty przeglądamy składki komisji, które mają dzielić unijne pieniądze, będziemy z jednostką wspierającą przy zgodzie Komisji Europejskiej na pewno je zmieniać na bardziej reprezentatywne. Tworzymy system, który ma szanse zadziałać tak, by do końca 2025 podpisać wszystkie umowy z potencjalnymi beneficjentami

Na co zostaną przeznaczone te pieniądze?
– Granty dla instytucji i organizacji pozarządowych na projekty badawcze, wystawy, koncerty, wszelkie przedsięwzięcia w dziedzinie sztuk wizualnych, muzyki, tańca, sztuk performatywnych i kultury ludowej, ze szczególnym uwzględnieniem tych o charakterze innowacyjnym i modernizacyjnym. Stypendia są dla artystów i muzealników m.in. na badania i podnoszenie kwalifikacji poprzez wyjazdy, rezydencje, szkolenia.

Polityka kulturalna waszych poprzedników opierała się na projektach historycznych związanych z polską martyrologią. A jak wygląda wasza?
– Zakłada radykalne ograniczenie ręcznego sterowania instytucjami przez ministra, a także dopuszczenie do głosu ekspertów, publiczności przez obecność interesariuszy w radach programowych i społecznych we wszystkich instytucjach publicznych.

Będzie nam zależało na upodmiotowieniu pracowników instytucji kultury. Znam doświadczenia niektórych z nich, pracę w trudnych warunkach, pod presją czasu, w atmosferze mobbingu, z poczuciem uprzedmiotowienia, manipulacji czy infantylizacji. Związki zawodowe też często podkreślają, że kuratorzy, pracownicy techniczni, animatorzy, aktorzy nie mają już siły pracować w instytucjach, w których toleruje się te zwyczaje w imię dowiezienia projektu, sukcesu pojedynczego człowieka kosztem zespołu. Musimy zacząć poważną rozmowę ze wszystkimi dyrektorami i środowiskami pracowniczymi. Instytucje są wspólnotami.

Nie widzę wśród tych potrzeb zarobków, a mówiąc dokładniej – ich podwyższenia.
– To się rozumie samo przez się. Po podniesieniu płacy minimalnej doszło do spłaszczenia siatki wynagrodzeń. Wraz z jej wzrostem – co jest oczywiście oceniane pozytywnie – nie zostały podniesione pensje na innych stanowiskach. Widzimy ten problem.

Widzę jeszcze jeden problem. Do niskich zarobków dochodzi atmosfera przemocy psychicznej, złe pojmowanej hierarchii, o której piszemy w „Wyborczej” od lat. Przykładem sytuacja z Teatru Dramatycznego, z którym pożegnała się Monika Strzępka, oskarżona przez część zespołu o mobbing, czy opowieści o pracy z Krystianem Lupą. Jak ministerstwo może poprawiać warunki w takich miejscach i przyciągać młodych, ambitnych ludzi?
– Na pewno możemy inicjować dyskusje. Oceniając dyrektora i samą instytucję, brać pod uwagę nie tylko efekty wymierne: wystawy, przedstawienia i budżet, ale także sposób jego wykonania, kulturę wewnętrzną organizacji, opinie pracowników i związków. Komunikat musi być jasny – nie ma miejsca na przemoc w instytucjach kultury ani instytucjach artystycznych. Powołamy również nowy skład Rady ds. Instytucji Artystycznych działającej przy ministrze, w jej ramach będziemy dyskutować o koniecznych zmianach prawnych, a także o skali środowiskowych konsultacji.

Jakie zadania postawił przed panią ministrem Sienkiewicz?
– Żeby było lepiej. ●

***Hanna Wróblewska**, historyczka sztuki, przez 11 lat – do końca 2021 r. – kierowała Zachętą – Narodową Galerią Sztuki. Następnie pracowała w Muzeum Getta Warszawskiego

Cała rozmowa na [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)



FOT. MAŁGORZATA KLEMENS/STOWARZYSZENIE EGALA



PO WYBORACH 15 PAŹDZIERNIKA CZĘŚĆ OSÓB NIOSĄCYCH POMOC NA POGRANICZU POLSKO-BIAŁORUSKIM MIAŁA NADZIEJĘ NA ZMIANY. INNI NIE MIELI ŻŁUDZEŃ – POLITYKA MIGRACYJNA NOWEGO RZĄDU BĘDZIE TAKA SAMA JAK PIS. POJECHAŁAM NA PODLASIE, BY ZOBACZYĆ, JAK DZIŚ WYGLĄDA SYTUACJA NA GRANICY.

STRZAŁY SŁYSZĘ CODZIENNIE

Młody lekarz z Iraku chciał osiedlić się w Polsce. Zmienił zdanie, gdy pogranicznik połamiał mu żebra

Anna Mikulska

Na tatarskim cmentarzu w Bohonikach czuć zapach kadzidła. Byłam tu dwa lata temu, gdy chowano pierwszą osobę, która zginęła, przekraczając granicę. Wtedy roilo się od dziennikarzy. Dziś jest cicho. Grobów jest dziesięć, ale wiadomo o co najmniej 55 ofiarach po obu stronach granicy.

Ci, którzy zginęli na granicy, spoczywają nieco na ubożu. Na niewielkich tabliczkach wbitych w ziemię imiona i nazwiska, poza jedną, oznaczoną tylko: „NN”. Na niektórych są też daty urodzenia i śmierci. Amjad Kettabi żył 23 lata. Zmarł 4 listopada 2023 r. To, jak do-

gą, ostatnia pochowana tu ofiara kryzysu humanitarnego, który trwa od 2021 r.

Gdy dojeżdżałam do Białowieży, w mediach pojawiła się wiadomość o odwołaniu rzeczniczki prasowej Straży Granicznej, porucznik Anny Michalskiej, która stała się twarzą kryzysu na granicy. Michalska zasłynęła między innymi kpiącą odpowiedzią na pytanie TVN 24 o dzieci z Michałowa – czyli kilkoro irackich i syryjskich dzieci, które zniknęły z placówki Straży Granicznej; społecznicy odkryli, że zostały wywiezione do lasu i wypchnięte z powrotem na Białoruś. „To mój ulubiony temat” – stwierdziła.

Kilka dni przed odwołaniem rzeczniczki premier Donald Tusk powołał nowego komendanta głównego Straży Granicznej – generała brygady SG Roberta Bagana.

– Czyli coś się zmienia. Czy nie o to walczylisście? – pytam Aleksandry Chrzanowskiej ze Stowarzyszenia Interwencji Prawnej, które współtworzy Grupę Granica. Przedzieramy się przez powalone drzewa w Puszczy Białowieskiej. Zimowe buty grzęzną w podmokłym terenie.

– To tylko PR-owy zabieg. Jeśli prętność na granicy ma się skończyć, to osoby

za nią odpowiedzialne muszą zostać pociągnięte do odpowiedzialności, a nie tylko wymienione na nowe. Poprzedni komendant odszedł przecież z honorami za służbę, nie padło ani słowo o łamaniu prawa na granicy – mówi. Dla Grupy Granica rozliczenie osób odpowiedzialnych za politykę migracyjną oraz sprawców przemocy wobec uchodźców jest jednym z głównych postulatów.

Lodowata gałązka uderza mnie w twarz. Staram się nadążyć za Aleksandrą, która sprawnie lawiruje między zaroślami. Jesteśmy kilkaset metrów od zapor granicznej. Poruszamy się śladem osób, które przekraczają granicę i próbują się przedostać w głąb Polski i dalej na Zachód. Po drodze znajdujemy trzy ciężkie od nasiąkniętej wody śpiwory i jedną parę połamanych słuchawek.

Po wypowiedziach Tuska i polityków unijnych, bo przecież mówimy tu o zewnętrznej granicy Europy, nie miałam żadnych złudzeń – nowy rząd niczego nie zmieni. Poniżej będzie tylko gorzej, bo to samo, co do tej pory, będzie teraz robione w białych rękawiczkach – opowiada Aleksandra, gdy nagle rozmowę przerywa wystrzał z broni. Przystajemy i nasłuchujemy, ale

ciężko stwierdzić, czy strzał padł po stronie polskiej, czy po białoruskiej.

Przypomina nam się, jak w listopadzie polski żołnierz postrzelił w plecy 22-letniego Syryjczyka (chłopak nadal się rehabilituje). Kilka dni później strażniczka SG strzeliła w stronę aktywisty Podlaskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego Mariusza Kurnyty z prywatnego pistoletu hukowego. – Mieszkam tuż przy granicy i bardzo często słyszę strzały. Za każdym razem zastanawiam się, do kogo są kierowane, skoro od grudnia SG niemal codziennie informuje, że już nikt nie próbuje przekraczać granicy – usłyszę później od Zofii z Grupy Granica*.

– To nie efekt zainstalowania dodatkowych umocnień granicy, tylko pory roku. Na wiosnę ludzie znów zaczną przechodzić – uprzedza moje pytanie Aleksandra. Zatrzymujemy się przed pasem drogi granicznej, czyli nie bliżej niż 15 metrów od granicy – na tyle pozwalają obecnie przepisy. Latem 2022 r. zdjęto ograniczenia związane ze strefą stanu wyjątkowego, które uniemożliwiały zbliżanie się do granicy nawet na kilka kilometrów.

Na szczycie 5,5-metrowego plotu umieszczono drut żyłkowy, co kilkadziesiąt metrów wzdłuż zapor stoją słupy z kamera-



mi. Z nowości – jeszcze przed samym płożem rozwinęto kolejny drut żyletkowy, czyli concertinę. O demontaż drutu od dawna walczy Grupa Granica.

Pierwszą linię tworzy licha siatka, która ma chronić zwierzęta. Jednak sarny czy jelenie z łatwością siatkę przeskakują, a potem powoli umierają zaplątane w drut, który dziennikarka Regina Skibińska w OKO. press nazywa „najdłuższymi polskimi wnikami”. „Na 418-kilometrowym odcinku granicy może być łącznie ponad kilkanaście tysięcy kilometrów drutu ostrzowego [inna nazwa żyletkowego], co kosztuje dziesiątki milionów złotych” – pisze.

W końcu dostrzega nas patrol. W krótkiej pogawędce rzucam, że przez taki mur to już chyba nikt się nie przedrze. Pogranicznik uśmiecha się ironicznie pod nosem, po czym stwierdza: „No... raczej nikt”. Nie brzmi przekonująco.

Minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński pod koniec listopada zapewniał, że o likwidacji muru nie ma mowy, wręcz przeciwnie. „Uszczelnimy granicę tak, by ta zapora była skuteczna” – zadeklarował. Dla pracowników organizacji pozarządowych to myślenie życzeniowe.

– Im więcej tych umocnień i przeszkód, tym większa pożywka dla przemytników, którzy będą szukać nowych przejść w coraz bardziej niebezpiecznych miejscach, a ceny ich usług wzrosną. Bo ludzie nie przestaną szukać szansy, będą próbowali przejść, ryzykując jeszcze więcej – mówi Aleksandra.

Inni przypominają, że jeszcze żaden mur na granicy Unii Europejskiej nie zatrzymał migracji.

Priorytetem nowego rządu, jak również poprzedniego, jest bezpieczeństwo granicy. Premier Tusk oraz nowy wiceszef MSWiA ds. migracji prof. Maciej Duszczek przekonują, że bezpieczeństwo

da się pogodzić z humanitarnym traktowaniem migrantów i uchodźców.

„Straż Graniczna jest po to, by zabezpieczać przed nielegalnym przekroczeniem granicy – mówił Duszczek w TOK FM. – Czym innym jest sytuacja, w której osoby małoletnie, rodziny z dziećmi czy ludzie, których życie jest zagrożone, byłoby zwracane na terytorium Białorusi”.

Zawrócenia, o których mówi, to nic innego jak pushbacki, nazywane przez organizacje działające na granicy wywózkami. Dopytywany, kiedy te się zakończą, wiceminister odpowiadał: „Skończą się, jeśli zamknemy szlak migracyjny. Jeśli będzie on otwarty, zawsze może do tego dochodzić”, choć będą się odbywały „w sposób etyczny i bezpieczny”.

Dzwonię do Marty Górczyńskiej, prawniczki z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, by zapytać, czy etyczne i bezpieczne wywózki są możliwe.

– Chociaż pushbacki nie mają definicji prawnej, to wynikają z innych przepisów prawa międzynarodowego, przede wszystkim z zasady non-refoulement, czyli niezawracania. Oznacza to, że cudzoziemca nie można odesłać do kraju, w którym jego zdrowiu i życiu zagraża niebezpieczeństwo, a za taki kraj uważana jest Białoruś i wiele krajów pochodzenia osób docierających na naszą granicę – tłumaczy Górczyńska.

Odpowiedź na moje pytanie brzmi więc „nie”, a do tego ta praktyka jest po prostu nielegalna.

– Potwierdza to niejedno orzeczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – dodaje.

Zaprzestanie pushbacków to główny postulat obrońców praw człowieka i społeczników. 9 stycznia list w tej sprawie skierowało do premiera ponad 100 organizacji pozarządowych i setki zaangażowanych prywatnych osób – prawników, naukowców, aktywistów. Domagają się też utworzenia czasowo zawieszonych przejść granicznych oraz nowelizacji ustawy o cudzoziemcach.

Tego samego dnia na konferencji prasowej Donald Tusk stwierdził, że „skuteczniejsza ochrona granicy pozwoli wyeliminować te sytuacje, które też są nie do zaakceptowania – gdy w polskich lasach umierają ci, którzy znaleźli się po tej stronie granicy”. Dodał, że rząd będzie szukał „sposobów humanitarnego traktowania” osób, których życie i zdrowie będzie zagrożone, mimo że nadal granica będzie chroniona przed tymi, „którzy przekraczają ją w sposób nielegalny”.

Od listopada ludzi na pograniczu jest znacznie mniej, co nie znaczy, że szlak migracyjny wygasł czy został zamknięty. Od 13 grudnia 2023 do 15 stycznia 2024 r. do linii granicy zawrócono 93 cudzoziemców – przekazał minister Duszczek w odpowiedzi na pytanie dziennikarza i aktywisty Piotra Czabana z POPH. Grupa Granica opatrzyła tę informację w mediach społecznościowych hasztagiem #100WywózekRząduTuska.

Tylko co, jeśli innego wyjścia niż pushback nie ma? I były, i obecny premier przekonują, że nie można ugiąć się pod presją Łukaszenki, który ludzi z Afryki czy Bliskiego Wschodu wykorzystuje do nacisku na Unię Europejską za nałożone na Białoruś sankcje.

– Białoruś robi to samo, co wcześniej Libia, Maroko czy Turcja. Może sobie na to pozwolić, bo państwa UE nie mają wspólnego stanowiska co do zarządzania migracją, łamią przepisy i tym samym dają się szantażować. Tymczasem istnieje wiele działań zgodnych z prawem, które powinniśmy podjąć. Sytuację każdej osoby przekraczającej granicę Polski, Włoch czy Hiszpanii należy ocenić indywidualnie. Zdaję sobie sprawę, że to duże wyzwanie, ale za to zapewniłoby społeczeństwu większe bezpieczeństwo – mówi Górczyńska.

– Jak to? Chyba chodzi o to, by ludzi za wszelką cenę zatrzymać poza naszymi granicami – właśnie w imię bezpieczeństwa.

– Wyobraź sobie, chociaż prawdopodobieństwo jest naprawdę niewielkie, że do

Polski szlakiem migracyjnym dociera terrorysta. Znacznie skuteczniej jest taką osobę wpuścić, sprawdzić, umieścić w areszcie i osądzić, niż puścić wolno do lasu, wiedząc, że spróbuje przejść ponownie. I nikt jej już wtedy nie sprawdzi.

W Koalicji 15 Października nie ma zgody, co należy zrobić z kryzysem na granicy. 21 grudnia odbyła się konferencja posłów i senatorów zorganizowana pod hasłem „Stop wywózkom” przez wicemarszałków Senatu Magdalenę Biejat (Lewica Razem) i Macieja Żywno (Polska 2050).

„Pushbacki dzisiaj oznaczają narażenie zdrowia i życia ludzi docierających do Polski” – mówiła Biejat, dodając, że to również „realny brak kontroli nad tym, kto na terenie Polski przebywa”. „Nie mają one żadnego uzasadnienia z perspektywy humanitarnej ani z perspektywy zachowania bezpieczeństwa granic” – skwitowała.

Część organizacji zrzeszonych w Grupie Granica prowadzi z politykami rozmowy. Uczestniczy w nich m.in. Beata Siemaszko ze Stowarzyszenia No To Ci Pomogę.

Białoruscy pogranicznicy pozwalają na wycofanie się z tzw. sistiemy, czyli strefy przygranicznej, tylko tym uchodźcom i migrantom, którzy choć raz podjęli próbę przejścia do Polski

Podjeżdżam pod jej dom. Drewniany, na skraju lasu, jakieś 20 minut drogi od plotu granicznego. Jest już ciemno, dookoła widać tylko zarysy drzew. – Wcześniej najbliższy mi odcinek granicy był bardzo aktywny. Przez ostatni rok przejścia były głównie na północ ode mnie, w rejonach Puszczy Białowieskiej – mówi Siemaszko, nalewając herbatę z polnych ziół. W pomoc zaangażowała się, gdy tylko plotki o ludziach idących przez granicę okazały się prawdziwe.

Pierwsze wyjście – wrzesień 2021, grupka chłopaków. Termos z herbatą i zupa zapakowane do plecaka. W ostatnim roku takich wyjść zaliczyła 80, chociaż to i tak znacznie mniej niż na początku kryzysu. Beata ma 62 lata.

– Cały czas wierzę, że nowy rząd może naprawić politykę na granicy. Z poprzednim nie było nawet sensu rozmawiać – uważa.

– Widzisz jakieś zmiany? – dopytuję.

– Po raz pierwszy jako pełnomocniczka otrzymałam odpowiedź w sprawie 19-letniej kobiety z Somalii, która ciągnęła się od 2022 r. Po odmowie udzielenia jej ochrony wreszcie wznowiono procedurę. Do tej pory nie zdarzyło mi się być informowaną o czymkolwiek, ale dla mnie to tylko średnio udana próba ukazania ludzkiej twarzy SG. Nic więcej.

Wychodzimy na chwilę na zewnątrz. Beata odpala papierosa, obserwujemy psy bawiące się w śniegu.

– Co teraz? Beata zaczyna wymieniać: – Musimy zabiegać o skupienie uwagi społeczeństwa. Podkreślać, co jest, a co nie jest zgodne z prawem. Wykazywać, że ludzie wciąż cierpią, a my odwracamy oczy, co daje politykom możliwość omijania kryzysu humanitarnego albo marginalizowania go.

Zaciaga się papierosem.

– Naszą rolą jest teraz szukanie sojuszników, wyjaśnianie tego, co tu się dzieje, chociaż wiem, że decyzje w sprawie migracji zapadają na najwyższym, międzynarodowym

szczeblu. Mimo to, jeśli jakiś polityk ma chociaż minimalny wpływ na sytuację na granicy, to wciąż musimy rozmawiać, mimo że na razie jesteśmy rozczarowani działaniami nowego rządu. Ale cały czas zastanawiamy się, co więcej powinniśmy i możemy zrobić, żeby cierpienie tych ludzi się skończyło.

Robi się coraz zimniej, więc wracamy do środka. Temperatura poniżej zera. Nic dziwnego, że przejść jest teraz niewiele – informacje o warunkach na szlaku rozeszły się wśród migrantów i uchodźców pocztą pantoflową. Ludzie wolą przeczekać w Mińsku do wiosny – jeśli akurat pozwolą im na to białoruskie służby. Jak informuje mnie Grupa Granica, białoruscy pogranicznicy pozwalają na wycofanie się z tzw. sistiemy, czyli strefy przygranicznej, tylko tym, którzy choć raz podjęli próbę przejścia do Polski.

Wracam do Białowieży. W międzyczasie w mediach pojawiła się odpowiedź ministra Duszczeka na wystąpienie rzecznika praw obywatelskich w sprawie wywózek. Proponuje między innymi utworzenie patroli poszukiwawczo-ratowniczych w strukturach Straży Granicznej.

Organizacje humanitarne od początku przekonywały, że ich praca nie byłaby konieczna, gdyby ratowaniem ludzi w lasach zajęły się profesjonalne służby. Jednak przekazanie tej roli SG, o której wiadomo, że stosuje przemoc i wywózki, nie jest tym, czego oczekiwały osoby niosące pomoc. – To brzmi jak ponury żart – kwituje Chrzanowska.

Nazajutrz jadę do Aleksandry Kramer, lat 21, studentki pielęgniarstwa, która na Podlasiu mieszka od prawie dwóch lat. Z dwiema koleżankami – również zaangażowanymi w pracę na granicy – wynajmuje drewniany dom z piecem kaflowym i dużym ogrodem niedaleko Białowieży. Czasem widać stąd żubry.

– Jeśli kryzys się skończy, wyjadę stąd. Puszcza jest piękna, ale przez to wszystko, co tu się wydarzyło, ten las już nigdy nie będzie tym samym lasem – mówi – Zwłaszcza po tym, co widziałam w czerwcu. To jest nowy rodzaj bólu.

Wspomina tamten dzień, jakby to było wczoraj. Było słonecznie. Ze znajomymi poszła zbierać rzeczy, które zostały w lesie po migrantach i uchodźcach. Dotarła nad Narawkę – tę samą rzekę, którą widzieliśmy razem z Aleksandrą Chrzanowską, wokół której błoto sięga do ud.

– Zobaczyłam, że w wodzie było dosyć dużo kaloszy, polarów i innych rzeczy, więc wzięłam kij i weszłam do rzeki.

W pewnym momencie zbliżyła się do sterty ubrań, nad którą unosił się rój much i mocny zapach. Gdy dotknęła ubrań kijem, dotarło do niej, co właśnie znalazła.

– Wyszliśmy z wody i zadzwoniłszyśmy na 112. Przyjechał strażnik graniczny i żołnierz. Słyszałam ich żarty: „pewnie chciał się wykąpać i coś nie wyszło”, „rodzina go pewnie zostawiła, a sami już dawno w Niemczech”. Nie potrafili nawet trafić na miejsce po prostej ścieżce, musiałam ich poprowadzić – głos zaczyna jej się trząść z nerwów.

Frontex, czyli Europejska Agencja Straży Granicznej i Przybrzeżnej, wyspecjalizowała się w pushbackach na zewnętrznych granicach Unii, zwłaszcza na Morzu Śródziemnym. Politycy PiS – w przeciwieństwie do władz Litwy i Łotwy – zapewniali, że nie potrzebują pomocy w zarządzaniu sytuacją na swoim pograniczu. Nowy, proeuropejski rząd może zmienić zdanie, chociaż do tej pory nie padły oficjalne zapowiedzi współpracy z Frontexem.

Dzwonię do wicemarszałka Senatu Macieja Żywno (Polska 2050), byłego wojewody podlaskiego. Powtarza to, co padło na konferencji „Stop wywózkom” – jeśli chodzi o kryzys humanitarny na granicy, najważniejsze jest skończenie z cierpieniem ludzi i pushbackami. Pytam więc o Frontex.

– Aktualnie na granicy widzimy mniej wojska i sprzętu ciężkiego, bo po prostu nie ma takiej potrzeby. Frontex to tylko dodatkowe siły mundurowe, które w tym momencie nie są na granicy konieczne – odpowiada.

Rozmawiamy też o społecznikach pracujących na miejscu. Wicemarszałek przekonuje, że obowiązkiem wojewody w czasie kryzysu, wynikającym z prawa, jest współpraca z organizacjami humanitarnymi. – Liczę, że wreszcie do tego dojdzie – mówi – podobnie jak do dekriminalizacji pomocy, którą zapowiedział premier. Będę monitorował, jak zmienia się sytuacja na granicy.

– Sto wywózek, które miały miejsce już za nowego rządu, nie wróży dobrze. A wiem, że to właśnie koniec przemocy i pushbacków jest tym, czego pracownicy humanitarni oczekują w pierwszej kolejności – mówię.

– Rozmawiałem na ten temat z wiceministrem Duszczkiem, przedstawiłem również stanowisko zarządu Polski 2050 w tej sprawie, które jest niezmiennie – Polskę stać na to, by osoby znajdujące się w sytuacji zagrożającej zdrowiu i życiu wprowadzić w legalną procedurę, pozwalającą określić, czy mogą pozostać w naszym kraju, czy nie.

Wśród senatorów i posłów nie ma jednak powszechnej zgody co do tego, jak kryzys humanitarny rozwiązać.

– Ale wszyscy zgadzamy się co do jednego – musimy wreszcie wypracować spójną politykę migracyjną – stwierdza wicemarszałek.

Debaty polityczne trwają, a w międzyczasie Stowarzyszenie We Are Monitoring (WAM), będące częścią Grupy Granica, publikuje raport, z którego wynika, że przemoc i okrucieństwo polskich funkcjonariuszy wcale się nie skończyły.

„Pobili mnie oraz moich towarzyszy. Gdy zapytali, skąd jestem, odparłem, że z Syrii. Muzułmanin czy chrześcijanin? Chrześcijanin – odparłem, a wtedy pobili mnie jeszcze mocniej” – relacjonował ankieterom WAM mężczyzna, który w grudniu miał zostać wywieziony cztery razy. Polscy pogranicznicy, przekonuje, zabrali jemu i jego towarzyszom ubrania, po czym nagich wypchnęli w stronę Białorusi.

Nie jest to odosobniona relacja. Z badania WAM wynika, że w grudniu 34 osoby doświadczyły pushbacku, z czego 33 skarżyły się na przemoc polskich służb.

Skoro bezpieczeństwo granicy jest priorytetem dla nowego rządu, postanowiłam sprawdzić, jak wyglądają patrole wojskowe wzdłuż zapory.

Razem z Zosią z Grupy Granica i Łukaszem, przewodnikiem turystycznym po puszczy, wybieramy się do rezerwatu przyrody Kozłowe Borki, 15 km na południe od Białowieży, tuż przy granicy. Po godzinie marszu widzimy pierwszy patrol. Z widokiem na mur i nową warstwę drutu żyłkowego, żołnierze stacjonują w czymś, co przypomni na myśl szalasy. Rozstawione co kilkadziesiąt metrów kwatery mają jakieś cztery metry kwadratowe, są przykryte niebieską plandeką i obłożone iglastymi gałęziami. Ze środka unoszą się dymy z niewielkich piecyków. Tuż obok leżą drewno na opał i rzucone niedbale zwoje concertiny.

– Tak wygląda zewnętrzna granica strefy Schengen! – Zofia trochę śmieje się, a trochę krzyczy.

Idziemy dalej. Ścięte w rezerwacie drzewa zostały rozrzucone w okolicach szalasów. Wszystko wskazuje na to, że żołnierze rąbią je na własny użytek. Kawalek dalej na śniegu widać kilka plastikowych talerzy i resztki surówki z białej kapusty.

Zofia i Łukasz zatrzymują się, wskazując na ubitą drogę, po której idziemy.

– W tym miejscu droga w rezerwacie powinna się skończyć. Ta została pociągnięta pewnie po to, żeby wozy wojskowe mogły przejechać.

Żołnierze z długą bronią obserwują, czy nie podchodzimy zbyt blisko do zapory. To i tak byłoby niemożliwe – o tej porze roku szalasy i plot dzieli rozlewisko. Z jednym z chłopaków zamieniam kilka słów. Jak długo tu stacjonują? – Będzie ze dwa lata.

Jeszcze za rządów PiS prawnik Kamil Syller zawiadomił policję o wyrębie drzew w tym miejscu. Po odwołaniach i zażalegniach prokurator z Warszawy stwierdził, że „pozyskiwanie drzew w celach opalo-

Aleksandra zbliżyła się do sterty ubrań, nad którą unosił się rój much i mocny zapach. Gdy dotknęła ubrań kijem, dotarło do niej, co znalazła. – Wyszyliśmy z wody i zadzwoniłyśmy na 112. Przyjechali strażnik graniczny i żołnierz. Słyszałam ich żarty: „Pewnie chciał się wykąpać i coś nie wyszło”

wych i budulcowych nie znalazło żadnego potwierdzenia” (sprawę opisała białostocka „Wyborcza”).

Zofia ledwo powstrzymuje wściekłość. Jest tu nie pierwszy raz i nic się nie zmienia poza tym, że przybyła kolejna warstwa drutu żyłkowego.

W sprawie wyciętych drzew na terenie rezerwatu i braku profesjonalnego schronienia dla żołnierzy w czasie zimy skierowałam zapytanie do rzecznika prasowego Wojska Polskiego oraz Ministerstwa Obrony Narodowej. Biuro prasowe MON odpisało mi, że żołnierze patrolujący granicę zaopatrywani są w drewno kupowane od nadleśnictw, a sami mają całkowity zakaz wycinania drzew, chociaż „w przeszłości dochodziło do takich incydentów”. Jeśli zaś chodzi o brak profesjonalnego schronienia: „Na potrzeby żołnierzy pełniących służbę patrolową na pasie granicznym wydzielono ponad 200 szt. kontenerów wartowniczych. Niemniej jednak ukształtowanie terenu w tej lokalizacji uniemożliwia ustawienie ww. kontenerów na niektórych odcinkach granicy dlatego też na terenie pasa granicznego można zaobserwować doraźnie wykonane schronienia typu »szalasy«”. Oraz „Wojsko Polskie na terenie rezerwatu Kozłowe Borki nie prowadzi modyfikacji terenu”.

Wracam. Pytam Zofię o jej pracę w terenie i o ludzi, którym pomogła. – A co, jeśli część z nich was okłamuje?

– Chyba nikt z nas nie ma wątpliwości, że nie wszystko, co od nich słyszymy, musi być zgodne z prawdą. Ale gdybym to ja była sama w lesie, zmarznięta, głodna, może

ranna, też powiedziałabym cokolwiek, byle otrzymać pomoc.

Zresztą wielu migrantów wcale nie marzy o Polsce. – Część ludzi wyjeżdża za granicę, bo mają tam już bliskich, którzy na nich czekają – zauważają społecznicy.

A ci, którzy chcieli osiedlić się u nas, też zmieniają zdanie po tym, co przeżyli na granicy. Łukasz wspomina młodego lekarza z Iraku, który chciał prosić o ochronę w Polsce, ale po tym jak polski mundurowy połał mu żebra, nie chce już mieć z „tym krajem” nic wspólnego.

– Ciągłe toczą się dyskusje, czy warto migrantom pomagać, skoro sami się prosili o kłopoty, przychodząc na tę granicę. A nikomu nie przeszkadza, że jako państwo wydajemy spore pieniądze na przykład na akcje ratunkowe w górach, bo jakiś turysta zabił. Jeśli ktoś potrzebuje pomocy, to najpierw pomagasz, a dopiero potem pytasz, kim jest i po co tu przyszedł – wtrąca Łukasz.

On też pomagał – niezależnie oraz w Grupie Granica i POPH, ale odkąd ludzi na szlaku jest mniej, znów poświęca się działalności na rzecz przyrody, między innymi ratowaniu Puszczy Karpackiej przed wycinką.

Zaczęło się w Usnarzu Górnym, w sierpniu 2021 r. Wtedy do wsi, w której mieszka raptem kilkadziesiąt osób, zjechały tłumy dziennikarzy z Polski i ze świata. Wszyscy chcieli zobaczyć grupkę ludzi trzymanyh przez Straż Graniczną pod lasem.

Dziś jest tu cicho i pusto. Mijam zardzewiałą tabliczkę z nazwą miejscowości i drewniane, podniszczone domy. Towarzyszy mi pies w typie owczarka niemieckiego.

O bramę opiera się mężczyzna w średnim wieku. Pytam, czy do zapory granicznej w tamtą w stronę. Mówi, że tak, chociaż trudno się tu zgubić – w Usnarzu jest tylko jedna droga.

– Ludzie mówią, że w marcu znowu zaatakują – podtrzymuje rozmowę. – Pamiętam, jak tu byli, Białorusini ich zwieźli, wzięli pieniądze i zostawili. A przecież oni musieli wiedzieć, że ich tu nikt nie wpuści.

– Od tamtego czasu już nikogo tu nie było?

– Nie widziałem. Ale gdzie ci ludzie siedzą po tamtej stronie? W lesie śpią, na śniegu?

Niektórzy pewnie tak. Tak samo jak rok i dwa lata temu. Bo na granicy zmieniło się niewiele – tylko concertiny jest coraz więcej, również tu, w Usnarzu. ●

* Imię rozmówczyni zostało na jej prośbę zmienione

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

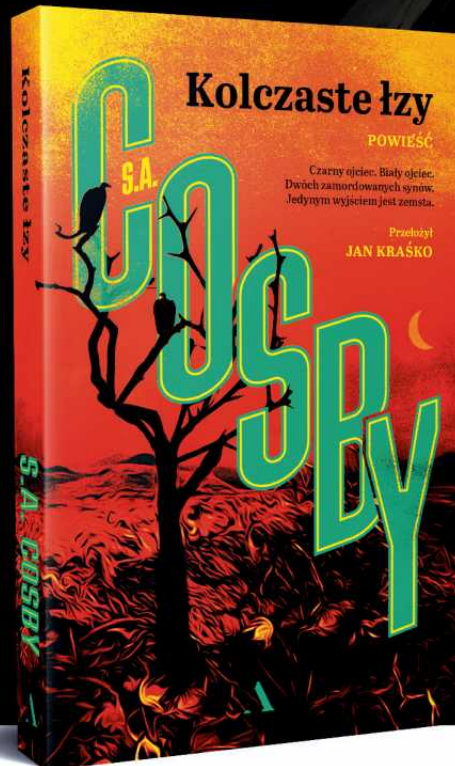
KRAJ/34295976

**Czarny ojciec.
Biały ojciec.
Dwóch zamordowanych
synów.
JEDYNYM WYJŚCIEM JEST ZEMSTA.**



Powieść Cosby'ego jest prowokująca, brutalna, ale również piękna i poruszająca (...) S.A. Cosby pokazał, że jest jednym z najsilniejszych i najbardziej wyrazistych głosów w amerykańskiej literaturze sensacyjnej.

Washington Post



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

 **Wydawnictwo
Agora**

Borys Nadieżdin, kontrkandydat Putina

ZACZYNAM MYŚLEĆ JAK PREZYDENT

Ludzie pytają mnie: „Panie Borysie, czy jest pan liberałem?”.
Odpowiadam: „Nie. Jestem rosyjskim patriotą”

Margarita Lutowa, Andriej Piercew, Meduza

FOT. SHAMIL ZHUMATOV/REUTERS



To największa sensacja ostatnich miesięcy w rosyjskim świecie, może nawet większa niż pucz szefa kremlowskich najemników Jewgienija Prigożyna: Putin ma prawdziwego rywala.

Ludzie Kremla coś zlekceważyli, czegoś nie dopatrzili – i oto liberalny polityk Borys Nadieżdin zebrał nie 100 tys. wymaganych prawem podpisów pod swoją kandydaturą, ale 200 tys. A w dodatku poparła go cała skłócona rosyjska opozycja – od ludzi najważniejszego i najbardziej charyzmatycznego z liderów, czyli Nawalnego, przez środowiska byłego oligarchy naftowego i wieloletniego więźnia politycznego Michaiła Chodorkowskiego, po kręgi byłego premiera Michaiła Kasjanowa. Jeśli zdarzy się cud, centralna komisja wyborcza nie doszuka się kilkudziesięciu tysięcy sfalszowanych podpisów i zarejestruje Nadieżdina, na karcie do głosowania pojawi się antywojenny kandydat.

Setki tysięcy ludzi w Rosji trzymają za niego kciuki nie tylko dlatego, że „nadzieja” znaczy nadzieja – chociaż ta symbolika niewątpliwie będzie grała na jego korzyść.

MARGARITA LUTOWA: Formalnie ogłosił pan kandydaturę w październiku, ale w rzeczywistości zapowiedział zamiar kandydowania na prezydenta na lipcowym posiedzeniu centralnej komisji wyborczej, a opowiedział o tym na sierpniowym streamie nacjonalisty Dmitrija Demuszkina. Ale jeszcze w czerwcu mówił pan, że kandydowanie na prezydenta jest zadaniem niewykonalnym, ponieważ podpisy prawdopodobnie nie zostaną uznane za ważne. Co się wydarzyło przez te kilkadziesiąt dni, że zmienił pan zdanie?

– 20 lipca, na posiedzeniu CKW, gdzie odmówiono mi rejestracji w wyborach gubernatora obwodu moskiewskiego, powiedziałem w przypływie emocji, zupełnie bez powodu: „Nie pozwalacie mi kandydować na gubernatora obwodu moskiewskiego? To zrobię wam niespodziankę, będę kandydował na prezydenta!”. Zareagowano ze śmiechem: „Tak, tak, oczywiście, panie Borysie”.

To było emocjonalne oświadczenie, ale potem naprawdę zacząłem myśleć, że powinienem jakoś włączyć się w kampanię. Nie sądziłem jednak, że sam wystartuję. Czekałem, aż zgłoszą się bardziej znani ludzie. Mówiło się, że mogliby kandydować Żenia Roizman [były burmistrz Jekaterynburga, działacz antykorupcyjny], [menedżerowie mediów] Aleksiej Wieniediktow [znany dziennikarz, redaktor zlikwidowanego radia Echo Moskwy] i Dmitrij Muratow [współzałożyciel i redaktor naczelny „Nowej Gazety”, laureat pokojowego Nobla]. Pomyślałem, że będę pełnił funkcję pomocnika, tak jak we wszystkich poprzednich wyborach. Pomagałem Irinie Chakamadzie [wieloletnia posłanka do Dumy, jedna z liderów koncesjonowanej opozycji przed 2014 r., na przemian skonfliktowana z Putinem i współpracująca z Kremlm w różnych prezydenckich grmiach] w 2004 r., Michailowi Prochorowowi [bankier, finansista, rekin biznesu lat 90.] i Borii Titowowi [lider prokremlowskiej „liberalnej” Partii Wzrostu] – jego kampanię w 2018 r. prowadził mój zespół. O Jelcynie nie wspominam, bo to oczywiste, że kiedy pracowałem w administracji prezydenckiej, byłem zaangażowany w jego sztabie.

Jednak mija sierpień i wrzesień, a wszyscy pod różnymi pretekstami odmawiają startu. I wtedy zaczynam zdawać sobie sprawę, że jestem jedyną osobą, która kiedyś powiedziała, że to zrobi. Co dalej? Zacząłem się nad tym poważnie zastanawiać. Skonsultowałem się z rodziną, z bliskimi współpracownikami i zacząłem negocjować z różnymi partiami – ponieważ jeśli jest się nominowanym z partii pozaparlamentarnej, trzeba zebrać 100, a nie 300 tys. podpisów. W końcu zgodziła się mnie nominować Inicjatywa Obywatelska Andrieja Nieczajewa [pierwszy minister gospodarki Rosji – w latach 1992–93 – po rozpadzie ZSRR].

Wtedy opublikowałem „manifest Nadieżdyna”. Zaczyna się od słów: „Startuję w wyborach jako pryncypialny przeciwnik polityki Putina”. I zaczęło się robić poważnie. Wszystko, co wydarzyło się później podczas kampanii wyborczej, opisałem jako cztery cuda.

Pierwszy cud: partia zgodziła się mnie nominować. W końcu ugrupowanie, które wybiera osobę z takim programem, podejmuje ryzyko. W Rosji utworzyć partię jest ciężko, ale rozwiązać bardzo łatwo.

Drugim cudem było to, że do mojego sztabu przyszli wspaniali młodzi ludzie. Powiedzieli: „Zrobimy panu kampanię, zrobimy stronę internetową za darmo, nie musi nam pan nic płacić, to my zbierzemy dla pana pieniądze”. Nauczyli mnie, jak pozyskiwać fundusze, a teraz mamy na koncie ponad 80 mln rubli [ok. 3,5 mln zł], zebranych dzięki użyciu ich technologii. To nie są żadne środki państwowe – to pieniądze od ponad 30 tys. osób z całego kraju.

ANDRIEJ PIERCEW: Czy wie pan, że są już wykorzystywane techniki czarnego PR? Żeby pana zdyskredytować jako „koncesjonowanego”, piszą, że pieniądze dał panu będący blisko Putina biznesmen Sulejman Kerimow.

– Dobrze znam dziennikarza Kirilla Szulikę, który to napisał. Zwróciłem się do niego bezpośrednio: „Kirill, sam się wystawiasz, bo ani Tatiana – wspomina tam o mojej byłej żonie – ani Sulejman... Nie miałem z nimi żadnego kontaktu od lat, a ty robisz zamieszanie. Ja podchodzę do tego spokojnie, ale Sulejman jest takim typem człowieka, że kto wie, może się to źle skończyć”. Poradziłem mu, żeby usunął ten post.

W każdym razie trzecim cudem było to, że pozwolono nam zbierać podpisy. Szczerze mówiąc, myślałem, że spotka mnie los Jekateriny Duncowej [dziennikarka, współwłaścicielka lokalnej firmy medialnej, radna Rżewa, chciała kandydować pod hasłami antywojennymi]: po prostu nie pozwolą mi na to. Ale z jakiegoś powodu się zgodzili.

A czwartym cudem był widok kolejek do podpisów. Na całym świecie!

M.L.: A dlaczego o swojej kandydaturze zaczął pan mówić na kanale YouTube „Russkij marsz TV”? Demuszkin jest znany z nacjonalistycznych poglądów, a nazwa kanału mówi sama za siebie. Próbuje pan podebrać Putinowi publiczność nacjonalistyczną?

– Po pierwsze, stało się to przez przypadek. Znam Demuszkina od dawna, jeszcze z zamierzchłych czasów, kiedy był prawdziwym nacjonalistą – bo teraz, oczywiście, jest nacjonalistą całkiem legalnym i pokojowym. To człowiek ze skomplikowaną biografią, był nawet w więzieniu [Demuszkin, lider skinheadów w latach 90., założyciel kolejnych nacjonalistycznych i rasistowskich ugrupowań, odwołujących się m.in. do NSDAP, aresztowany jako podejrzany o współudział w zamachu bombowym na meczet w Jakromie, współorganizator protestów po wyborach prezydenckich 2012 r.]. On i ja po prostu czujemy się ze sobą komfortowo, jako mężczyźni, jako ludzie. Nie powiedziałbym, że jest bliskim przyjacielem, ale dobrze się dogadujemy.

Jak wiadomo, jestem rosyjskim patriotą. Teraz, kiedy ludzie pytają mnie: „Panie Borysie, czy jest pan liberałem?”, odpowiadam: „Nie. Jestem rosyjskim patriotą”. I to jest czysta prawda! Szczerze pragnę, aby Rosja była wielka, ale nie wielka w tym sensie, w jakim Putin uważa, że jest wielka – z kindżalami i iskanderami krążącymi tam i z powrotem. Ale wielka w tym sensie, że powinna być wolnym i spokojnym krajem, do którego każdy chce przyjechać, a ludzie czują się tu dobrze.

Jestem rosyjskim patriotą. Uczestniczyłem w streamach z ludźmi wielu opcji – i z Demuszkinem, i z Jewgienijem Stupinem [prawnik, moskiewski radny], który jest dość lewicowy, i z Jekateriną Szulman [liberałka, politolożka, menedżerka, była wykładowczyni Prezydenckiej Akademii Gospodarki Narodowej i Administracji Publicznej,

prowadzi popularny kanał polityczno-gospodarczy na YouTube] – z wieloma ludźmi.

A jaki jest pana stosunek do idei nacjonalistycznych? To żadna tajemnica, że Rosjanie miewają takie poglądy.

– Jeśli ubiegasz się o urząd prezydenta i chcesz zdobyć więcej niż 10 procent – a ja już teraz mam więcej – nie należy trzymać się żadnej konkretnej ideologii lub orientacji politycznej. Musisz być „naturalnym” prezydentem wszystkich Rosjan.

Bo wśród Rosjan są różni ludzie. Są tacy, którzy wyjechali – to też Rosjanie. Są fani Chodorkowskiego i Maksyma Kaca [aktywista miejski, politolog, przedsiębiorca programista, były moskiewski radny, dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Izraelu, popularność wśród młodych wyborców buduje w mediach społecznościowych]. Ale są też, co dziwne, fani Stalina. Więc musimy postarać się, aby oni również postrzegali mnie jako prawowitego prezydenta. To odciska silne piętno na retoryce.

Tak, w Rosji są zwolennicy idei prawicowych – również prawicowych w sensie rynkowym, gospodarczym. Ale jest też wielu zwolenników socjalizmu i idei lewicowych. Proszę zrozumieć, że gdybym zajął jasne, sztywne stanowisko: „Oto jestem liberałem” albo „Ja, Nadieżdin, jestem rosyjskim nacjonalistą”, natychmiast zamknąłbym się w jednej wyborczej niszy.

O wojnie pan się wypowiada, ale w wielu innych kwestiach boi się pan zabierać zdecydowany głos. Zapewne z powodu represyjnych przepisów – nie chcemy

częśnie pod wrażeniem i zdumiony. Być może postanowił postąpić jak Mandela, który siedział w więzieniu przez 20 czy 25 lat i stał się symbolem, nim doczekał się zwycięstwa swojej sprawy. Ja prawdopodobnie bym się na taki krok nie zdecydował.

A jeśli chodzi o LGBT, stanowisko jest proste: napisałem w programie, że zniosę represyjne prawa, i szczegółowo je wymieniłem, włącznie z „propagandą gejowską”. Oczywiście nie mogę ich sam anulować, jestem tylko prezydentem. Ale myślę, że Duma Państwowa je zniesie.

Sytuacja osób LGBTQ w Rosji nie była najlepsza nawet bez całkowitego zakazu ich jakiegokolwiek publicznej aktywności. Przykładem kwestia rejestracji małżeństw.

– Sprawa LGBT jest wszędzie rozdmuchiwana dla celów politycznych: w Ameryce – teoretycznie – na plus, a w Rosji na minus. Dorastałem i żyłem w ZSRR. Zdawałem sobie sprawę, że gdzieś tam są jacyś geje, ale nigdy w życiu ich nie widziałem. Jakoś nie rzucali się w oczy, nie przykuwali mojej uwagi, po prostu byli, jak zawsze i wszędzie. A teraz, przez tę parszywą propagandę, ludzie myślą: „Co za koszmar, teraz tylko dać im wolną rękę, a ci geje rozwalą cały kraj”. To sprawa czysto osobista, państwo w ogóle nie powinno się do tego mieszać.

Więc nie uważa pan, że prawa tych ludzi w Rosji powinny być w jakiś sposób chronione? Choćby poprzez rejestrację małżeństw?

– Wydaje mi się, że państwo powinno całkowicie zapomnieć o ich istnieniu, a wtedy będzie im dobrze, o wiele lepiej.

Do mojego sztabu przyszli wspaniali młodzi ludzie. Powiedzieli: „Zrobimy panu kampanię, zrobimy stronę internetową za darmo, nie musi nam pan nic płacić, to my zbierzemy dla pana pieniądze”

oczywiście teraz zmuszać pana do ich łamania – no i, jak sam pan to ujął, aby być „prezydentem wszystkich Rosjan”. Nie-mniej pańskim potencjalnym wyborcom pozostaje jedynie domyślać się z aluzji, co ich kandydat myśli o prawach osób LGBTQ, Nawalnym itd. Nie martwi pana, że ludzie mogą pana popierać, nie do końca znając pańskie poglądy?

– Zaczniemy od początku. Znam Nawalnego od dawna. Zostanie uwolniony. Moim pierwszym dekretem będzie uwolnienie więźniów politycznych. Czy Aleksiej będzie mógł uczestniczyć w działalności politycznej? Tak, oczywiście, bez dwóch zdań. Choć nadal będzie musiał zostać prawnie zrehabilitowany – skazał go jednak sąd, a nie będę ingerował w wymiar sprawiedliwości. Choć wydaje mi się, że wymiar sprawiedliwości słucha prezydenta.

A czy popierał pan Nawalnego przed jego aresztowaniem?

– Znam go od dawna, kiedy nie był jeszcze tak znanym politykiem. Pracował dla nas w Sojuszu Sił Prawicowych pod rządami Nikity Biełycha [liberał, za prezydentury Miedwiediewa gubernator obwodu kirowskiego, skazany na osiem lat łagru i wielomilionową grzywnę za korupcję, sprawę najpewniej sfabrykowano] i był odpowiedzialny za kampanię wyborczą oraz partyjny marketing. Uważam go za silnego człowieka, który obrał bardzo ryzykowną drogę. Kiedy wrócił do Rosji po tym, jak próbowano go otruć, byłem jedno-

Myślę, że ci ludzie nie zgodziliby się z panem.

– W Rosji na pewno się zgodzą. Rosja to nie Ameryka. Mamy własne tradycje, oni mają swoje. Myślę, że nasi geje są całkowicie normalnymi członkami społeczeństwa. Proszę pozwolić im żyć, pracować. Państwo powinno trzymać się od tego z daleka.

Za każdym razem, kiedy pada pytanie o Krym, pan powtarza, że wszystko musi być zgodne z konstytucją Federacji Rosyjskiej” [do której w rozdziale o podmiotach Federacji dopisano dwa nowe – Republikę Krymu i Sewastopol jako „miasto federalnego znaczenia”, a przed tą zmianą Kreml przywoływał na usprawiedliwienie aneksji konstytucyjny zapis o ochronie praw Rosjan poza granicami kraju]. Wydaje mi się, że to pytanie powraca jako sposób na upewnienie się co do pana antywojennego stanowiska.

– Kandyduję na prezydenta Federacji Rosyjskiej. Podkreślam: nie Ukrainy, nie Unii Europejskiej, ale Federacji Rosyjskiej. Kiedy obejmę urząd, złożę przysięgę na konstytucję Federacji Rosyjskiej.

A jeśli odpowiedzą panu: „W tej konstytucji jest teraz zapisanych dużo różnych rzeczy”.

– To, co wydaje mi się złe w tej konstytucji, proponuję zmienić w pełnej zgodności z jej dziesięcią rozdziałem o trybie poprawek kon-

stytucyjnych i zmianie konstytucji – w przeciwieństwie do Putina, który przeprowadził absolutnie niekonstytucyjne referendum w 2020 r. Ja nie zrobię nic podobnego. Jeśli uznam, że konieczna jest zmiana konstytucji, w szczególności listy podmiotów Federacji Rosyjskiej, będę podejmować działania zgodne z rozdziałem dziesiątym.

Będę działał w interesie obywateli Federacji Rosyjskiej. Wszelkie rozważania na temat Hagi proszę zostawić tym, którzy są blisko Hagi [Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze nakazał Rosji wypłacić odszkodowanie ukraińskiemu Naftohazowi za przejęty majątek na Krymie oraz wyrokował w sprawie dyskryminacji Tatarów i Ukraińców krymskich przez Rosję]. Ja natomiast będę w Rosji i będę działał w interesie obywateli Federacji Rosyjskiej. Także tych, którzy mieszkają na Krymie.

„Działać w interesie obywateli Federacji Rosyjskiej” to bardzo szerokie sformułowanie, zgodzi się pan? Pojawia się na przykład wiele pytań dotyczących zbrodni wojennych. Czy uważa pan, że nie można ich sądzić poza Rosją?

– Oczywiście. Jeśli ktoś popełnił jakieś straszne zbrodnie – nie ma znaczenia, czy było to w związku z inwazją Rosji na Ukrainę, przed nią, czy po niej – mamy rosyjski wymiar sprawiedliwości.

Rzecz jasna, obecnie to jest sprawiedliwość raczej z nazwy – znamy te wszystkie wyroki pod dyktando. W moim programie są wszystkie informacje o tym, co zamierzam zrobić z sądami, jak chcę naprawić obecną sytuację. I kiedy przekonam się, że te sądy są już adekwatne i orzekają zgodnie z prawem, wtedy będzie można zacząć zajmować się tym, kto co zrobił.

A czy Putin może być sądzony?

– Nie. Nie można go osądzić, ponieważ istnieje konstytucja i ustawa o gwarancjach praw osób, które wykonywały uprawnienia prezydenta Rosji. Obecnie dwóch obywateli podlega tej ustawie – Miedwiediew i Putin. Zgodnie z tą ustawą nie mogą być ścigani za nic.

I nie chciałby pan tego zmienić?

– Nie sądzę, by należało to zmieniać. Potem się okaże, że sam coś narozrabiam, komuś może się coś nie spodobać i mnie też zaczną represjonować. Komu to potrzebne?

Może gdyby istniała groźba kary, to nic by pan nie narozrabiał.

– Wie pani, straszna jest ta czysto rosyjska tradycja: przychodzi nowy kierownik i zaczyna represjonować wszystkich, którzy rządząli wcześniej. To się dzieje cały czas i nie jest w porządku.

Powiedział pan kiedyś, że kandyduje na prezydenta, aby uświadomić Rosjanom, którzy podobnie jak pan uważają, że kraj zmierza w ślepy zaułek, że „nie są jedynymi, którzy szepczą o tym w kuchni”, że istnieje ktoś, kto głośno wyraża ich stanowisko. Pana wypowiedź wybrzmiała na antenie federalnych kanałów telewizyjnych – i nic.

– Przede wszystkim osiągnąłem pierwszy cel, prawda? Kiedy zaczynałem kampanię, moim celem było pokazanie światu i ludziom, że nie są sami. Ten cel osiągnąłem w 100 procentach. Setki tysięcy osób pisały: „Co za błogosławieństwo! Pojawiła się możliwość legalnego, zgodnego z prawem wyrażenia protestu”. Jedna pani napisała: „Cierpiałam przez dwa lata, myślałam, że jestem w tym sama”. Inna: „Dwie godziny, które spędziłam w kolejce, aby zapisać się do Nadieżdina, były najlepszym czasem w moim życiu w ostatnich latach. Przekonałam się, że wokół mnie są ludzie, którzy myślą w ten sam sposób. Wspaniali, młodzi”. Ludzie są po prostu w euforii. Jednoczyli się i zobaczyli, że alternatywa jest możliwa.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Słusznie pani zauważyła, że zaczynam teraz myśleć jak osoba, która naprawdę zamierza stanąć na czele tego ogromnego państwa. To ważny moment. Kiedy zaczynałem kampanię, to był raczej gest desperacji, postrzegałem się-

bie jako osobę, która zmierza do rowu – zdą-
żę coś powiedzieć, krzyknąć: „Ludzie, mu-
simy coś zrobić!”, ale zostanę zabity po dro-
dze. Aż nagle okazało się, że to znacznie po-
ważniejsza sprawa. Rankingi rosną. I nie
chodzi o sam odsetek popierających mnie,
ale o szybkość tego wzrostu. Zaczynam ro-
zumieć, że muszę się przygotować na to, że
faktycznie będę kierować krajem.

Myśli pani, że zwariowałem? Nie, nie
zwariowałem. Za to ta świadomość spra-
wia, że zmienia się nie tylko moja retoryka,
ale też spojrzenie na wiele spraw. Jako ktoś
skazany na porażkę, opozycjonista desper-
rat, mogłem mówić: „Kraj ginie, wszystko
przepadło”. Ale jako potencjalna głowa pań-
stwa wyobrażam sobie na przykład, że Szoj-
gu i generałowie wykonują zadanie i wygry-
wają wojnę – co moim zdaniem jest całko-
wicie niemożliwe, ale załóżmy, że wykona-
li swoją pracę. Są dowódcami wojskowymi,
dowodzą setkami tysięcy uzbrojonych lu-
dzi, a ja staję się naczelnym dowódcą. Czy
rozumie pani mój dylemat? Potrzebuję, aby
ci ludzie byli mi posłuszni, aby wykonywa-
li moje rozkazy, które będą bardzo różniły
się od tych, które otrzymywali przez ostatnie
dwa lata. A nie chcę, żeby zachowywali się
jak Prigożyn.

**Poparli pana antywojenni Rosjanie. Ale
czy w Rosji może powstać naprawdę ma-
sowy, aktywny ruch antywojenny?**
– W zasadzie on już powstał: setki tysięcy lu-
dzi wyszły na ulice, składając podpisy, popie-
rając mnie. Cały kraj to widział. Okazało się, że
to możliwe – nikt nie został aresztowany, po-
nieważ to była legalna akcja. Czym innym jest
stanie z transparentem „Za pokój”, a czym in-
nym podmienianie w sklepach metek z ceną,
co nie jest działaniem legalnym [aktywistka Sa-
sza Skoczilenko naklejała na metki informacje
o wojnie, grozi jej 10 lat]. Oczywiście możemy
dyskutować o interpretacji artykułu 31 kon-
stytucji... [„obywatele mają prawo gromadzić
się w sposób pokojowy, bez broni, oraz orga-
nizować zebrania, wiece i demonstracje, po-
chody i pikety”].

**A co jest nielegalnego w podmienianiu
metek z cenami?**
– To naruszenie zasad zachowania w skle-
pie. Niszczenie metek to nie jest wielkie prze-
stępstwo, broń Boże, nie można za to ska-
zywać na 10 lat więzienia. Ale można za to
ukarać grzywną. Nie wchodźmy w szczegó-
ły, po prostu to jasne, że praworządni ludzie
tak po prostu nie przeklejąją metek z cena-
mi w sklepach. Nie ma znaczenia, z jakiego
powodu ktoś to robi – to nie przestępstwo,
ale wykroczenie już tak. Natomiast składa-
nie podpisów na rzecz kandydata na prezy-
denta jest działaniem całkowicie legalnym.
I w ten sposób protestowanie przeciwko kie-
runkowi obranemu przez kraj stało się cał-
kowicie legalne.

Będę nadal próbować zmieniać rosyjską
politykę w interesie tych ludzi, i nie tylko ich
– wszystkich, którzy będą na mnie głosować.
Nawet jeśli nie zostanę kandydatem lub jeśli
wygra Putin – bo proszę pamiętać, że w tym
roku odbędzie się wiele wyborów. Wybiera-
na jest moskiewska Duma, Rada Państwo-
wa Tatarstanu, parlament Nowosybirsk. To
wszystko są zasoby polityczne, które może-
my wykorzystać.

**A.P.: W samej Moskwie podpisało się pod
pańską kandydaturą ponad 20 tys. osób.**
– Prawie 30 tys. 20 tys. w Petersburgu.

**Ci ludzie stali w kolejkach na mrozie, są
gotowi na polityczne działanie...**
– A my znamy ich numery telefonów i adresy.

**Do tego zmierzam. Że może pan do nich
dotrzeć i zachęcić do wzięcia udziału
w podobnej akcji politycznej. Na przykład
do zbierania podpisów dla kandydatów
do Moskiewskiej Dumy Miejskiej.**
– Oczywiście.

**A kto będzie zgłaszał tych kandydatów?
Ta sama Inicjatywa Obywatelska?**
– To przecież logiczne.

**Szczerze pragnę, aby Rosja była wielka, ale nie wielka w tym
sensie, w jakim Putin uważa, że jest wielka – z kindżałami
i iskanderami krążącymi tam i z powrotem.
Ale wielka w tym sensie, że powinna być wolnym i spokojnym
krajem, do którego każdy chce przyjechać,
a ludzie czują się tu dobrze**

**M.L.: Istnieje teoria, że planował pan
udział w wyścigu prezydenckim, aby
zwiększyć popularność i wykorzystać ten
kapitał polityczny w innych wyborach,
w tym do Dumy Państwowej.**
– Na tamtym posiedzeniu CKW, kiedy powie-
działem: „To wystartuję na prezydenta”, to na-
prawdę był akt desperacji – do diabła z wami!
Potem, kiedy przerodziło się to w jakieś real-
ne działania – tak, pomyślałem o tym, o czym
pan mówi. Ale teraz sytuacja jest zupełnie inna.

Jakie poparcie w wyborach pan szacuje?
– Samochód przyspiesza, ale do jakiej prędko-
ści się rozpędzi? W tej chwili moje notowania
są dwucyfrowe.

**A.P.: Załóżmy, że w maju nie zostanie pan
prezydentem. Czy widzi pan siebie jako
kandydata do Dumy Moskiewskiej?**
– Trudno byłoby mi do niej kandydować, po-
nieważ te wybory odbywają się w okręgach
jednomandatowych, nie ma list partyjnych.
Nominowanie mnie w okręgu jednomanda-
towym jest bez sensu. Ale w tych wyborach,
w których będą listy partyjne, mogę im prze-
wodzić. To przyniesie rezultaty.

**Wspomniał pan o swoim koncie wybor-
czym. Ustalliliśmy już, kto daje pieniądze –
„nie Kerimow”. Ale czy są jacyś darczyńcy
z wielkiego biznesu?**
– Czasami ludzie po prostu przychodzą do
sztabu i próbują wręczyć gotówkę: „Oto 10 tys.
– proszę dać Nadieżdinowi”. Odpowiadamy:
„Tam są dane konta, można zrobić przelew na-
wet w bankomacie”. Najmniejsza wpłata, jaka
wpłynęła, to jeden rubel. Największa wynosi-
ła milion rubli [44 tys. zł], jedna osoba prze-
łała ją w kilku ratach.

**Jaką rolę w pańskiej kampanii odgrywają
opozycja, media i eksperci, którzy musieli
opuścić kraj z powodu wojny?**
– Jest oczywiście znacząca, to coś niesamowite-
go. Wszyscy już mnie tam poparli – Katz, Cho-
dorkowski, Lubow Sobol [prawa ręka i praw-
niczka Nawalnego, w 2012 r. uciekła z córką do
Estonii]. A przecież, szczerze mówiąc, z tych
wszystkich ludzi osobiście znam tylko Cho-
dorkowskiego. Poznaliśmy się z Michaiłem
w latach 90., był jednym ze sponsorów Soju-
szu Sił Prawicowych, a ja jednym z liderów tej
partii. Potem brałem udział w projektach je-
go Otwartej Rosji – podróżowałem po kraju
z innymi ekspertami, rozmawiając o świetla-
nej przyszłości kraju, o reformach. Poręczy-
łem za niego w sądzie. Ale odkąd go zamknę-
li, nie miałem z nim kontaktu, wysyłałem mu
jedynie kartki urodzinowe. A gdy wyszedł, już
nie kontaktowałem się z nim.

Jak tylko to wszystko się zaczęło, jeszcze
kiedy nie było takiego szumu, cały czas pyta-
no mnie: „Czy liczy pan na poparcie tych lu-
dzi?”. Odpowiadałem całkiem szczerze i po-
wtarzam po raz dziesiąty: przestrzegam pra-
wa Federacji Rosyjskiej, w tym prawa wy-
borczego. Nie mam prawa otrzymywać żad-
nego wsparcia finansowego lub organiza-
cyjnego z zagranicy albo od „zagranicz-

nych agentów”, za których uważam wszy-
stkich wyżej wymienionych. W tym sensie
nie kierowałem do nich żadnych próśb, ży-
czeń ani apeli. Ale powiedziałem też, że bę-
dę wdzięczny wszystkim obywatelom Rosji,
którzy wspierają mnie w sposób legalny. Tak
więc dziękuję im.

**Już wcześniej scenariusz Kremlowi nieco
popsuł Giennadij Ziuganow, odwieczny li-
der komunistów, gdy pierwszy raz odmó-
wił kandydowania na prezydenta. Głupio
wyszło – są wybory, a nie ma rywala.**
– Ta sytuacja była dla nich nieprzyjemna, ale
standardowa. A teraz mają do czynienia z zu-
pełnie niestandardową. Widzą sondaże.

**Administracja prezydenta przyszła do
pana z propozycją rozwiązania tej nie-
standardowej sytuacji?**
– Jeśli przyjdą do mnie z propozycjami, trudno
będzie to ukryć. Proszę pamiętać, że gdy Gri-
gorij Jawliński [ekonomista, lider liberalnej
niszowej, ale szanowanej w kręgach wielko-
miejskich i inteligenckich partii Jabłoko] udał
się na Kreml, następnego dnia cały kraj o tym
wiedział, ponieważ Andriej Kolesnikow [słyn-
ny niezależny dziennikarz] go tam przyłapał.
W moim przypadku też trudno byłoby się spo-
tkać z kimś na Kremlu w tajemnicy i bez echa.

**Kreml ma tzw. technologów politycznych
i ludzi mediów. Wcale nie musi się pan
pojawić na rozmowach w gabinetach lu-
dzi władzy. Ktoś „życzliwy”, jakiś znajomy
może zadzwonić do pana do domu, żeby
przekazać jakieś życzenia czy sugestie.**
– Do mojego domu przychodzą różni wybit-
ni technologzy polityczni, ale nikt jeszcze nie
przyszedł z oficjalnymi propozycjami. Przy-
chodzą z opowieściami o tym, co się dzieje.
Zresztą takie propozycje składa się osobiście.

**Osobiście przez szefa administracji
prezydenckiej i nadzorcę ludzi Kremla
Siergieja Kirijenka? A może przez kogoś
jeszcze wyżej?**
– Przez kogoś tej rangi.

**Jeśli wierzyć gazecie „Wiedomosti”, kam-
panię „liberalnego kandydata” omawiano
właśnie w administracji prezydenta.**
– Nasluchałem się już tyłu historii o sobie, ty-
łu opowieści, że tak naprawdę ktoś mnie no-
minował... Technologzy polityczni, którzy do
mnie przychodzą, opowiadają mi o najdik-
szych krążących teoriach na temat tego, kto
naprawdę mnie wspiera.

**To postawmy pytanie wprost: czy latem
technologzy polityczni Kirijenki lub
menedżerowie medialni Aleksieja Gro-
mowa [wiceszef administracji prezyden-
ta, nieformalny minister propagandy]
wysyłali sygnały: „W razie czego proszę
być gotowym do kandydowania”?**
– Docierają do mnie pewne pogłoski, że o mnie
rozmawiano, ale oceniam je krytycznie. Do-
brze znam ten system, sam w nim siedziałem
przez kilka lat. To tak nie działa.

**Zgodnie z ustawą o gwarancjach praw osób,
które wykonywały uprawnienia prezydenta Rosji,
Miedwiediew i Putin nie mogą być ścigani za nic.
A jeśli chodzi o Krym, będę działać zgodnie z konstytucją
i w interesie obywateli Federacji Rosyjskiej**

**Latem w wywiadzie dla nowosybir-
skich mediów sam pan mówił, że brał
udział w projektach Kremla, ostatni raz
w 2010 r. – trwała kampania przed wybo-
rami do zgromadzenia ustawodawczego
obwodu kostromskiego, a pan musiał
„przestraszyć” gubernatora Igora Słunia-
jewa.**
– Chwileczkę, tu jest pewien niuans. To nie by-
ło tak, że Kreml „wynajął” mnie, żebym kogo-
kolwiek straszył. Wtedy byłem w bezpośred-
nim kontakcie z administracją prezydencką,
z jej ówczesnym szefem Władisławem Surko-
wem byliśmy na ty. Zawsze mogłem zadzwo-
nić, wpaść. Jako przyzwoity człowiek nigdy
nie działałem potajemnie. W jednej z rozmów
z Surkowem wspomniałem, że nie jestem teraz
w Moskwie, ale w Kostromie, gdzie mieszka
mój przyjaciel Kolia Sorokin. Powiedziano mi:
„Świetnie, mamy tam Słunijawę jako guber-
natora i jest taki sobie, więc zrób tam trochę
hałasu i zobaczymy, co się stanie”. To wszystko.
Nie zatrudnili mnie, nie dali mi żadnych pie-
niędzy. Sam zdecydowałem się stanąć na czele
listy Słusznej Sprawy i wszystko robiłem sam.

**A ma pan obecnie jakieś relacje z Surko-
wem? Zniknął i zastanawia nas, jak się ma
[zastanawia nie tylko Meduzę, ale też za-
chodnich analityków – Surkow długie lata
był szarą eminencją Kremla, odpowiadał
za politykę wewnętrzną, za propagandę
i za zarządzanie tzw. republikami doniec-
ką i ługańską, prawdopodobnie został
aresztowany za defraudację pieniędzy
przeznaczonych na utrzymanie separaty-
stycznych niby-państwek].**
– Nie, nie mam.

Moje życie potoczyło się w zaskakują-
cy sposób. Od lat 90. jestem na ty ze wszy-
stkiemi szefami rosyjskiej polityki wewnętr-
znej. Z Ruslanem Oriechowem, z Surkowem,
Wołodinem, Kirijenką. Ale to nie znaczy,
że wciąż utrzymuję z nimi kontakt. Z Sur-
kowem nie kontaktowałem się po tym, jak
przestał być głównym zastępcą szefa admi-
nistracji. Z Wołodinem byłem w kontakcie
przez długi czas, był już przewodniczącym
Dumy Państwowej. Z Kirijenką ostatni raz
rozmawiałem na pogrzebie Borysa Niemco-
wa [wicepremier i minister za Jalcyna, jedy-
ny mający realne poparcie społeczne polityk
opozycji antyputinowskiej, zastrzelony nie-
opodal Kremla w 2015 r.].

A w tej historii z Kostromą wszystko było
niedorzeczne. Byłem lojalny wobec Kremla,
zebrałem podpisy, wiedziałem, że uznano je
za ważne, bo pokazano mi protokół grupy
roboczej komisji wyborczej, z którego wyni-
kało, że podpisy są doskonałe. Rano posze-
dłem na posiedzenie komisji w sprawie re-
jestracji i atmosfera była dziwna, przewod-
niczący, starszy pan, uciekał wzrokiem, po
czym odmówiono mi rejestracji. Okazało
się, że w nocy dostali pismo z MSW, że pod-
pisy miały nieprawidłowe adresy.
Wyjeżdżam z Kostromy, przychodzę do
biura Administracji Prezydenta i mówię:
„Słuchajcie, panowie, co wy wyprawiacie?”.
Odpowiadają mi: „Przyszedł tu przerażony
Słunijaw i mówi: „Nadieżdin ma 20 procent
poparcia, wszystko przepadło, jeśli go zare-
jestrujemy, będą kłopoty...””. Na Kremlu lu-
dzie są prości, przyszedł swojak, może pod-
padnięty, ale nasz, więc powiedzieli: „Idź już,
wszystko będzie dobrze”. Wciśnięto kilka
przycisków i pojawiło się pismo o nieprawi-
dłowych podpisach.

**Dlaczego to nie może się zdarzyć teraz,
w kampanii prezydenckiej?**
– Może. Różnica jest taka, że wtedy zgodziliśmy
się z Kremlm na mój udział, a potem zmienili
zdanie. A teraz niczego z nikim nie koordyno-
wałem, więc nie ma już odwrotu. Mogę pole-
gać tylko na ludziach, którzy nas wspierają. ●
Przełożyła Patrycja Eiduka

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media, mi-
mo to redakcja Hołodu nadal pracuje. Dzienni-
karze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą
do polskich czytelników o wsparcie. Przelewy
można zrobić tutaj: **Holod.media/donate.**

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Straszenie i odstraszenie

WOJNA Z ROSJĄ
NIE DO POMYŚLENIA?
DLA EUROPY
TO JUŻ REALNA
OPCJA

Gdy NATO rozpoczyna swoje największe ćwiczenia od 1988 r., europejscy przywódcy i wojskowi coraz głośniej wyrażają obawy przed najgorszym scenariuszem.

Nicolas Barotte

LE FIGARO

Pierwszy amerykański okręt biorący udział w ćwiczeniach Steadfast Defender 2024 jest już w drodze. Desantowiec „USS Gunston Hall” opuścił port Norfolk w minioną środę. To jeden z 50 okrętów, które będą zaangażowane w Steadfast Defender 2024 – największe manewry NATO od lat 80., gdy istniał jeszcze ZSRR.

W ćwiczeniach wezmą też udział: 80 samolotów różnego typu, tysiąc pojazdów pancernych i ok. 90 tys. żołnierzy. Będą trwały do maja na morzach i na wschodniej flance NATO zgodnie – jak oświadczył Pentagon – ze scenariuszem opartym na aktywacji artykułu 5 traktatu północnoatlantyckiego „wywołanej wyobrażonym atakiem na Sojusz przeprowadzonym przez przeciwnika w bliskim sąsiedztwie”. Artykuł 5 jest kamieniem węgielnym NATO i zakłada bezwarunkową pomoc sojuszników dla każdego zaatakowanego członka Sojuszu.

Ćwiczenia były planowane od kilku miesięcy. Będzie to pierwszy test nowych „regionalnych planów obrony” przyjętych na szczycie NATO w Wilnie w lipcu. To także ostrzeżenie dla Rosji i „sygnał strategiczny”. Czyli pokaz siły, nawet jeśli Sojusz ma zapisany w swoim statucie charakter czysto defensywny.

Francuski szef sztabu: Następna wojna zostanie nam narzucona

„Odstraszenie NATO działa od początku wojny w Ukrainie – komentuje wysokiej rangi francuski urzędnik wojskowy. – Pozwoliło to na wiele działań, w szczególności na dostawę broni do Kijowa, które są coraz bardziej skuteczne”.

Ale to nie wydaje się już wystarczające, aby zagwarantować, że Rosja nie zaatakuje reszty kontynentu. „Następna wojna będzie nam narzucona, a nie podjęta przez nas” – powtarza francuski szef sztabu, generał Thierry Burkhard.

„Czy wojna może już przyjść do Europy? To pytanie jest na ustach wszystkich wojskowych w UE i zapewne w głowach większości polityków” – mówi inny wysoki rangą francuski oficer, nie wykluczając takiej możliwości.

„Ani Ukraina, ani Izrael nie zdecydowały się na wojny, które muszą obecnie prowadzić, więc nikt nie może dziś przesądzić, że konflikt z Rosją się nie rozprzestrzeni. Trzeba pamiętać, że racjonalność odgrywa tu tylko ograniczoną rolę. Wojna w Ukrainie nie toczy się o terytorium czy dostęp do zasobów – na pewno nie w pierwszej kolejności. To wojna ideologiczna, o tożsamość, mająca na celu zniszczenie przeciwnika, co ma związek z rosyjskim pragnieniem walki o utracony status imperialny” – kontynuuje oficer.

Pragnienie innych autorytarnych mocarstw, by rzucić wyzwanie porządkowi ustanowionemu przez Zachód, należy do tego samego rodzaju – i jest równie silne.

„Życie Rosji w Ukrainie oznaczałoby koniec europejskiego bezpieczeństwa. Więcej, to koniec architektury bezpieczeństwa od zachodniej Europy po Kaukaz i Azję Środkową” – ostrzegł prezydent Emmanuel Macron w wystąpieniu przed dowództwem armii tydzień temu.

Inni przywódcy unijni wyrażają swoje obawy co do najgorszego scenariusza nawet bardziej bezpośrednio. „Musimy się spodziewać, a nawet zakładać, że pewnego dnia Rosja zaatakuje kraj NATO – powtórzył niemiecki minister obrony Boris Pistorius w wywiadzie dla „Tagesspiegel”. – Szacujemy, że będzie to możliwe za pięć do ośmiu lat”.

Ale np. norweski generał Eirik Kristoffersen, dowódca naczelny tego sąsiadującego z Rosją kraju, jest bardziej pesymistyczny, dając Europejczykom tylko „dwa-trzy lata” na przygotowania. W Szwecji naczelny dowódca sił zbrojnych, generał Michael Byden wezwał ludność do „mentalnego przygotowania się” do konfliktu i tworzenia rezerw materiałowych.

„Nie mówię, że jesteśmy od jutra do skazani, ale musimy zdać sobie sprawę, że pokój w Europie przestał być czymś oczywistym” – ostrzega admirał Rob Bauer, szef komitetu wojskowego NATO. I wezwał Europejczyków, by zdali sobie sprawę z konsekwencji tego stanu rzeczy. Podkreślił, że



Francuski szef sztabu:
„Co z naszej perspektywy jest absurdem, dla Kremła może być koniecznością”.

Dowódca armii w Norwegii:
„Europa ma dwa-trzy lata na przygotowania”.

Szef sztabu w Szwecji:
„Wzywam ludność do mentalnego przygotowania się do konfliktu”

chodzi nie tylko o gotowość wojskową, ale też o zrozumienie, „że w razie konfliktu zaangażowane będzie całe społeczeństwo”.

Ukraina dała nam czas. Ponadto dziś Putin już docenia NATO

Alarm jest donioślejszy, ponieważ nadzieje na ukraińskie zwycięstwo na polu bitwy osłabły. „Niektórzy zakładali, że wojna w Ukrainie wyczerpie Rosję i zaoferuje Europie dekadę względnego spokoju, ale to nieprawda” – skomentował jeden z francuskich deputowanych. Kraje Europy Północnej, Bałtowie i Polska, ze względu na bliskość Rosji i geopolityczne znaczenie rosyjskiej enklawy w Królewc, czują, że znajdują się już właściwie na linii frontu. To właśnie w tych krajach skoncentrowane będą ćwiczenia Steadfast Defender 2024.

Na razie rośnie intensywność kremlofskiej retoryki. Moskwa ostro zaatakowała dyplomatycznie Finlandię po jej przystąpieniu do NATO. W styczniu Władimir Putin wyraził „zaniepokojenie sytuacją rosyjskojęzycznej mniejszości na Litwie”, mówiąc, że jej los „bezpośrednio wpływa na bezpieczeństwo” Rosji. Tym samym „rosyjski prezydent wzmacnia długotrwałe wysiłki Kremla, aby stworzyć warunki do przyszłych eskalacji przeciwko krajom bałtyckim”, martwi się Instytut Studiów nad Wojną (ISW), który codziennie monitoruje kon-

flikt w Ukrainie. Podobna wojna informacyjna poprzedziła również inwazję na Ukrainę, aby zapewnić – co z tego, że absurda – preteksty do podjęcia działań wojennych.

Na razie wykrwawiona przez Ukraińców armia rosyjska nie jest w stanie przeprowadzić jakiegokolwiek ataku. A do tego „dziś Putin już wierzy w skuteczność NATO” – mówi William Alberque z brytyjskiego think tanku IISS.

Nuklearne i konwencjonalne środki odstraszenia Sojuszu zaczęły ponownie działać. „Dziesięć lat temu Putin uważał, że NATO jest bezsilne” – podkreśla ekspert. Dlatego w 2014 r. wysunął swoje pierwsze pionki na szachownicy – zajmując Krym i atakując w Donbasie. Zainwestował przy tym miliardy w armię. NATO nie zareagowało. Z tego powodu w 2022 r. bez wątpienia obstawiał tę samą pasywność i opieszałość Sojuszu – tym razem się mylił, ale co będzie jutro?

Możliwość powrotu Trumpa wywołuje panikę

Czynnikiem, który wywołuje już w europejskich stolicach objawy paniki, jest możliwy powrót Donalda Trumpa do Białego Domu po listopadowych wyborach. Kiedy był prezydentem, Trump ostrzegł Europejczyków, że nie mają co liczyć na wsparcie USA w przypadku konfliktu, co niedawno nagłośnił unijny komisarz Thierry Breton. W Waszyngtonie Demokraci i Republikanie zgodzili się ustawą uniemożliwić prezydentowi USA jednostronne wycofanie się z NATO bez zgody Senatu. Ale to nie rozwiązuje problemu spójności Sojuszu w wypadku, gdyby prezydentem został człowiek niechętny Europie, a sprzyjający Putinowi.

„Wszyscy analizują, jaka dokładnie może być postawa Trumpa wobec Rosji, jeśli zostanie ponownie wybrany. Wiemy aż za dobrze, że wokół Europy zaciska się pętla” – martwi się Guillaume Garnier, ekspert w paryskim think tanku IFRI.

Chociaż artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego uruchamia solidarność między państwami członkowskimi, nie oznacza to automatycznie natychmiastowej i wspólnej odpowiedzi wojskowej. „Zdolność odstraszenia Rosji przez samych Europejczyków jest obecnie radykalnie znacznie mniejsza niż całego NATO – ostrzega Garnier. – Mamy czas do końca roku, żeby poprawić naszą sytuację”.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

FOT. GAVRIIL GRIGOROV/KREMLIN POOL/ALAMY LIVE NEWS



Radykalne scenariusze Kremla

Jak Putin wykorzystuje swoją przewagę nuklearną

Rosja posiada do 3500 taktycznych głowic nuklearnych. USA – jedną dziesiątą tej liczby. Według ekspertów gotowość Kremla, aby użyć tej broni, niebezpiecznie rośnie. Również dlatego, że Zachód pozostał w tyle w wyścigu na odstraszenie – co niesie dramatyczne konsekwencje dla Europy.

Pavel Lokshin

Welt

Pod koniec grudnia białoruski dyktator Aleksander Łukaszenko ogłosił, że rozmieszczenie rosyjskiej taktycznej broni jądrowej w jego kraju zostało sfinalizowane. Oznacza to, że ten rodzaj broni znajduje się teraz tuż przy granicy NATO, a potencjalne zagrożenie jest najwyższe od wielu dekad. Bo gotowość Władimira Putina do wykorzystania tego rodzaju broni wyraźnie wzrasta – twierdzi ekspert ds. nuklearnych William Alberque w raporcie dla londyńskiego think tanku IISS (Międzynarodowy Instytut Studiów Strategicznych).

Groźby nuklearne ze strony Kremla wobec Europy i NATO były wysuwane notorycznie zwłaszcza w pierwszym roku wojny w Ukrainie. Dziś są mniej intensywne – ale w żadnym wypadku nie znikły. Wysoce urzędnicy, tacy jak obecny wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Dmitrij

Miedwiediew, nadal regularnie grożą Kijowowi i Zachodowi atakami nuklearnymi.

Słowa byłego prezydenta Rosji nie są od dawna brane poważnie, ale znani rosyjscy eksperci ds. polityki zagranicznej Siergiej Karaganow i Dmitrij Trenin głośno ubolewają nad rzekomo „bezsensownie wysokim progiem” dopuszczalności użycia broni jądrowej i wzywają do „powrotu do strategii strachu”, nazywając pierwsze uderzenie nuklearne przeciwko NATO „działaniem w służbie ludzkości w celu zapobieżenia wojnie światowej”.

Czyniąc to, kładą retoryczne podwaliny pod radykalną zmianę rosyjskiej doktryny dotyczącej „defensywnej” broni jądrowej. Obecnie głosi ona, że Rosja powinna jej użyć wyłącznie w odpowiedzi na ataki z użyciem broni jądrowej i innej broni masowego rażenia, a w przypadku ataków konwencjonalnych tylko wtedy, gdy zagrażają one „istnieniu państwa rosyjskiego”.

Fakt, że co rusz powtarzane przez Putina i jego ludzi groźby nie miały jak dotąd żadnych konsekwencji, nie powinien skłaniać Zachodu do ich rytualnego ignorowania. Władimir Putin i tak nie musi stosować się do zapisów własnej doktryny, ponieważ samodzielnie decyduje o jej interpretacji. A przecież użycie taktycznej broni jądrowej było integralną częścią strategii militarnej Moskwy od czasów sowieckich – argumentuje William Alberque.

W czasach zimnej wojny miały one na celu ograniczenie ewentualnej wojny nuklearnej przeciwko NATO do terytorium

Znani rosyjscy eksperci ds. polityki zagranicznej głośno ubolewają nad rzekomo „bezsensownie wysokim progiem” dopuszczalności użycia broni jądrowej i wzywają do „powrotu do strategii strachu”, nazywając pierwsze uderzenie nuklearne przeciwko NATO „działaniem w służbie ludzkości w celu zapobieżenia wojnie światowej”. W ten sposób kładą retoryczne podwaliny pod zmianę rosyjskiej doktryny dotyczącej „defensywnej” broni jądrowej

Europy. W latach 90. i na początku XXI w., po szoku, jakim były dla Kremla amerykańskie interwencje w Jugosławii i Iraku, taktyczna broń nuklearna stała się czymś w rodzaju polisy na życie reżimu Putina.

Rosja intensywnie modernizuje arsenał nuklearny

Rosja zainwestowała od tamtego czasu duże pieniądze w nowe pociski balistyczne, takie jak Iskander, które mogą przenosić taktyczne głowice nuklearne, i ćwiczyła ataki nuklearne na kraje NATO już w 1999 r., a potem coraz intensywniej, począwszy od 2009 r. Dokonane niedawno rozmieszczenie taktycznej broni jądrowej za granicą Federacji, po raz pierwszy od upadku ZSRR, ostro podkreśla gotowość do jej użycia w sytuacji awaryjnej.

Jest to poważny problem dla Zachodu. Także dlatego, że obecnie istnieje duża nierównowaga w arsenalach. W zależności od szacunków Rosja ma od 1900 do nawet 3500 taktycznych głowic, które mogą być wystrzeliwane przy użyciu ponad 30 systemów nośnych. Pewna część z nich to nowoczesne i precyzyjnie kierowane systemy balistyczne, reszta to bomby przenoszone w samolotach i torpedy. Dla porównania Stany Zjednoczone posiadają jedynie ok. 230 głowic B61-12, z czego mniej niż połowa jest rozlokowana w Belgii, Holandii, Niemczech, we Włoszech i w Turcji.

Waszyngton i NATO koncentrują się dziś zatem na powstrzymaniu Rosji przed użyciem taktycznej broni nuklearnej za pomocą broni konwencjonalnej. W kręgach dyplomatycznych tajemnicą poliszynela jest, że USA jeszcze przed wybuchem wojny ostrzegły Kreml, że rosyjska armia inwazyjna zostanie „zniszczona za pomocą broni konwencjonalnej”, jeśli Moskwa zdecyduje się na użycie broni jądrowej w Ukrainie.

Rosja ma jednak nadzieję, że większy arsenał taktycznej broni jądrowej da jej decydującą przewagę: dominację eskalacyjną. Nie wiadomo bowiem, czy USA odważyłyby się na bezpośrednią interwencję w wojnę w Ukrainie, co dałoby Moskwie pretekst do radykalnego poszerzenia pola rażenia w tej wojnie.

Ale czy europejskie odstraszenie jest naprawdę aż tak osłabione, jak sugeruje wielu ekspertów? W końcu NATO co roku ćwiczy użycie taktycznej broni jądrowej, ostatnio w południowej Europie w październiku. Istniejące zdolności w ramach podziału nuklearnych obowiązków sojusznicznych państw atomowych „generalnie spełniają swój cel odstraszenia” – uważa Brad Roberts, dyrektor Centrum Badań nad Globalnym Bezpieczeństwem w Lawrence Livermore National Laboratory w USA. Jednak potencjał skutecznego odstraszenia można osiągnąć tylko „w połączeniu ze strategicznymi zdolnościami Francji i Wielkiej Brytanii” – zaznacza.

Waszyngton wydaje się polegać na strachu przed konsekwencjami użycia jakich-

kolwiek ładunków nuklearnych. Z ponad 750 miliardów dolarów, które mają zostać wydane na ulepszenie i modernizację amerykańskiej broni jądrowej w ciągu najbliższych dziesięciu lat, Departament Obrony zamierza wydać tylko dziewięć miliardów na taktyczną broń jądrową.

Amerykanie są przekonani, że pierwsze wrogie użycie taktycznej broni jądrowej szybko przerodziłoby się w konflikt z użyciem broni strategicznej, co doprowadziłoby do wojny globalnej o katastrofalnych konsekwencjach. I nawet w logice Putina brak jest miejsca na uznanie takiego ryzyka za pożądany scenariusz.

Najpierw zajęcie fragmentu kraju NATO

Fabian Hoffmann, ekspert ds. wojskowości i bezpieczeństwa oraz badacz w Oslo Nuclear Project (ONP) na Uniwersytecie w Oslo, zwraca jednak w niedawnej rozmowie z „Die Welt” uwagę, że „jesteśmy znacznie bliżej wojny z Rosją, niż nam się wydaje, a NATO ma tylko kilka lat, aby się do niej przygotować”.

„Jeszcze przed inwazją na Ukrainę Rosja zdawała sobie sprawę, że nie ma szans w ewentualnym konwencjonalnym konflikcie z NATO. Rosyjscy strategowie wojskowi zadawali sobie zatem pytanie, w jaki sposób mogą zaszachować NATO.

Ich odpowiedź brzmiała: NATO jest sojuszem politycznym, więc jeśli uda się go podzielić, to jego przewaga militarna nad Rosją w ogóle się nie zmaterializuje” – mówi Hoffmann. „To dlatego trwa stosowanie przez Kreml presji psychologicznej w celu zmuszenia decydentów na Zachodzie do negocjacji i zawarcia pokoju na warunkach Rosji.

W grę wchodzi także krótka wojna zaczepna. Plan Kremla polega na zajęciu w bardzo krótkim czasie pewnego terytorium państwa członkowskiego NATO, na przykład sporego miasta w którymś z państw bałtyckich. Rosyjski parasol nuklearny zostanie następnie rozciągnięty nad tą zdobyczą, twardo sygnalizując, że jeśli siły NATO będą próbowały ją odzyskać, eskalacja nuklearna będzie nieunikniona. I właśnie dlatego tak niesłychanie ważne jest, abyśmy nie pozwolili Rosji na zdobycie takiego przyczółka. Absolutną koniecznością jest wysunięta obrona, czyli odpieranie ataku na Sojusz tak daleko na wschodzie, jak to tylko możliwe, a najlepiej bezpośrednio na jego granicach. To zawsze była oficjalna doktryna NATO, jednak trudna do wyegzekwowania już podczas zimnej wojny. Wynikało to z masy wojsk, które Układ Warszawski zgromadził w pobliżu granic NATO. Nieoficjalnie mówiło się więc, że w razie ataku należy się cofnąć, przegrupować i uderzyć, odbierając utracone terytorium”.

Jednak w świetle obecnej rosyjskiej strategii wojskowej ta nieoficjalna »doktryna kontrofensywy« nie jest już możliwa do utrzymania – przekonuje Hoffmann. Wycofanie się i późniejsze rozpoczęcie kontrataku – ryzyko polityczne, z Chinami, Indiami i resztą labilnych graczy globalnych – jest dziś zbyt duże. „NATO musi zatem być w stanie utrzymać każdy centymetr swojego terytorium od godziny zero, a także wiarygodnie zasygnalizować taką wolę”. ●



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Nowy porządek na Bliskim Wschodzie

Gambit Bidena

Uznanie suwerennej Palestyny ma uwolnić Izrael od skrajnej prawicy i uspokoić cały region. Co może pójść nie tak? Wszystko.

Robert Stefanicki

Plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu, suflowany w przeciekach przez amerykańskich urzędników, jest tak wielowarstwowy, że wywrócić go może każdy niedopasowany klocek.

Ameryka musi wrócić do gry

Jest ironią losu, że Joe Biden wikła się na Bliskim Wschodzie. Kiedy trzy lata temu obejmował urząd, zerwał z tradycją swoich demokratycznych poprzedników, od Cartera po Obamę: nie mianował specjalnego wysłannika ds. konfliktu izraelsko-palestyńskiego, nie szykował kolejnej rundy negocjacji. Przejął za to strategię Donalda Trumpa: promowanie traktatów pokojowych między Izraelem a państwami arabskimi z pominięciem sprawy palestyńskiej. Biden uznał, że jego wyzwaniem były Chiny i Rosja.

Ale, jak przekonał się każdy amerykański prezydent od czasu II wojny, o Bliskim Wschodzie nie da się zapomnieć. 7 października Hamas, atakując Izrael, wezwał Amerykę z powrotem na boisko.

W tej wojnie wszyscy przegrywają. Chyba że wzrost poparcia arabskiej opinii publicznej dla Hamasu uznamy za jego zwycięstwo. Jednak takie zrywy w czasie wojny są przejściowe, a Hamas wykrawia się w starciu z armią Izraela. Zaś dla mieszkańców Strefy Gazy izraelska operacja odwetowa to czysta tragedia.

Niewątpliwie przegrywa także Izrael: wojna zeruje mu wzrost gospodarczy i pogłębia wizerunkową katastrofę. Iran i jego regionalni sojusznicy dokładają do pieca, ale nie widać, żeby przynosiło im to jakieś zyski, poza radością ze szkodenia wrogom.

Dla rządu USA wojna też jest wysoce niewygodna. Biden w roku wyborczym obrywa mocno z lewej strony za wsparcie Izraela, z prawej – za niedostateczne wsparcie Izraela. Dlatego sprawdza możliwość ucieczki do przodu.

Jego urzędnicy podpowiadają zaufanym dziennikarzom, jak mogłoby to wyglądać.

USA są gotowe jednostronnie uznać państwo palestyńskie i zrezygnować z zawetowania w Radzie Bezpieczeństwa ONZ rezolucji o przyjęciu Palestyny jako pełnoprawnego członka. Byłaby to ogromna zmiana w polityce Stanów Zjednoczonych, które od dziesięcioleci upierają się, że suwerenne państwo Palestyńczyków powinno wyłonić się jedynie w wyniku bezpośrednich negocjacji z Izraelem.

Biały Dom chce to obwarować licznymi warunkami. Palestyna miałaby być państwem zdemilitaryzowanym, niezdolnym zagrozić Izraelowi. Rządząca na Zachodnim Brzegu Autonomia Palestyńska ma zostać „zmodernizowana”, tak aby stała się „skuteczna”. Izraelczycy w pakiecie dostaliby nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Arabią Saudyjską.

Największa strategiczna zmiana w regionie?

W założeniu powyższa oferta wpędza premiera Beniamina Netanjahu w tarapaty. Bo może być tak: jego skrajnie prawicowi koalicjanci jej nie akceptują. Wtedy USA grożą wycofaniem wsparcia dla Izraela, co wzmacnia wewnętrzną presję na premiera. Netanjahu szuka innych partnerów koalicyjnych, bardziej na lewo. Proces pokojowy zostaje odblokowany, świat arabski wybacza Izraelowi, rośnie izolacja Iranu, który prze-

stałby punktować za obronę Palestyńczyków. Świat dostrzega w Ameryce wielkiego peacemakera. Amerykanie arabskiego pochodzenia, szczególnie liczni w wahadłowym stanie Michigan, wybaczą Bidenowi wsparcie Izraela podczas kampanii w Gazie i pomagają mu wygrać listopadowe wybory.

Biden może liczyć na wsparcie sojuszników. Brytyjski minister spraw zagranicznych David Cameron powiedział, że zarówno Londyn, jak i Rada Bezpieczeństwa ONZ mogą uznać Palestynę, nie czekając na koniec procesu pokojowego. Wiele innych rządów też jest zdania, że zrównanie Strefy Gazy z ziemią wcale nie przyniesie pokoju i potrzebne jest całościowe rozwiązanie obejmujące suwerenność dla Palestyńczyków.

„Doktryna Bidena może stać się największą strategiczną zmianą w regionie od czasu traktatu z Camp David w 1979 roku”, napisał felietonista „New York Timesa” Thomas L. Friedman.

Co może pójść nie tak? Praktycznie wszystko.

Zacznijmy od sytuacji w Izraelu. Przez miesiące poprzedzające atak Hamasu krajem wstrząsały masowe protesty przeciwko próbie podporządkowania systemu sądownictwa przez rządzącą koalicję. Netanjahu był oskarżany o organizowanie „konstytucyjnego zamachu stanu” i łamanie zasad demokracji. Od wybuchu wojny jego popularność dalej spada. Na protestach ulicznych Izraelczycy żądają powrotu jeńców porwanych przez Hamas, co wymagałoby zgody na rozejm. Skrajnie prawicowi członkowie rządu nie chcą o tym słyszeć. Ta sprawa dzieli też wąski gabinet wojenny, powołany przez Netanjahu, aby choć częściowo uwolnić się od dyktatu ministrów z prawicowej ekstremy, z którymi jest w koalicji. Dokooptowani tam byli generałowie Benny Ganc i Gadi Eisenkot (którego syn zginął podczas walk w Gazie) żądają, aby uwolnienie zakładników było priorytetem, nawet jeśli oznacza to akceptację długiego lub trwałego zawieszenia broni. Nie zgadza się z tym minister obrony Jo’aw Galant.

Na co gotów jest Netanjahu, aby pozostać u władzy

Izraelczycy są podzieleni pół na pół. Jeden z ostatnich sondaży mówi, że niewielka większość poparłaby utworzenie zdemilitaryzowanego państwa palestyńskiego, jeśli będzie to część pakietu obejmującego uwolnienie zakładników i normalizację stosunków z Arabią Saudyjską. Według innego badania równo połowa sprzeciwia się rozejmowi i uwolnieniu tysięcy Palestyńczyków z więzień w zamian za izraelskich zakładników, „za” jest 35 proc. (wśród wyborców koalicji Netanjahu – 12 proc.).

Warunki ewentualnego rozejmu są negocjowane w Katarze. Według doniesień za każdego zakładnika uwolnionego przez Hamas Izrael uwolniłby trzech Palestyńczyków, dyskutuje się też o tymczasowym przeniesieniu wojsk izraelskich z gęsto zaludnionych obszarów Gazy. Skrajna prawica grozi obaleniem rządu w razie „lekkomyślnego” porozumienia z Hamasem.

To jednak szansa dla planu Bidena. Kalkulacje są takie, że Netanjahu zrobi wszystko, żeby utrzymać się przy władzy, bo tylko wtedy ma szansę przewlekać swoje procesy korupcyjne i uchronić się przed więzieniem. Do przedterminowych wyborów nie będzie parł – sondaże wskazują, że przegrałby z Gancem. Mógłby za to sformować nową koalicję z centrową partią Jesz Atid – jej szef Jair Lapid zgłasza gotowość dołączenia do rządu w miejsce skrajnej prawicy, aby ratować zakładników.



• **Prezydent Joe Biden z księciem Saudów Mohammedem ibn Salmanem w Rijadzie**

FOT. MANDEL NGAN / POOL / AFP

Byłby to jednak pakt tymczasowy. Netanjahu chyba czuje się pewniej w obecnym układzie, gdzie może się prezentować jako jedyny obrońca Izraela przed powstaniem „państwa terrorystycznego”, które miałyby izraelskie miasta na odległość rzutu kamieniem.

Nie należy utożsamiać niechęci Izraelczyków do Netanjahu z poparciem dla idei „pokoju teraz”, a tym bardziej dla państwa palestyńskiego. Nawet centryści tacy jak Ganc nie chcą o tym mówić, żeby nie ryzykować utraty poparcia.

Wobec oporu Netanjahu Biden mógłby zawiesić lub wstrzymać dostawy wojskowe i odmówić Izraelowi ochrony przed potępijącymi rezolucjami ONZ. Były już takie momenty we wzajemnych stosunkach, poparcie USA dla Izraela nie jest wykute w kamieniu. Jednak dla Netanjahu chwilowa utrata wsparcia najważniejszego sojusznika jest ceną akceptowalną, zwłaszcza w perspektywie możliwej zmiany władzy w Waszyngtonie. Dlatego twardo deklaruje, że wyklucza utworzenie państwa palestyńskiego i że Izrael musi sprawować kontrolę bezpieczeństwa na wszystkich ziemiach pomiędzy rzeką Jordan a Morzem Śródziemnym.

Jak ma wyglądać państwo palestyńskie

Ale zostawmy Izrael i spójrzmy na przyszłe państwo palestyńskie, które Hamas też widział „od rzeki do morza”. Jakie miałyby mieć granice? Co z setkami tysięcy Żydów mieszkających na terenach okupowanych? Jak podzielić Jerozolimę, którą oba państwa uznają za stolicę? Co z potomkami uchodźców? Jak osiągnąć demilitaryzację? Jak zagwarantować, że suwerenna Palestyna nie stanie się sekretnym przyczółkiem proirańskich grup zbrojnych? I kto miałby tam rządzić, zwłaszcza w Strefie Gazy?

Odpowiedzi na te pytania próbowano znaleźć przez dekady i trudno sobie wyobrazić, że znajdują się teraz w ciągu kilku miesięcy. A bez ustalenia tych kluczowych kwestii uznanie państwa palestyńskiego przez USA i resztę świata pozostanie jedynie deklaracją bez większego wpływu na życie Palestyńczyków.

Pojawia się też wątpliwość, kto miałby negocjować kształt i warunki przyszłego państwa ze strony palestyńskiej. Bo jeśli nie będą to akceptowalni dla narodu przedstawiciele, to Palestyńczycy będą postrzegać narzucone im ograniczenia suwerenności w taki sam sposób, w jaki większość Niemców w latach 20. postrzegała ograniczenia nałożone przez traktat wersalski. Wiemy, do czego to doprowadziło.

Obecne kierownictwo Autonomii Palestyńskiej utraciło demokratyczny mandat i poważanie Palestyńczyków. Najpopularniejszy polityk, Marwan Barguti, tkwi w izraelskim więzieniu, a najpopularniejsza partia, Hamas, po masakrze z 7 października nie może stać się częścią władz wspieranych międzynarodowo. Mówi się, że Hamas jest gotów wejść w buty libańskiego Hezbollahu: pozwoli rządowi wydmszczyć kierować życiem cywilów, a zachowa potencjał wojskowy. Czegoś takiego nikt jednak nie zaakceptuje.

Ponadto większość rozsądnych ekspertów – w Izraelu i poza nim – uważa, że Hamasu nie da się trwale zniszczyć. Zresztą niszczenie go razem z całą Strefą Gazy przez kolejne miesiące czy lata stoi w sprzeczności z jakimkolwiek planem pokojowym. Czy da się namówić tak zawziętych dowódców Hamasu jak Jahia Sinwar na emigrację?

Zaangażowanie Arabów kluczowe

USA rozważają utworzenie z państw arabskich (plus ewentualnie Turcji) „grupy kontaktowej”, która będzie naciskać na reformę władz Autonomii. Jak miałaby ta reforma wyglądać – nie wiadomo. Izrael miał nadziewać, że Arabowie po wojnie odbudują Gazę i wyślą tam siły pokojowe. Ale bez postępu w kwestii państwowości palestyńskiej to tylko złudzenie.

Ważnym założeniem planu Bidena jest wyciągnięcie Palestyńczyków ze sfery wpływów Iranu i oddanie ich pod patronat saudyjski. Dla księcia Muhammada ibn Salmana, faktycznego władcy Arabii, kusząca jest perspektywa zostania ojcem chrzestnym państwa palestyńskiego. Ma on też apetyt na nawiązanie relacji z Izraelem – plany te musiał zawiesić po wybuchu wojny w Gazie. Jednak w zamian za uznanie Izraela Rijad chce rozszerzonego traktatu obronnego z USA i dostępu do technologii nuklearnej.

Traktat obronny wymaga ratyfikacji większością dwóch trzecich w Senacie. Gdyby Trump wygrał drugą kadencję, Demokraci prawdopodobnie masowo zagłosowałiby przeciwko. Teraz jednak Bidenowi może udać się przekonać swoją partię za pomocą perspektywy zakończenia wojny w Gazie i powstania niepodległej Palestyny. Na zdrowy rozum część Republikanów także powinna poprzeć pakt z Saudami. Ale nie jest pewne, czy tak będzie – trzeba raczej zakładać, że Republikanie nie poprą żadnej inicjatywy, która zwiększa szanse Bidena w wyborach.

O przełom łatwiej, gdy wybucha kryzys

Pokojowa szarża Białego Domu jest słuszną. O przełom łatwiej w momentach przesileni niż w czasie stagnacji. Uświadomienie Izraelczykom, że grozi im los samotnej wyspy otoczonej przez wrogów i opuszczonej przez sojuszników, może zadziałać. W 1992 r. Icchak Szamir, premier z Likudu, przegrał wybory po części dlatego, że postrzegano go jako psującego więzi z Ameryką. Jego następca, Icchak Rabin z Partii Pracy, podpisał porozumienia z Oslo, które przyznały Palestyńczykom tymczasową autonomię jako przystanek na drodze do własnego państwa. Lecz tzw. rozwiązanie dwupaństwowe pozostało Świętym Graalem. Gdy pojawiała się szansa na sukces, zawsze coś szło nie tak.

Tym razem jest inaczej: wszystko idzie źle od samego początku. Więc może być tylko lepiej. Trzeba tylko jakimś cudem dopasować wszystkie klocki. ●

Strzelcom brakuje amunicji

Słynnym lobbystom od broni kończą się pieniądze na kampanie wyborcze Republikanów.
Ale to nie znaczy, że skończą się strzelaniny

Jarkowiec

„Żywy trup” – tak o Narodowym Stowarzyszeniu Strzeleckim (National Rifle Association, NRA) mówi były członek zarządu Phillip Journey. „Ta organizacja to zombi”, wtóruje mu Josh Powell, były szef gabinetu prezesa. Sam prezes Wayne LaPierre w styczniu nagle zrezygnował po czterech dekadach działalności w NRA. Tłumaczył się problemami zdrowotnymi (ma 74 lata), ale odebrano to raczej jako ucieczkę z tonącego okrętu.

NRA powstała w 1871 r. jako stowarzyszenie sportów strzeleckich. Przez pierwsze sto lat istnienia zajmowała się organizowaniem zawodów, prowadziła szkolenia o bezpiecznym posługiwaniu się bronią i etycznych metodach polowań. Nie zajmowała się obroną drugiej poprawki gwarantującej prawo do broni ani lobbowaniem w Kongresie. Dopiero gdy sprzedaż broni zaczęła w Stanach spadać, lobbysty producentów broni przeniknęli do NRA. Wymyślili opowieść o broni jako atrybucie wolności.

zmieniły się o 180 stopni – stał się orędownikiem swobodnego dostępu do broni. Nie bez wpływu na metamorfozę były dziesiątki milionów dolarów, jakie NRA i powiązane z nią podmioty wpłaciły na jego kampanię.

Dziś stowarzyszenie pogrążone jest w największym kryzysie w swej historii i nie wiadomo, czy przetrwa. Oznacza to m.in. brak wpłat na cele polityczne. Czy zatem lobby broni przestanie istnieć i w Stanach rozpocznie się rozbrojenie?

Paradoksalnie to właśnie astronomiczne wydatki na lobbving w czasie wyborów prezydenckich, do Kongresu i lokalnych w 2016 r. stały się zaczątkiem dzisiejszych problemów NRA. W budżecie organizacji pojawiła się wtedy dziura wielkości prawie 46 mln dol. Doprowadziło to do wzajemnych oskarżeń wewnątrz stowarzyszenia i ustąpienia poprzedniego prezesa Olivera Northa. Rozpoczęło się wymiatanie brudów spod dywanu. Wkrótce okazało się, że nowy szef LaPierre używał funduszy NRA

czasie koszty batalii prawnych przekroczyły 50 mln. LaPierre chciał ogłosić bankructwo stowarzyszenia, żeby ocalić resztę majątku, ale sąd nie pozwolił.

W tym samym czasie rosło w siłę lobby zabiegające o surowe przepisy dotyczące broni. Po każdej masakerze, których w ostatnich latach były dziesiątki, zyskiwało nowych członków i sponsorów. Największym jest były burmistrz Nowego Jorku, miliarder Michael Bloomberg. To on stoi za największą organizacją Everytown for Gun Safety (w wolnym tłumaczeniu Bezpieczne Miasto). W wyborach do Kongresu w 2018 r. pierwszy raz w historii przeciwnicy wolnego dostępu do broni wpłacili więcej na kampanie kandydatów (12 mln dol.) niż zwolennicy (10 mln). Efekty przyszły cztery lata później, kiedy dzięki 14 głosom Republikanów w Izbie i 15 w Senacie, którzy poparli Demokratów, udało się uchwalić ustawę rozszerzającą zakaz zakupu broni dla skazanych za przemoc domową. To niewielkie, ale pierwsze od 30 lat legislacyjne zwycięstwo przeciwników broni.

w ocenie organizacji, nie są wystarczająco zaangażowanymi obrońcami drugiej poprawki. GOA nęka ich kampanie pikietami i oskarżeniami o zamach na konstytucję.

Skutek – umiarkowani konserwatyści albo się radykalizują, albo odpadają z wyścigów prawyborczych. Ma to niebagatelne znaczenie, bo większość przepisów dotyczących broni ustanawia się na poziomie lokalnym – w stanach, hrabstwach i miastach. W bataliach sądowych GOA reprezentuje bojowy zespół prawników pod przewodnictwem Williama Olsona, który reprezentował Trumpa w jego próbach unieważnienia wyników wyborów z 2020 r.

GOA nie jest osamotniona. National Shooting Sports Foundation (NSSF, Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich), blisko związana z producentami broni, już w 2020 r. wydawała na lobbving więcej niż słynne NRA.

Drugi powód przesądzający o tym, że w najbliższej przyszłości Amerykanie nie pozbędą się swych domowych



FOT. ANDREW LICHTENSTEIN/GETTY IMAGES

Szef NRA z kasy organizacji robił zakupy w Beverly Hills, podróżował do Włoch i na Bahamy, latał prywatnym odrzutowcem. I kupił nowy dom z systemem ochrony, co było konieczne – jak tłumaczył – w obliczu gróźb ze strony rodzin ofiar masakry w liceum Parkland

arsenalów, a przepisy nie będą zbyt ostre, jest kulturowy. „NRA było Trumpem, zanim nadsełł Trump – powiedział wiceprezes Everytown for Gun Safety Nick Suplina. – To NRA zaszczepiła w szeregach Republikanów przekonanie, że dostęp do broni jest szańcem wojny kulturowej i pod żadnym pozorem nie można go opuścić”. To NRA długo przed Trumpem przekonała ludzi, że establishment i lewica szykują zamach na wolność i konstytucję. Organizacja wytresowała kilka pokoleń Amerykanów, dla których broń jest elementem tożsamości. Bez spluwy nie można być patriotą, nie można być Amerykaninem.

Takich wiernych nie da się łatwo odwieść od wiary. Nawet jeśli kryzys zatopi NRA, Ameryka, którą uzbroiła, pozostanie uzbrojona. ●

Maciej Jarkowiec

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl

A już wkrótce ukazuje się książka Macieja Jarkowca o Hollywood.

W latach 80. NRA wypromowała ideę prawa każdego obywatela do posiadania spluwy. Organizacja szybko pozyskiwała nowych członków i coraz skuteczniej działała w Waszyngtonie i w stanowych legislaturach. Kolejne stany dopuszczały noszenie broni poza domem, znosiły obowiązek rejestrowania zakupu i sprawdzania nabywców w kartotekach.

W 2004 r. Kongres zalegalizował sprzedaż cywilom karabinów automatycznych. W roku 2022 Sąd Najwyższy stwierdził, że państwo nie może zakazać obywatelowi noszenia broni, gdzie mu się podoba. Miarą skuteczności NRA niech będzie też przypadek Trumpa. Zanim został politykiem, jako celebryta wielokrotnie wypowiadał się za zaostrzeniem przepisów. Gdy w 2016 r. stało się jasne, że zostanie kandydatem Republikanów na prezydenta, ludzie NRA zapukali do jego biura. Wkrótce jego poglądy

do opłacania pięciocyfrowych rachunków w butikach w Beverly Hills, z kasy organizacji pokrywał koszty luksusowych podróży do Włoch i na Bahamy, lotów prywatnym odrzutowcem, rejsów jachtami, wynajmu helikopterów, a nawet zabiegów kosmetycznych żony.

Sprawą zainteresowała się prokuratura. W śledztwie wyszły na jaw nowe fakty: LaPierre wykorzystał masakerę w liceum Parkland na Florydzie, w której zginęło 17 osób, żeby wyludzić z NRA sześć milionów dolarów. Kupił za nie nowy dom z najnowocześniejszym systemem ochrony, co było konieczne – jak tłumaczył – w obliczu gróźb ze strony rodzin ofiar.

Dziś w sądzie w Nowym Jorku trwa proces o korupcję. Skandale sprawiły, że w ostatnich trzech latach NRA traciła około tysiąca członków miesięcznie. Wpływy ze składek spadły ze 170 mln w 2018 r. do 83 w 2022. W tym samym

Powtórzmy pytanie: czy to zwiastun rozbrojenia najbardziej uzbrojonego społeczeństwa na planecie? Odpowiedź brzmi: nie, z dwóch zasadniczych powodów.

Po pierwsze: upadek NRA nie oznacza końca wpływów obrońców drugiej poprawki, lecz wzrost innych organizacji. Co więcej, są one od NRA jeszcze bardziej radykalne. Największa to Gun Owners of America (GOA), która sama siebie nazywa grupą nieidącą na żadne kompromisy i od lat krytykuje NRA za zbyt liberalne podejście. W ostatnich latach jej przychody rosną w tempie kilku milionów dolarów rocznie. W tym samym czasie, kiedy członkostwo w NRA zmniejszyło się z 5 do mniej niż 4 mln osób i dalej spada, GOA podwoiła szeregi z miliona do dwóch i szybko zyskuje zwolenników. Słynie z agresywnych działań przeciw kandydatom Republikanów w wyborach lokalnych, którzy,

• Nowy Jork,
27 stycznia,
uczestnik demon-
stracji przeciwko
pacyfikacji Gazy
próbuje zatrzymać
radiowóz

FOT. REUTERS/EDUARDO
MUNOZ

Masowe
propale-
styńskie
i antyizrael-
skie prote-
sty na ame-
rykańskich
kampusach
nie są spon-
tanicznym
wybuchem
gniewu



JAK NETANJAHU TOPI BIDENA

Andrzej Lubowski

Świat nie ochłonął jeszcze po przerażającej masakrze 1200 izraelskich cywilów z rąk terrorystów z Hamasu, którzy wysłali do domu triumfalne wieści o tym, jak mordowali Żydów, gdy zagotowało się na kampusach uniwersytetów amerykańskich. Przesłanie było proste: Żydzi na to zasłużyli, bo Palestyńczycy walczą o wolność.

Gdy izraelskie czołgi i samoloty w pogoni za terrorystami zabijały tysiące ludzi i zamieniały Gazę w gruzy, karząc winnych i niewinnych, Izrael zaczął przegrywać batalię o sympatię międzynarodowej opinii publicznej. Na uniwersytetach pojawiły się oskarżenia państwa żydowskiego o ludobójstwo. W rewanżu poleciały petardy oskarżeń o antysemityzm.

Przed zarzutem jego tolerowania szefowe elitarnych uczelni zasłaniały się wolnością słowa. Gdy im wytknięto, że nie potępiły mowy nienawiści i prawniczo dzieliły włos na czworo, w odpowiedzi przyszedł zarzut maccartyzmu.

Gdzie leży racja? W którą stronę to zmierza, bo sprawa wygląda coraz bardziej ponuro? Rozgorzały zaciekle spory. Niestety, szlag trafia analizę i refleksję. Za to wartkim strumieniem cieknie ignorancja.

Rysunek Roba Rogersa (wyrzuconego z „Pittsburgh Post-Gazette” w 2018 r. za karykatury Trumpa) przedstawia przerażonych ludzi po obu stronach granicy między Izraelem i Gazą. Ci z Gazy trzymają na-

pis: „Nie jesteśmy Hamasem”. Ci po stronie izraelskiej: „Nie jesteśmy Netanjahu”. Jedno jest pewne – ekstremiści po obu stronach od lat wzajemnie sobie pomagają. I Hamas, i Netanjahu odrzucają porozumienia z Oslo z 1993 r., które miały otworzyć drogę do współistnienia na terenach dawnej Palestyny dwóch państw. Izraela i państwa palestyńskiego.

Trudno patrzeć na cierpienia mieszkańców Gazy i nie zadać sobie pytania o sens nakręcającej się spirali nienawiści. Te obrazy odsuwają na bok inne pytanie: jak zareagowałyby Ameryka, jak zareagowałbyś ty, gdyby intruzi zza granicy wymordowali 42-tysięczne miasto, zabijając wszystkich z wyjątkiem 8 tysięcy uprowadzonych zakładników.

Skąd te liczby? Tak z grubsza wygląda bilans ofiar ataku z 7 października, zważywszy na różnice w liczbie mieszkańców między Izraelem i USA.

Co się dzieje, widać. Co się zdarzyć może, strach pomyśleć. W powodzi tragedii, emocji, mądrzejszych i głupszych oskarżeń warto przypomnieć fakty.

Hamas, który powstał w 1987 r., w preambule swego dokumentu programowego z 1988 r. cytuje słowa imama Hassana al-Banny, założyciela Bractwa Muzułmańskiego: „Izrael będzie istniał, dopóki islam go nie zniszczy”.

To ten, który powiedział: „Naturą islamu jest dominować, a nie być zdominowanym, narzucać swoje prawa wszystkim narodom i rozszerzyć swą władzę na ca-

łą planetę”. Ajatollah Chomeini, przywódca Iranu, głównego mecenasa Hamasu, nie owijał w bawelnę: „Dopóki okrzyk: »nie ma boga prócz Allaha«, nie będzie rozbrzmiewał na całym świecie, będzie trwała walka”.

Obecny szef reżimu w Teheranie, ajatollah Ali Chamenei, wyraża się równie jasno: „Mówię, niech ta ziemia [Iran] spłonie. Mówię, niech ta ziemia pójdzie z dymem pod warunkiem, że islam zatriumfuje w reszcie świata”. Czy skandujący na amerykańskich kampusach „od rzeki do morza” znają te dokumenty i wytyczne?

Masowe propalestyńskie i antyizraelskie protesty na amerykańskich kampusach nie są spontanicznym wybuchem gniewu. Były starannie organizowane. Wśród aranzjerów pierwsze skrzypce gra organizacja o nazwie Students for Justice in Palestine (SJP) założona w Berkeley 30 lat temu. Jest luźno powiązaną siecią autonomicznych oddziałów, bez centrali i bez formalnego przywódcy. Krajowy komitet sterujący jest anonimowy. Nigdy nie zarejestrowała się jako organizacja non profit i nigdy nie musiała składać dokumentów podatkowych. Ten celowy brak hierarchii ułatwia tworzenie oddziałów na kampusach w całym kraju.

Część krytyków SJP twierdzi, że organizacja jest powiązana finansowo z Hamasem, ale nie ma na to żadnych dowodów. Podobnie jak nie ma dowodów na świeże zarzuty Nancy Pelosi, że demonstracje wspiera Kreml. Natomiast organizowane przez SJP debaty służą przede wszystkim podgrzewa-

niu emocji, a nie ścieraniu się racji różnych stron. To z jej repertuaru pochodzą często pojawiające się na demonstracjach gwiazdy Dawida i swastyki przedzielone znakiem równania. Krytycy oskarżają ją o „celebrowanie terroryzmu”.

To, że propalestyńskie protesty napotykały życzliwy odzew, dowodzi niezwyklej skuteczności narracji Hamasu, pełnej niechęci i uprzedzeń wobec Izraela, i opartej na wielkiej manipulacji. Manipulacji przegarniętej przez środowiska lewicy i obecnej w środowiskach akademickich od dawna.

Ani na zachodnich uniwersytetach, ani w mediach głównego nurtu karta założycielska Hamasu nie doczekała się specjalnej uwagi. A od lat 60. rozpoczął się romans Nowej Lewicy, bogato reprezentowanej na kampusach świata Zachodu, z rewolucjami w Trzecim Świecie. Narracja tego romansu ustawiła Izrael po „złej”, a Palestyńczyków po „dobrej” stronie podziału na ciemniźnicyli i ciemniżonych.

Jeffrey Herf z Uniwersytetu w Maryland określa ten romans jako „pierwszy przypadek od czasu paktu Hitler-Stalin, w którym organizacje lewicowe połączyły swoją sprawę z ruchem skrajnej prawicy, i jedynym, jaki pamiętam, kiedy wspierały grupę zakorzenioną w religijnym fanatyzmie”.

Kremłowski eksperci od pisania historii na nowo zmienili opowieść o Bliskim Wschodzie, a międzynarodowa lewica w ślad za nimi przyjęła, że państwo żydowskie jest w rzeczywistości przedsięwzięciem kolonialnym i rasistowskim, którego pod-

stawą było wypędzenie rdzennej ludności w 1948 r.

Dla poprawy wizerunku w 2017 r. Hamas dokonał retuszu swego CV. Ulepszona wersja mówi, że ruch islamistyczny nie dąży do wojny z narodem żydowskim, ale tylko z syjonizmem. Język tej wersji i jej argumenty słychać dziś na kampusach i na ulicach. Co w tym nowym dokumencie jest, a czego nie ma, że się tak dobrze sprzedaje?

Jest ociekający retoryką lewicy moralitet o żydowskich katach i palestyńskich ofiarach. W konsekwencji, deklarując potępienie kolonializmu i dyskryminacji, Hamas, rasistowski terrorysta, w magiczny sposób jawi się jako towarzysz walki „wyklętych ludów ziemi” z dominacją Zachodu. Nie ma mowy o tym, że Arabowie odrzucili uchwałę ONZ o podziale mandatu brytyjskiego na państwo palestyńskie i państwo żydowskie, i że pięć państw arabskich najechało Izrael dzień po jego założeniu. Nie ma ani słowa o opozycji syjonistów wobec imperium brytyjskiego, o II wojnie światowej i Holocauście. Na próżno szukać tam wzmianki o tym, że:

Muhammad Amin al-Husajni, wielki mufti Jerozolimy od 1920 do 1948 r., blisko współpracujący z Bractwem Muzułmańskim, akcentował powinowactwo ideowe islamizmu i nazizmu;

w 1937 r., po wizycie Adolfa Eichmanna w Palestynie, islamieści otrzymali z Niemiec i Włoch broń na operacje przeciwko Żydom; wielki mufti w spotkał się w Berlinie w 1941 r. z Hitlerem, a wiosną 1943, na osobistą prośbę Himmlera, pomagał rekrutować muzułmanów do 13. Dywizji Waffen-SS i innych jednostek.

Czy zachodni obrońcy palestyńskich terrorystów wiedzą, kto to taki Adolf Eichmann? Czy wiedzą, jak wyglądała latem 2007 r. wojna między Al-Fatah i Hamasem o kontrolę nad Gazą? O tym, że wielu przegranych rodaków Hamas zabił, ale ulubioną formą rozliczeń z rywalami było przestrzeliwanie kolan – praktyka stosowana przez mafię? Że bojownicy Fatahu i Hamasu dokonywali publicznych egzekucji jeńców, zrzucali więźniów z wieżowców? Że dwa dni po przejściu przez Hamas kontroli nad Strefą Gazy szkoła i klasztor należące do małej społeczności rzymskokatolickiej zostały splądrowane i spalone? Że podobny los spotkał inne cele chrześcijańskie i że zamordowano właściciela jedynej chrześcijańskiej księgarni w Gazie, a w lutym 2008 r. bandyci wysadzili bibliotekę YMCA?

Bitwa o Gazę faktycznie podzieliła kontrolę nad palestyńskimi terytoriami: Zachodni Brzeg, rządzony przez Autonomię Palestyńską, i Gazę, rządzoną przez Hamas. Fatah i Organizacja Wyzwolenia Palestyny były zwolennikami porozumień z Oslo, podpisanych w 1993 r. przez Icchaka Rabina i Jasira Arafata w sprawie autonomii palestyńskiej na Zachodnim Brzegu i w Gazie jako kroku do stworzenia państwa palestyńskiego.

Hamas był od początku tym porozumieniem przeciwny. Układ z Oslo Rabin przypłacił życiem z rąk żydowskiego ekstremisty, który uważał porozumienie za zdradę. Za zdradę uważał układ z Oslo także Hamas.

Czy wiedzą, że prezydent Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas, absolwent Uniwersytetu Mumumby w Moskwie, zarejestrowany agent KGB, potwierdził, że odrzucił izraelską ofertę dotyczącą państwa palestyńskiego na prawie 95 proc. Zachodniego Brzegu? Że w 2008 r. premier Izraela Ehud Olmert przedstawił mu mapę wyznaczającą granice proponowanego państwa Autonomii Palestyńskiej, w którego ramach Izrael miał zaanektować 6,3 proc. Zachodniego Brzegu i w zamian dać Palestyńczykom 5,8 proc. terenów Izraela sprzed 1967 r.?

Drugi powód, dla którego antyizraelska retoryka trafia na podatny grunt, to polityka rządu Beniamina Netanjahu, jego wsparcie dla budowy nowych osiedli żydowskich na okupowanych ziemiach. Budzi ona nie od dziś niechęć wśród części Amerykanów,

także amerykańskich Żydów, i w przewrotny sposób wspiera lewacką narrację.

Na cztery dni przed atakiem Hamasu Thomas L. Friedman, pisząc w „New York Timesie” o czterech politykach, których przekonanie o własnej wielkości zagraża przyszłości świata, obok Putina, Xi i Trumpa wymienił premiera Izraela. Przypomniął, że Izrael to główna przeciwwaga dla groźnej ekspansji Iranu w krytycznym dla globu regionie, i dodał:

„Jeśli jednak będziemy mieli jeszcze trzy lata ekstremistycznego rządu Netanjahu, mającego aspiracje do aneksji Zachodniego Brzegu i rządu tam Palestyńczykami w systemie przypominającym apartheid, państwo żydowskie może się stać głównym źródłem niestabilności w regionie”.

Wielu ludzi na świecie podziela tę opinię. Odroże po Izraelu ponad pół wieku temu przekonały Zbigniewa Brzezińskiego o jałowości szukania bezpieczeństwa drogą przejmowania kolejnych kawałków terytorium. Tej opinii nigdy nie zmienił, za co niektórzy przykleili mu łatkę antysemitę. Uparcie powtarzał, że paraliż procesu pokojowego ma fatalne konsekwencje dla Palestyńczyków, dla regionu, dla USA i w końcowym rozrachunku także dla przetrwania Izraela. Spora część wrogości wobec Stanów Zjednoczonych w świecie muzułmańskim bierze się z postrzegania USA nie jako bezstronnego arbitra, ale strażnika interesów Izraela.

Był również głęboko przekonany, że dopóki ten konflikt nie doczeka się rozwiązania w miarę satysfakcjonującego dla obu stron, dopóty nie ma mowy o złagodzeniu muzułmańskiego antagonizmu wobec Ameryki.

Podobnego zdania był i jest nadal prezydent Jimmy Carter, architekt pokoju między Egiptem i Izraelem. Przez całe dekady twierdził, że budowa przez Izrael nowych osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu odsuwa w czasie pokojowe rozwiązanie konfliktu, mówił o tym, że Izrael skręca niebezpiecznie w kierunku apartheidu.

Gdy odwiedził Izrael z okazji 40. rocznicy układu z Camp David – miał wtedy 94 lata – powiedział, że nie wierzy w pokój tak długo, jak długo premierem jest Netanjahu, i dodał, że do pokoju nie pali się także Mahmud Abbas.

Protestujących na kampusach, ale nie tylko, motywuje przekonanie, że w sytuacji ataków Izraela, w których giną cywile, Ameryka, źródło ogromnego wsparcia dla Izraela, ma moralny obowiązek bardziej stanowczo zareagować na to, co się dzieje. A jeśli nie reaguje, czy to oznacza, że Ameryka zawsze wspierała Izrael i zawsze wspierać będzie, „bo przecież Żydzi rządzą Ameryką”?

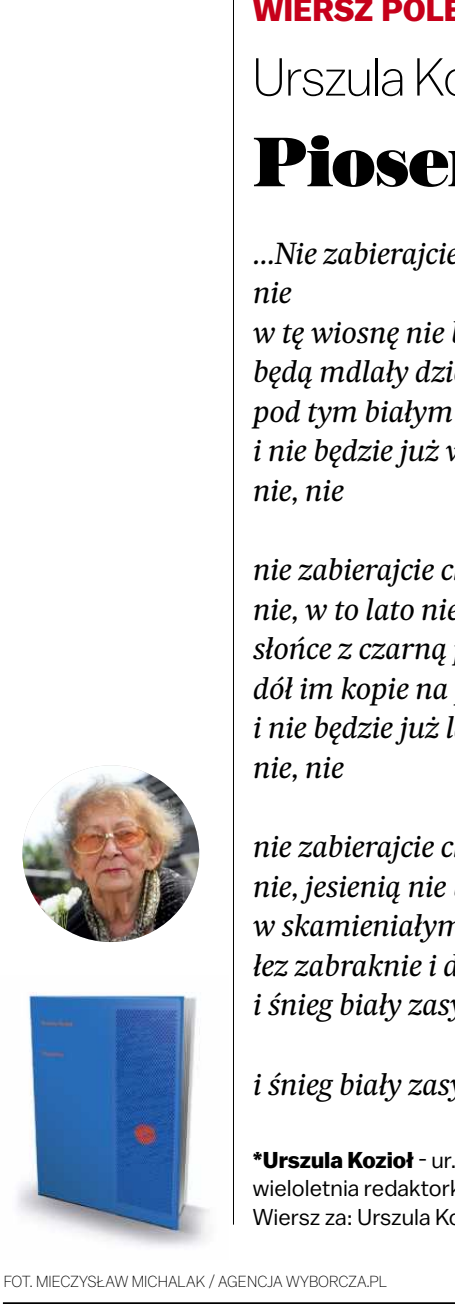
■

Kremlowscy eksperci od pisania historii na nowo zmienili opowieść o Bliskim Wschodzie, a międzynarodowa lewica w ślad za nimi przyjęła: Państwo Izrael jest przedsięwzięciem kolonialnym i rasistowskim

Fakty przeczą tej teorii.

Gdy w grudniu 1941 r. Dawid Ben Gurion przyjechał do Waszyngtonu, przez dziesięć tygodni zabiegał o audiencję u prezydenta Franklina D. Roosevelta, aby go przekonać, że Żydzi zasługują na własne państwo. Roosevelt go nie przyjął.

Gdy w 1948 r. rodziło się państwo żydowskie, sekretarz stanu i sekretarz obrony uważali, że ewentualna wojna na Bliskim



FOT. MIECYSŁAW MICHALAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Urszula Koziół*

Piosenka

...Nie zabierajcie chłopców na wojnę
nie
w tę wiosnę nie bierzcie na wojnę
będą mdlały dziewczyny
pod tym białym jaśminem
i nie będzie już wiosny w tę wiosnę
nie, nie

nie zabierajcie chłopców w to lato
nie, w to lato nie bierzcie na wojnę
słońce z czarną przepaską
dół im kopie na piasku
i nie będzie już lata w to lato
nie, nie

nie zabierajcie chłopców jesienią
nie, jesienią nie bierzcie ni w zimie
w skamieniałym powietrzu
leż zabraknie i deszczu
i śnieg biały zasypie ich imię?

i śnieg biały zasypie ich imię.

***Urszula Koziół** - ur. w 1931 r., poetka, pisarka, autorka felietonów, wieloletnia redaktorka magazynu literackiego „Odra”.
Wiersz za: Urszula Koziół, „**Raptularz**”, PIW, Warszawa 2023

Wschodzie to zbyt wysoka cena za powstanie Izraela. Wbrew ich radom prezydent Harry Truman przyłączył się do Sowietów, popierając rezolucję ONZ o utworzeniu państwa żydowskiego. Ale kiedy Izrael walczył w 1948 r. o przetrwanie, Ameryka nie pomogła. Broń przychodziła głównie z Czechosłowacji, bo tego chciał Kreml. ZSRR był pierwszym krajem, który 17 maja 1948 r. uznał de iure Izrael. Stany Zjednoczone uczyniły to dopiero po pierwszych wyborach w Izraelu, które odbyły się 31 stycznia 1949 r.

Zgoda Kongresu USA na pierwsze dostawy amerykańskiego ofensywnego sprzętu wojskowego dla Izraela, myśliwców Skyhawk, nadeszła w 1965 r. Aż do 1967 najbardziej lojalnym sojusznikiem Izraela była Francja. Za Izraelem murem stała wtedy także niemal cała zachodnio-europejska lewica. Po części z poczucia winy za odwracanie głowy w drugą stronę, gdy wywozili sasiada, a czasem ze wstydu za kolaborację.

Jako pierwszy wolty dokonał prezydent Francji. Paryż zabiegał o względy Arabów i de Gaulle ostrzegał szefa izraelskiej dyplomacji Abbe Ebana przed wojną z Arabami, używając proroczych słów: „Cały świat, łącznie ze mną, uzna was za agresora. Doprowadzicie do tego, że Sowietci wzmocnią penetrację Bliskiego Wschodu i wy za to zapłacicie. Stworzycie palestyński nacjonalizm i nigdy się go nie pozbędziecie”.

Do czasu wojny sześciodniowej w 1967 r., kiedy to Izrael pokonał przeważające siły Egiptu, Syrii i Jordanii, w Europie poczuciu współodpowiedzialności za zagładę Żydów towarzyszyło poczucie winy za kolonialną przeszłość. Po wojnie role się odmiennieły: dla europejskiej lewicy Palestyńczycy stali się ofiarą, a Izrael – prześladowcą.

Doradcy prezydenta Lyndona Johnsona byli przeciwko poparciu Żydów w wojnie 1967 r., ale prezydentowi podobala się twar-da postawa Izraela i USA sprzedały Izraelowi myśliwce Phantom. Po raz pierwszy ten

sprzęt powędrował poza NATO. Prezydent Richard Nixon widział w Izraelu instrument w rozgrywce z Kreml w ropodajnym regionie świata, na który ostrzyli sobie zęby Sowietci.

W 1979 r. Jimmy Carter doprowadził do pokoju między Izraelem i Egiptem, Egipt stał się sojusznikiem USA, ale pojawiło się nowe wyzwanie: rewolucja w Iranie i rządy teokratów. Islam Chomeiniego inspirował innych przeciwników USA na Bliskim Wschodzie.

Gdy oba kraje znalazły się w centrum walki z terroryzmem, Izrael zaczął być postrzegany przez jednych jako instrument agresywnej polityki zagranicznej Ameryki, a dla zwolenników teorii spiskowych stał się dowodem na to, że wielka Ameryka chodzi na pasku wszechpotężnego lobby żydowskiego.

Nie rozumiano, że główne źródło siły proizraelskiego lobby w Ameryce to nie Żydzi, ale chrześcijańscy fundamentaliści, nie bez powodu nazywani chrześcijańskimi syjonistami. Rok po tragedii 11 września na konferencji organizacji Christian Coalition (Koalicja Chrześcijańska) w Waszyngtonie więcej było gwiazd Dawida niż krucyfiksów.

Wracając do dnia dzisiejszego, postulat większej stanowczości Waszyngtonu wobec Izraela, jakiej domagają się protestujący – i ci, którym można przykleić etykietkę antysemitów, i ci, którzy na nią nie zasługują – łatwo zgłosić, trudnej zdefiniować, a jeszcze trudniej zrealizować.

Kongres USA nie postawi premierowi Izraela ultimatum: albo przerywasz atak i wychodzisz z Gazy, albo wstrzymujemy pomoc wojskową. Gdyby wbrew woli Kongresu takie ultimatum postawił prezydent Biden, byłoby to równoznaczne z politycznym harakiri i podarunkiem dla Trumpa, Putina i Netanjahu. Protestujący na kampusach nie ukrywają, że jeśli Biden nie zdoła

wymusić zmiany polityki Izraela, będzie go to kosztować ich głosy.

Prezydent już powiedział Netanjahu w prostych żołnierskich słowach, co myśli o jego polityce, i ten to, rzecz jasna, pojął. Tyle że czas pracuje na jego korzyść. Nie rozpisze przedterminowych wyborów, bo je przegra. O jego dalszym politycznym losie zdecydują obywatele Izraela. Biden zdaje się zatem mieć niewiele rozsądnych opcji.

O to, czy protestujący rozumieją, że szkodzić Bidenowi, szkodzić zarazem sprawie, o którą walczą, można się spierać. Thomasowi Friedmanowi, który tak ostro mówi o polityce Izraela, niełatwo byłoby przypisać łatkę antysemitę. Ale wielu studentów zachodnich uczelni i ich nauczycieli solidnie zapracowało sobie na miano ignorantów. W świecie podminowanym bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości cena ignorancji i głupoty, i na froncie, i poza frontem, poszła ostro w górę.

Z punktu widzenia wyborczej buchalterii znacznie ważniejsze jest to, jak bardzo solidaryzują się z mieszkańcami Gazy Afroamerykanie, bo to akurat bardzo zagraża szansom reelekcji Bidena. Po ataku Hamasu czarni pastory dołączyli do międzywyznaniowej modlitwy za Izrael, którego ziemię czczą jako świętą. Ale w ostatnich tygodniach religijni liderzy czarnej społeczności zaczęli energicznie wzywać do wywarcia presji na Izrael, aby zaprzestął ofensywnych działań w Gazie.

Publicysta Thomas L. Friedman pisał w „New York Timesie” o czterech politykach, których przekonanie o własnej wielkości zagraża przyszłości świata. Obok Putina, Xi i Trumpa wymienił Netanjahu

Domagając się uwolnienia zakładników przetrzymywanych przez Hamas i zaprzestania izraelskiej okupacji Zachodniego Brzegu, ponad tysiąc czarnoskórych pastorów reprezentujących setki tysięcy kongregacji i ok. 15 mln wiernych w całym kraju zaapelowało do Bidena o bardziej zdecydowane działania na rzecz zmiany stanowiska Izraela.

– Czarni duchowni widzieli, jak wojna, militarizm, bieda i rasizm są ze sobą powiązane – mówi dr Barbara Williams-Skinner, współzałożycielka Krajowej Sieci Duchownych Afroamerykanów, której członkowie przewodzą ok. 15 mln czarnoskórych wiernych. To ona koordynowała ostatnie spotkania Białego Domu z przywódcami religijnymi. – Ale wojna Izrael – Gaza, w przeciwieństwie do Iranu i Afganistanu, wywołała wśród czarnych rodzaj głęboko zakorzenionego niepokoju, jakiego nie widziałam od czasu ruchu na rzecz praw obywatelskich.

– Postrzegamy ich jako część nas samych – powiedziała Cynthia Hale, założycielka i pastor kościoła Ray of Hope w Decatur w stanie Georgia. – To ludzie uciskani. My jesteśmy ludźmi uciskanymi.

Próbom perswazji towarzyszy ostrzeżenie. Przyjacielskie, ale stanowcze. – Przywódcy czarnoskórej wiary są ogromnie rozczarowani administracją Bidena w tej kwestii – powiedział Timothy McDonald, który jako jeden z pierwszych pastorów podpisał list otwarty wzywający do zawieszenia broń. – Boimy się. Rozmawialiśmy o tym – bar-

dzo trudno będzie przekonać naszych ludzi, aby poszli do urn zagłosować na Bidena.

W grudniowym sondażu przeprowadzonym przez Associated Press-NORC (National Opinion Research Center, University of Chicago) zaledwie 50 proc. dorosłych czarnoskórych wyraziło aprobatę dla Bidena. W lipcu 2021 r. odsetek ten wynosił 86 proc. Z wyjątkiem wyborów w 2008 i 2012 r., kiedy kandydatem był Barack Obama, właśnie w wyborach w 2020 r. stopień partycypacji Afroamerykanów w wyborach prezydenckich był najwyższy. 87 proc. czarnych zagłosowało na Bidena.

Jakiegolwiek pęknięcie w zwykłe solidnym poparciu tego bloku dla Bidena i Demokratów w całym kraju będzie mieć w listopadzie ogromne znaczenie. To Afroamerykanie dali mu zwycięstwo w 2020 r. To oni dali Demokratom przewagę w Senacie, zdobywając oba stanowiska senatorskie z ramienia Georgii. Prezydent nie może sobie pozwolić na to, aby znacząca liczba czarnoskórych rozczarowanych jego polityką wobec Izraela nie poszła do urn. A jednocześnie on nie jest w stanie dać im tego, czego oczekują.

Szanse na trwały pokój na Bliskim Wschodzie dramatycznie zmalały. Mało prawdopodobne, aby Netanjahu przetrwał politycznie, co nie znaczy, że jego następcą będzie gotów do gwałtownej zmiany kursu. Gniew i rany po obu stronach nie wróżą rychłego powrotu na ścieżkę wyznaczoną

30 lat temu w Oslo. Region pozostanie beczką prochu, ze szkodą dla wszystkich z wyjątkiem palestyńskich i izraelskich fanatyków i tych, którym najbardziej zależy na osłabieniu Ameryki, czyli nowej entencie Rosja – Chiny – Iran – Korea Północna.

Konflikt izraelsko-palestyński znalazł się oczywiście na liście „10 najważniejszych globalnych zagrożeń”, w obliczu których staje świat w tym roku. Listę magazynu „Foreign Policy”, która zawiera takie zagrożenia jak druga kadencja Trumpa, impas w wojnie w Ukrainie, owa oś Rosja – Chiny – Iran – Korea Północna, zamyka zagadkowo brzmiący termin „absolutyzm moralny”. A chodzi w największym skrócie o szerzące się dziś w świecie uprzedzenia, radykalizację, postrzeganie rzeczywistości w kategoriach białe – czarne, my kontra oni, zło kontra dobro, co zmniejsza szanse kompromisu.

Konflikt izraelsko-palestyński jest tego znakomitą ilustracją. Trzeba widzieć racje po obu stronach. Każde inne spojrzenie wypacza jego istotę i zmniejsza szanse jego rozwiązania. ●

Husarz z jednym okiem

Polską flagę, aby oddawała ducha narodu, trzeba by zmienić z białoczerwonej na czarno-białą.

Marcin Matczak



Kiedyś w wywiadzie zapytano mnie, jaką rzecz zmienilibym w Polsce po wyborach, gdybym mógł. Odpowiedziałem, że zmienilibym symbolicznie polską flagę: dodałbym więcej bieli (symbolu czystości, lojalności, pokory i szlachetności), odjął czerwieni (symbolu dzielności, żarliwości i poświęcenia).

Dzisiaj myślę, że polską flagę, aby oddawała ducha narodu, trzeba by zmienić z białoczerwonej na czarno-białą – tak bowiem wielu z nas widzi rzeczywistość. „My” jesteśmy propaniśtwowi i szlachetni, „oni” – antypaniśtwowi i podli. I tylko grupy, do których odnoszą się zaimki „my” i „oni”, zmieniają się w zależności od tego, kto mówi.

W tej czarno-białej rzeczywistości każdy, kto szuka światłocienia, jest oskarżany o symetryzm. Ta idea została entuzjastycznie przyjęta przez Polaków, bo świetnie wpisuje się w niegodną intelektualisty uproszczoną wizję świata.

Mogę sobie wyobrazić symetrystów w kwestii sporu pomiędzy ewolucjonizmem a kreacjonizmem albo w sporze między antyszczepionkowcami i zwolennikami szczepień. W tych przypadkach o prawdzie decyduje w miarę obiektywna nauka, dlatego ktoś wzywający, aby na równi traktować teorię Darwina i twierdzenie, że Bóg stworzył Ziemię 10 tys. lat temu, jest niezbyt mądrym symetrystą. Rozmywa prawdę, wprowadza zamieszanie. Podobnie ktoś, kto – jak kiedyś Beata Szydło – mówi, że w sprawie szczepień trzeba wysłuchać obu stron. Jakich obu? Przecież w tej sprawie jest tylko jedna prawda, która rzeczywiście nie leży pośrodku, ale tam, gdzie leży.

Jednak spór o to, jak ma wyglądać Polska, nie jest sporem naukowym, tylko politycznym i moralnym. I jeśli w tym sporze przyjmie się stanowisko absolutnie czarno-białe, będzie to oznaczać, że jedna wizja Polski jest naukowo lepsza od wizji innej, że jedni mają sto procent racji, a drudzy racji zero. A przecież stanowiska co do relacji z Unią czy balansu między rozwojem gospodarczym a bezpieczeństwem socjalnym to nie problemy, które można rozstrzygnąć naukowo. Trzeba je rozstrzygnąć poprzez demokratyczny konsensus. Nie nadaje się on do rozwiązywania sporów naukowych (nie będziemy robić referendum w sprawie, czy to Słońce krąży wokół Ziemi), lecz jest jedynym sposobem rozwiązywania sporów politycznych i moralnych.

Nie proponuję, by dyskutować, czy potrzebujemy podziału władz i praworządności. Nikt nie musi mnie uczyć jednoznaczności w tych sprawach, bo przez osiem lat stawiałem w ich obronie jednoznacznie. Jednak dzisiaj idee, których broniliśmy, zwyciężyły i nie są już zagrożo-

ne przez PiS. Zagrażają im raczej triumfalizm i zbyt mocne przekonanie, że PiS nigdy nie wróci. A wrócić może, bo ludzie się radykalizują, zamiast racjonalnieć. I są przekonani, że skoro mieli rację w sprawie praworządności, mają rację we wszystkich innych spornych kwestiach.

Bierze mnie pusty śmiech, kiedy widzę tych wszystkich antypisowskich wojowników, którzy z bezpiecznego fotela grasują po X, a których głównym patriotycznym zadaniem jest wykrywanie i przemawianie internetowych sond. Niech tylko gdzieś pisowski wróg zapyta, czy prezydentem Warszawy powinien być Trzaskowski, czy Bocheński, ci nieznający strachu żołnierze demokracji zwołują się i głosują wbrew woli organizatora, który już witał się z gąską, bo na dwie godziny przed końcem sondy jego pisowski kandydat z dużą przewagą wygrywał. A tu klops – internetowa husaria sondę przejęła i bohaterko przechyliła szalę zwycięstwa na właściwą stronę.

Upojeni zwycięstwem ci wirtualni bohaterowie mają czelność mówić tym, którzy w realu przez osiem lat sprzeciwiali się PiS, ryzykując spokój życia rodzinnego i złośliwe procesy o zniesławienie, że są symetrystami i ukrytą opcją pisowską, bo wzywają do racjonalności i obniżenia polaryzacji.

Idea symetryzmu jest oparta na całkowicie błędnej metaforze. Zakłada jakieś przestrzenne przyporządkowanie dwóch stron do jednoznacznych, twardych stanowisk, lokalizując trzecią grupę siedzących w środku. I traktuje tych w środku jak wymoczki bez charakteru, bo nie są ani zimni, ani gorący, ale obrzydliwie letni i dlatego zasługują na biblijne wypłucie.

Zamiast metafory przestrzennej symetryzm lepiej przedstawić za pomocą metafory okulistycznej. Ludzie oddający się skrajnościom powinni być traktowani jak ślepi na jedno oko. Ta ślepotą, czy to na oko prawe, czy to na oko lewe, w zależności od sympatii partyjnych daje częściowy tylko ogłód sytuacji. Ludzie, którzy unikają skrajności, chcą patrzeć oboma oczami, by zwiększyć pole widzenia. Bo przecież jeśli czegoś nie ogarniasz (wzrokiem czy intelektem), nie umiesz poradzić sobie z tym, co się tam dzieje.

Ślepotą na jedno oko dotyka nie tylko internetowej husarii, ale też ludzi w miarę rozważnych. Ci także nawołują do zaostrożenia konfliktu, a tych, którzy chcą go zmniejszać, oskarżają o sabotaż. Mariusz Janicki z „Polityki” zagalopował się ostatnio okrutnie. Dyskutując o różnicach między PiS a koalicją rządzącą, wspominał nie tyle o różnicach ustrojowych między „nami” a „nimi”, co jest normalne, bo co do kształtu państwa spierać się można, ile o różnicach „cywilizacyjnych”. Cóż to jest za dyskurs? Czy nie kolonialny, w którym centrum wyprowadza z ciemności zabobonu prowincję; w którym specjalny ciężar spoczywa na mądrych, lepszych ludziach, którzy muszą oświecić głupszych, niepotrafiących sobie poradzić? I dodał, że między PiS a „nami” nie ma „ziemi niczyjej”. Ale nie ma jej między partiami (być może) czy między wyborcami? Nie można sobie nawet wyobrazić, że wśród elektoratu PiS są ludzie, dla których demokracja jest ważna i z którymi można poważnie dyskutować o przyszłości Polski?

To właśnie ta wymaginowana wyższość „cywilizacyjna”, ta pycha elit doprowadziła PiS do władzy w 2015 r. I jeśli nie zniknie z naszego życia publicznego, pomoże populistom wrócić. Dopóki ideologiczna półślepotą będzie myłona z twardością i pewnością, że mamy rację we wszystkim, dopóty populistyczna wojna będzie trwała. A nasze kampanie wyborcze, referenda i decyzje będą przypominały internetowe przejmowanie sond, a nie poważną rozmowę. ●

Adam Michnik poleca

Panie prezydencie, proszę o przebaczenie

Skoro Kijów broni całej zachodniej cywilizacji, to może lepiej wstrzymać działania wojskowe i pozwolić Zachodowi znaleźć gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy?

Jerofiejew*

Szczury uciekają z tonącego statku, ale czy wracają, jeśli ten już nie tonie? Wojna Putina przeciwko Ukrainie przeciąga się. Rosyjskie opozycyjne kanały internetowe coraz częściej uznają częściowe sukcesy armii Putina; zarazem ubolewają nad udaremioną kontrofensywą ukraińskich sił zbrojnych i prawdopodobnymi ostrymi podziałami w ukraińskim kierownictwie.

Media te mówią (co nie miało miejsca na początku wojny) o korupcji w Ukrainie, śmierci jej najlepszych obrońców i trudnościach ukraińskiej mobilizacji. Jednocześnie mówi się o tych postaciach rosyjskiej kultury, które sprzeciwiły się inwazji Putina, opuściły kraj, a teraz szukają sposobów powrotu poprzez wyrażenie skruchy.

Niedawny przypadek młodego rosyjskiego piosenkarza o imieniu Szarlot, który opuścił Rosję w proteście przeciw inwazji na Ukrainę i spalił swój rosyjski paszport, a teraz wrócił i został zatrzymany na lotnisku w Petersburgu przez policję, która zakula go w kajdanki i wysłała do aresztu śledczego, jest przykładem zmiany odczuwalnej w klimacie rosyjskiej kultury.

Ponad sto lat temu, gdy bolszewicy wprowadzili NEP [przejściowe przywrócenie mechanizmów rynkowych], zachęcali przepelnionych nostalgią emigrantów, by wracali do Rosji. W przeciwieństwie do tamtego czasu dzisiaj rosyjskie władze nie zapraszają ich do domu. I rozmawiają z nimi twardo, oferując odpokutowanie win.

We władzach istnieją dwie opinie na temat przesiedleńców. Przewodniczący Dumy Wołodin twierdzi, że nikt nie czeka na nich w kraju, podczas gdy rzecznik prezydenta Pieskow odmawia stosowania wobec nich zemsty państwowej.

Nieszczęsny piosenkarz żałował spalenia paszportu i swych ostrych słów na temat wojny, ale nadal był trzymany w areszcie i nie jest jasne, co go czeka. Karą dla przeciwników wojny może być uznanie kogoś za zagranicznego agenta, ale może być wieloletnie więzienie.

Inwazja Putina na Ukrainę zniszczyła życie milionów ludzi, zarówno Ukraińców, jak i Rosjan; szacuje się, że 1 mln 200 tys. Rosjan uciekło za granicę. Setki tysięcy żołnierzy zostało zabitych lub rannych po obu stronach frontu. Ucieczka za granicę była poważnym wyzwaniem dla rosyjskich uchodźców; nikt nie witał ich z otwartymi ramionami. Niektórym udało się osiedlić w Europie.

Od początku wojny znaczna część rosyjskiej społeczności artystycznej była nastawiona pacyfistycznie i niepokoiła Kreml rosnącą falą protestów przeciwko wojnie. Niektórzy opuścili kraj, inni zostali.

Stalinowski slogan: „kto nie z nami, ten przeciw nam”, działał od sa-

mego początku kampanii wojskowej. Dla tych, którzy sprzeciwiali się inwazji, władza nie miała litości. Protestującym piosenkarzom zabroniono śpiewać zarówno w dużych miastach, jak i na prowincji. Kierownicy teatrów byli i nadal są usuwani, np. Michaił Byczkow, twórca pięknego Teatru Dramatycznego w Woroneżu.

Ale lokalna administracja Woroneża, najwyraźniej na polecenie moskiewskiego centrum, wyjaśniła zwolnienie Byczkowa dosłownie, mówiąc, że egzystuje on poza realiami specjalnej operacji wojskowej. Tak więc jest tylko biel i czerń, trzeba wpuścić wojnę do swojej duszy; neutralność lub milczenie wobec wojny z „cywilizacją szatana”, jak rosyjscy propagandyści nazywają teraz Europę, nie pomaga przetrwać z godnością.

Sława nie pomaga też w utrzymaniu pracy; raczej daje donosicielom władz słodki temat do kpin. Niedawno trójkę pisarzy mieszkających w Berlinie, Sorokina, Ulicką i mnie, podejrzwano o finansowanie SBU i antyputinowskiego legionu rosyjskiego. To było oszczerstwo, ale wojna uwielbia oszczerstwa i prowokacje.

Kiedy widzisz, że lojalny wobec władz kolega śpiewa w całym kraju, a ty masz zakaz, możesz przez jakiś czas nie zwracać na to uwagi, ale bohaterstwo ma swoje granice.

Arbeniewa, popularna piosenkarka, która wypowiedziała się przeciwko wojnie, nigdzie nie mogła koncertować. W końcu wystąpiła w Nowosybirsku, zapraszając żonę żołnierza walczącego w Ukrainie do wspólnego śpiewania na scenie. Pochyliła się wtedy nad żołnierzami obu armii. Opozycjoniści wybuchli pogardą i nienawiścią, oskarżając ją o wszystkie grzechy. Ale władze nadal nie mają dla niej zbyt wiele ciepła.

Aby rozpocząć proces aktywnej pokuty, najlepiej jest pozyskać wsparcie administracji prezydenckiej w osobie niejakiego Nowikowa, który jest nazywany głównym cenzorem Kremla – zezwalającym na koncerty lub ich zakazującym. Ale jeśli jesteś daleki od skruchy, będziesz stać z boku przez dużą część swego życia. A wtedy twoi rówieśnicy cię wyprzedzą lub przejmą niektóre twoje projekty, jak zrobił to Jegor Konczalowski, reżyser lojalny wobec Kremla, kiedy zajął się filmem „zakazanego” kolegi.

Kiedy widzisz, że lojalny wobec władz kolega piosenkarz śpiewa w całym kraju, a ty masz zakaz, możesz przez jakiś czas nie zwracać na to uwagi. Ale bohaterstwo ma swoje granice

Znane jest zjawisko syndromu sztokholmskiego. Teraz możemy już mówić o syndromie moskiewskiego dezertera, który z obozu opozycji przenosi się do obozu prokremlowskiego. Po drugiej stronie historii tej potwornej wojny znajdują się opozycjoniści o niezwykle czystych sumieniach. Wśród nich rosyjska pisarka Jekaterina Margolis, która pisze z Wenecji o „nietolerancji dla kompromisu” z rosyjskimi władzami. Są też radykalni sojusznicy Ukrainy, jak Nadia Tołokonnikowa z Pussy Riot, którzy otwarcie życzą zwycięstwa Kijowowi i deklarują finansowe wsparcie jego armii.

Twórcze biografie ludzi rosyjskiej kultury zależą oczywiście w dużej mierze od kontynuacji wojny. Jeśli Zachód, a przede wszystkim Ameryka, osłabi pomoc dla Ukrainy, syndrom moskiewskiego dezertera stanie się jeszcze bardziej widoczny.

Oczywiście można tu przypomnieć zachowanie np. dyrektorów moskiewskich muzeów, którzy jasno opowiedzieli się przeciw wojnie i stracili pracę. W tym samym czasie Michaił Piotrowski, dyrektor petersburskiego Ermitażu, zachował swoje miejsce, składając kilka oświadczeń lojalnych wobec władz.

Kto tu ma rację? Z punktu widzenia rosyjskiej historii zachowanie muzeum, przy jednoczesnym poświęceniu czystości jego nazwy, nie jest łatwe, ale zrozumiałe. Pod sowieckimi rządami do chóru przeklinających Pasternaka, Szostakowicza, Solżenicyna czy Sacharowa dołączyli także utalentowani pisarze, np. Walentin Katajew.

Czas inaczej obchodzi się z autorami o wątpliwej moralności. Ostatecznie, kto teraz odmawia czytania Gorkiego, który wychwalał czekistów i podróżował za zgodą przełożonych na Wyspy Sołowieckie, gdzie mieściło się straszne więzienie polityczne.

Inny wielki pisarz, Aleksiej Tołstoj, zmęczony udrękami emigracji, pospieszył z powrotem do ojczyzny, zachowując przynajmniej na tabliczce na drzwiach tajemnicze litery GR – początek słów hrabia i obywatel. Jednocześnie rosyjska historia była bardzo surowa dla pisarzy, którzy zaprzęдали się władzom. A teraz, gdy robi to dość znany pisarz Zachar Priepin, można przypomnieć sobie powszechną pogardę dla współczesnego Puszkiniowi Jana Tadeusza Bułharyna.

Jak widzimy, istnieją różne bieguny rosyjskiej myśli, od ostatecznej negacji wojny po syndrom moskiewskiego dezertera i wreszcie sadystyczną przyjemność płynącą z donosicielstwa. W każdym razie, bez względu na to, jak zakończy się wojna, rosyjska kultura poradzi sobie ze swoimi moralnymi problemami. Potępienie twórcy czy twórczyni za milczenie lub kapitulację w warunkach wojny – jak było w przypadku naiwnego piosenkarza – nie zawsze jest właściwe.

Jednak wielu tzw. zwykłych ludzi, którzy wyjechali za granicę i osiedlili się tam, ale nie czują się zbyt kom-

fortowo, zwróciło się do władz i będą to robić nadal. Zachód musi o nich pamiętać. Ale jeśli nie ma wystarczających sił, aby pomóc Ukrainie, która walczy o cały zachodni świat, czego możemy oczekiwać od niego w kwestii wspierania rosyjskich uciekinierów?

Pomysł Kijowa, że tymczasowe zawieszenie broni między Rosją a Ukrainą zaszkodzi Ukrainie, pozwalając Rosji lepiej przygotować się do przyszłej wojny, trudno uznać za trafny na dłuższą metę. Zachód jest skłonny pozwolić Kijowowi wybrać ostateczny cel wojny. Ale jeśli Kijów broni nie tylko Ukrainy, ale też całej zachodniej cywilizacji, to czy nie lepiej wstrzymać działania wojskowe i pozwolić Zachodowi znaleźć gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy?

Dla Zachodu taniej byłoby zbudować solidny ukraiński system bezpieczeństwa, niż nieustannie pomagać Ukrainie w prowadzeniu wojny. A co się stanie, jeśli Trump znowu zostanie prezydentem USA i nie będzie chciał finansować walczącej Ukrainy? Być może zawieszenie broni nie jest najprzyjemniejszą opcją, ale logika rzeczy zmusza do jej zaakceptowania.

Jednocześnie Ukraina utraci Krym na czas nieokreślony, podobnie jak Donbas i znaczące terytoria zdobyte przez armię rosyjską w tej wojnie. Na pocieszenie można jednak powiedzieć, że Ukraina, po osiągnięciu rozejmu, zachowa i wzmocni swój status kraju europejskiego, podczas gdy przeznaczeniem Rosji jest pozostanie na czas nieokreślony z Putinem.

Czy oznacza to, że Putin wszystko dobrze skalkulował, wyczuwając, że czas jest po jego stronie, a syndrom moskiewskiego dezertera stanie się zjawiskiem historycznym? Nie. Wszystko będzie, jak zawsze, zindywidualizowane. Niektórym liberalna opinia publiczna w przyszłości wybaczy, innych ukarze pogardą. Nie widzę innych rozwiązań. ●



***Wiktor Jerofiejew** – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kulturalnysklep.pli w formie e-booka na Publio.pl)



FOT. INSTAGRAM.COM/FIT_AITANA/

**Zacznijmy z wysokiego C: Czy zjawisko influencerów wygenerowanych przez AI jest moralnie złe?**

– Nie można tego ocenić jednoznacznie jako coś moralnie złego. Najpierw należałoby się zastanowić nad tym, co sprawiło, że pojawiły się takie zjawiska. Wygenerowani influencerzy są wynikiem możliwości używania sztucznej inteligencji w sposób, który pozwala skomponować nowe, cyfrowe życie. Zdolność AI do wytwarzania nowych jakości, jak obrazy, twarze czy głosy, moim zdaniem, nie jest sama w sobie zła. Problemem jest, jak, przez kogo i do jakich celów te możliwości są wykorzystywane.

Nawiązując do diskutowanej niedawno w mediach Aitany, czyli sztucznie wygenerowanej instagramowej influencerki, bo pewnie do tego pan zmierza, możemy mieć poczucie, że w sposób moralnie dwuznaczny, ale jednoznacznie ekonomiczny, technologia AI została zastosowana dla korzyści agencji, która jest jej „właścicielką”. Znaczy, że ona nie została wytworzona w żadnym innym celu niż zarabianie tysięcy euro w kontraktach reklamowych. Tam nie ma żadnej ludzkiej historii czy opowieści, jest tylko nastawienie na zysk. I być może to niektóre osoby kłuje.

No właśnie: w „tradycyjnych” warunkach mamy żywą osobę, z którą w jakiś sposób się utożsamiamy, bo lubimy jej poczucie humoru, aktywność czy ciekawe rzeczy, które publikuje, i na bazie tych podobieństw ktoś ewentualnie decyduje się na zakup produktu lub usługi, którą ona promuje. Czy w przypadku nie tylko Aitany, ale w ogóle modeli czy influencerów AI, nie jest to oszustwo albo złamanie niepisanego kontraktu społecznego? Nie czułaby się pani oszukana, gdyby okazało się, że osoba, którą pani śledzi i której poświęca swój czas, nie istnieje?

– Jeżeli przyjrzymy się dokładnie, jak instagramowe konto Aitany jest prowadzone, to już na pierwszy rzut oka widać, że jest ona projekcją i formą jawnie sztuczną. Do jakiegoś stopnia wyłącznie lenistwo osób obserwujących usprawiedliwia to, że dały się nabrać na jej prawdziwość. Chociażby z hasztagów opisujących posty Aitany i z tego, że jej konto jest podlinkowane bezpośrednio do firmy reklamowej, która nie ukrywa, że jest agencją modelek wygenerowanych przez AI, można wywnioskować, że nie jest to realna postać. Jednakże w zalewie instagramowych zdjęć, które w dużej mierze są do siebie podobne, sporo osób przeoczyło, że Aitana nie jest realną osobą. W pewnym sensie jest to także nasz problem, czytaj użytkowników, którym nie chce się zweryfikować czy zastanowić, co właściwie oglądają. Jednocześnie można zapytać, czym tak naprawdę różni się Aitana od nie wiem... profilu śmiesznych kotków i piesków, które również monetują to, że są obserwowane przez tysiące ludzi.

Możemy przecież prowadzić profile zupełnie wymyślonych postaci, pokazując naszą wyobraźnię czy zdolności twórcze i humorystyczne, nie wywołując zarzutów o oszustwo. Moim zdaniem problem z Aitaną dotyczy tego, że stoi za tym sztuczna inteligencja i włącza się w nas jakieś poczucie fałszu, że daliśmy się nabrać przez technologię. Ironia polega na tym,

że Aitana jest uśrednionym tworem, opracowanym na profilach instagramowych trenerek fitness, więc wyprodukowawszy dziesiątki tysięcy takich zdjęć, poniekąd sami jesteśmy sobie winni.

Jednym z argumentów krytyki wobec Aitany jest m.in. przeseksualizowanie jej kontentu, że pozuje do zdjęć półnaga, na co twórca Rubén Cruz odpowiedział, że oni bazują tylko na wrażliwości i poetyce, którą wcześniej narzucili prawdziwi influencerzy.

– To pokazuje, że troszeczkę zapomnieliśmy, że social media to sfera pewnej powtarzalności. Kiedy używamy różnych platform, to wpisujemy się nie tylko w ich interfejs, ale także w algorytmy, które dostarczają nam i promują profile idealnie pasujące do obserwowanych przez nas treści. Już dawno temu przestaliśmy zauważać, że sami przyczyniamy się do automatyzacji powtarzalności treści pod kątem tego, na ile wpisuje się w nasze oczekiwania. Jeżeli oglądamy coraz bardziej zseksualizowany kontent, to właśnie takie treści będzie promował algorytm, co z kolei będzie wymuszać na internetowych twórcach, aby taki tworzyć. No i bazując na miliardach gigabajtów powtarzalnych meta danych, AI wygenerowało tak wiarygodny kontent, jakim jest Aitana.

A gdzie pani zdaniem przebiega granica między kreacją medialną czy projekcją a oszustwem?

– Ja w ogóle nie wiem, czy da się interpretować to zjawisko w granicach jakiegoś oszustwa. Raczej odsyła nas to do pytania, jak traktujemy portale społecznościowe: jako pewną formę sztuki, performance'u i autokreacji? Dużo pisano o tym już 20 lat temu, w kontekście internetu jako second life i różnych form awataryzacji siebie. Postrzegaliśmy wówczas internet głównie jako narzędzie umożliwiające prezentowanie się w różny sposób. W międzyczasie okazało się, że social media nie są publiczne, a dane, które są tam agregowane, należą do prywatnych korporacji, a one mogą z nimi robić, co tylko zapragną. Kiedy wszyscy ulegliśmy wrażeniu, że internet jest sferą ekspresji siebie, szybko zamieniło się to w promocję pewnych treści, postaw czy mód, a firmy reklamowe zaczęły po prostu korzystać z portali społecznościowych, żeby sprzedawać swoje produkty przez manipulowanie określonymi treściami.

Pytanie, jakie się pojawia: czy opiniotwórczym influencerem w dzisiejszych czasach musi być jeszcze jakaś konkretna żywa osoba, czy może być nim kotek, jednorożec albo właśnie Aitana. Idąc dalej, możemy się zastanowić, czy media społecznościowe w ogóle nie przekształciły się w strefę nieustających działań reklamowych. Wydaje mi się, że problem leży w należytnym informowaniu użytkowników, że mają do czynienia z kontem na przykład prowadzonym przez jakąś firmę albo właśnie z postacią wygenerowaną przez AI. Jednocześnie nie jestem pewna, czy winą w przypadku Aitany można obarczyć firmę, ponieważ nie zatała pochodzenia swojej postaci. To nam nie chce się zweryfikować źródła tego, co oglą-

damy, i to sprawia, że można mieć poczucie bycia nabytymi.

W 2015 roku amerykański raper 50 Cent ogłosił bankructwo, gdy przegrał proces i musiał zapłacić 5 mln dol. odszkodowania. Przed nowojorskim sądem tłumaczył się, że biżuteria i ekskluzywne samochody z jego teledysków były wypożyczone, że tak naprawdę nie ma pieniędzy, a cała jego persona medialna i otoczka bogacza zostały wykreowane na potrzeby hiphopowej konwencji. Wszyscy się z niego wówczas śmiali, ale nie było szoku, bo wiadomo było, jakie są „medialne wymogi” w obrębie subkultury gangsta rapu i że prewencja 50 Centa była iluzją. Zastanawiam się, czy dzisiaj, z perspektywy, powiedzmy, ochrony praw klienta i konsumenta, sztucznie wygenerowani influencerzy nie będą przekraczać zdolności weryfikacji rzeczywistości młodych ludzi?

– A jaka właściwie jest różnica między Aitaną a na przykład wygenerowaną dzięki sztucznej inteligencji w ostatniej części „Gwiezdných wojen” aktorką Carrie Fisher, która zmarła kilka lat wcześniej? W obu przypadkach zostaliśmy nabrani, tyle że wszyscy wiedzieli, że ekranowa księżniczka Leia w prawdziwym świecie już odeszła.

Owszem, ale spadkobiercy Carrie Fisher otrzymali wynagrodzenie za użycie jej wizerunku.

– Oczywiście, ale chodzi mi o samo poczucie bycia nabytymi. Zakładam, że fani „Gwiezdných wojen” wiedzieli, że postać aktorki w ostatniej części sagi została wygenerowana sztucznie, natomiast wyobrażam sobie, że młodsze pokolenie, oglądając za, powiedzmy, dziesięć lat te filmy, może nie mieć tej świadomości.

Problem polega zatem na tym, czy firma, która używa social mediów, żeby promować swój produkt, który nie istnieje bez AI, jest szczerza wobec obserwatorów swojego konta? Należy pamiętać, że każda aktywność influencerów w mediach społecznościowych jest podporządkowana zarabianiu, a ta „prawdziwość”, czyli np. spontaniczne wrzucanie fotek czy stori-sków, jest dokładnie wystudiowana przez całe sztaby ludzi, którzy tworzą iluzję autentyczności. Aitana zdemaskowała, że dla niektórych influencerów perspektywy zarobkowania w przyszłości stają pod znakiem zapytania, skoro można stworzyć idealnego influencera, a ludziom jest wszystko jedno, czy to prawdziwa osoba. Jeżeli treści, które celebryta dostarcza, są atrakcyjne dla użytkowników, to w zasadzie drugorzędne jest, czy ta osoba jest prawdziwa, czy nie.

Na Facebooku Wojtek Kardyś, specjalista od PR i marketingu, napisał, że przykład Aitany to „ogromny problem natury etycznej, który dowodzi, że trzeba jak najszybciej rozpocząć poważną dyskusję na temat regulacji AI people”. Jak takie regulacje mogą wyglądać? Czy wygenerowani modelki i modele powinny udostępniać swoje treści z jakąś adnotacją „nie jestem prawdziwa(-y)”?

– Odróżniłabym dwie rzeczy. Problem z Aitaną nie polega na tym, że sama technologia jest zła bądź firma zrobiła coś moralnie wątpliwego – z punktu widzenia marketingu

NIE DAJ SIĘ NABRAĆ AITANIE

AI zwraca uwagę na to, co jest w nas ludzkie

Z DR **NATALIĄ JUCHNIEWICZ**, FILOZOFKĄ Z WYDZIAŁU FILOZOFII
UW I EKSPERTKĄ Z ZAKRESU FILOZOFII
I SOCJOLOGII TECHNOLOGII, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

wykorzystali legalnie dostępne narzędzie i znaleźli sobie konsumentów. Jeżeli w szerszym sensie chcemy mówić o problemach etycznych i społecznych, to po pierwsze, można się zastanowić, czy wygenerowani przez AI influencerzy nie zlikwidują miejsc pracy dla całego sztabu fotografów czy stylistów. Jeszcze do niedawna wyobrażano sobie, że sztuczną inteligencją możemy zastąpić zadania automatyczne i powtarzalne, a praca kreatywna czy artystyczna jest dla nas przestrzenią bezpieczeństwa.

Drugą rzeczą, która jest problemem społecznym i moralnym, to oczywiście treści, jakie ten sztucznie wygenerowany influencer promuje, że reprodukuje różne stereotypy, podtrzymuje istniejące uprzedzenia czy wzorce, jak wspomniana przez pana wcześniej seksualizacja czy nieradne do spełnienia przez normalnych ludzi standardy idealnej cielesności. Publiczna dyskusja powinna dotyczyć tego, czy twórcy tego typu technologii powinni brać odpowiedzialność za społeczne i moralne skutki ich działalności. Taka debata w literaturze już trwa i zwraca się uwagę, że argument twórców, że bazują na uśrednionych oczekiwaniach ludzi oraz że atrakcyjna i zseksualizowana kampania jest podstawą marketingu, zazwyczajnie już nie wystarczą. Regulacje powinny opierać się na badaniach relacji ludzi i sztucznej inteligencji oraz brać pod uwagę interes społeczny, czyli jakie będą daleko idące konsekwencje tego typu technologii dla różnych zawodów i wspólnego funkcjonowania w społeczeństwie.

Skoro mowa o długofalowych konsekwencjach, to podsumujmy: mamy coraz większy problem z dezinformacją w internecie, nagraniami audio czy deep-fake'ami manipuluje się naszymi wyborami politycznymi, gospodarczymi, społecznymi czy w obrębie światopoglądu, a teraz dochodzi użycie AI w naszych wyborach konsumenckich. Czy internet, który te 30 lat temu miał demokratyzować i wyzwolić świat, dzisiaj stał się zmijowskiem, gdzie co chwila coś czyha, aby nas zmanipulować?

– Kształt obecnego internetu zmienił myślenie o nim jak o narzędziu do zarabiania pieniędzy. Mocno upraszczając, to właśnie ten zwrot doprowadził do tego, że żyjemy w bankach informacyjnych, że nie umiemy odróżnić prawdziwej informacji od fake newsa i ulegamy nagraniom typu deepfake. Prawdziwy problem polega na tym, że tych procesów nie da się już odwrócić. Owszem, staramy się na poziomie prawnym znajdować rozwiązania, które będą wymagały zgody konsumentów, np. pliki cookies czy wyrażanie zgody na agregowanie i przechowywanie naszych metadanych. Mamy też coraz większą świadomość społeczną, że jako użytkownicy social mediów nie jesteśmy członkami jakiejś sfery rzeczywistości publicznej, tylko jest ona oceniana i kontrolowana przez korporacje. Czyli nie jesteśmy w stanie cofnąć rozwoju technologii, która daje szeroki margines szkodenia czy krzywdzenia innych ludzi, natomiast możemy budować większą świadomość społeczną.

Sztucznie wygenerowani influencerzy czy AI są narzędziami, które są neutralne jak młotek czy łopata, a nasze skupienie powinno dotyczyć osób czy firm, które stoją

za ich wyprodukowaniem, trenowaniem i sposobami ich wykorzystywania. Musimy patrzeć przedstawicielom Big Tech na ręce, skąd pozyskują dane, co z nimi robią.

W zeszłym roku rozmawiałem na ten temat z profesorem Włodzisławem Duchem, również powiedział, że najlepszym rozwiązaniem byłoby po prostu twardy reset internetu, co jest oczywiście niemożliwe, więc musimy postawić na świadomość korzystania z niego i jak potencjalnie bronić się przed byciem oszukanym.

– Tak, ale wśród kompetencji społecznych nazywanych dzisiaj „kompetencjami cyfrowymi przyszłości” jest na przykład, niestety coraz trudniejsza do osiągnięcia, umiejętność krytycznego myślenia. Coraz więcej mówimy, że kompetencje przyszłości, które powinniśmy rozwijać wśród użytkowników internetu, mają pozwolić na krytyczne konfrontowanie się z rzeczywistością, nawet jeśli nie jest ona wygenerowana przez prawdziwych ludzi. Wtórne i poniekąd naiwne wydaje mi się stawianie pytania, czy coś, co wytworzyła sztuczna inteligencja, jest mniej prawdziwe, niż to, co zrobił człowiek. Z jednej strony zachwycamy się, że AI może uzupełnić luki w naszych badaniach, np. w obszarze fizyki czy chemii, wykonując w sekundę czynności, które ludziom zajęłyby mnóstwo czasu, a jednocześnie w społecznym odbiorze sztuczna inteligencja przedstawiana jest demonicznie jako siła, która nas oszukuje za pomocą np. fake newsów.

W dyskusji, co znaczy dzisiaj autentyczność, gubimy to, że sztuczna inteligencja jest cały czas obecnym aktorem społecznym, tyle że mało widocznym i działającym w tle, choćby w każdym portalu społecznościowym. Gdy ją dostrzeżemy w bardziej, powiedzmy, antropologicznie bliskiej nam postaci, jak np. Aitana albo jakiś robot, to pojawiają się kontrowersja oraz pewne poczucie zagrożenia. Takie pojedyncze przykłady nie dyskredytują całej sztucznej inteligencji, tylko pokazują, że może czasami być używana w niekoniecznie najbardziej szlachetnych celach, jak zarabianie pieniędzy w marketingu. Wiele osób boli, że z pomocą AI zarabia się na nas w internecie, a co gorsza, nie robi tego nawet jakaś prawdziwa postać, tylko awatar. Kluczową rzeczą nie jest poczucie, że my już nie wiemy, co jest prawdą, a co fałszem, ale pytanie, czy w jakikolwiek sposób stawialiśmy sobie wcześniej to pytanie.

Cruz twierdzi, że inne agencje reklamowe także chcą mieć wirtualnych influencerów, ponieważ – tak jak pani słuszenie zauważyła – oni są po prostu idealni: nie mają wymagań i są na każde skinienie. Zestawmy to z konkretnymi liczbami: według „Guardiana” tylko w 2022 r. influencerzy sprzedali towary o wartości 3,6 mld dol. W badaniu cytowanym przez brytyjski dziennik aż 54 proc. osób stwierdziło, że dokonało zakupu tuż po obejrzeniu produktu lub usługi na Instagramie. Z takiej perspektywy, jak wyposażyc młode pokolenie, żeby wiedziało, że to, co im się wyświetla w internecie, jest precyzyjnie zmontowaną kreacją, która ma otworzyć ich portfele?

Wszystko można uczynić produktem. Poporodowe rozstępy, które jeszcze kilka lat temu się ukrywało retuszem w Photoshopie, dzisiaj mogą być produktem marketingowym

– Coraz więcej osób, szczególnie młodych, nie ma telewizorów czy kabłówki, gdzie większość treści stanowią reklamy. Przenieśli się ze swoimi wyborami konsumenckimi do internetu, a tą samą ścieżką podążyli reklamodawcy, nie jest to niczym dziwnym. Jedyne nadzieje jest w tym, że kolejne pokolenia po prostu zauważą, że funkcjonowanie w internecie będzie wiązało się z kontrolowaniem konsumenckich potrzeb i rzeczywistym zastanawianiem się nad tym, czego potrzebujemy. Trudność polega na tym, że marketing oraz zarządzający nim specje też wiedzą o tych zmianach. Współczesne kampanie marketingowe nie są już tylko sprzedawaniem jakiegoś produktu lub usługi, ale to całe opowieści i historie wokół konkretnej osoby, a siłą influencingu leży w promowaniu pewnego lifestyle'u.

W którymś momencie odkryliśmy, że autentyczność również sprzedaje, a w internecie można znaleźć wiele osób, które cieszą się popularnością, a influencję uprawiają w naprawdę fantastyczny sposób. Chociażby Aleksandra Żebrowska, która pokazuje mniej romantyczną stronę macierzyństwa, na co reagują tysiące kobiet i „przy okazji” odpłatnie promuje produkty i usługi. No i zastanawiam się teraz, czy autentyczność wygenerowana za pomocą AI jest tą samą autentycznością?

– Nie, aczkolwiek większym problemem jest to, że w kapitalizmie i w tym, jak on pracuje na naszym stylu życia, wszystko można uczynić produktem. Tym samym np. popołudniowe rozstępy, które jeszcze kilka lat temu ukrywało się retuszem w Photoshopie, dzisiaj mogą być doskonałym produktem marketingowym. To samo dotyczy ludzkich lęków i obaw, które też można uczynić osiłą kampanią marketingową. Taki ogólny paradoks rozwoju kapitalistycznego polega na tym, że w jego obrębie jesteśmy w stanie zarabiać na wszystkim, co da się sprzedać. Już jakiś czas temu korporacje nauczyły się, że treści antykorporacyjne również da się sprzedać.

Ponad 1,4 mld dol., które łącznie zarobił film „Barbie”, krytykujący bezduszną korporację monetyzującą percepcję kobiecej fizyczności, poszły do bezdusznej korporacji monetyzującej percepcję kobiecej fizyczności, jaką jest Mattel, która ten film wyprodukowała. Prawdziwe perpetuum mobile.

– No tak. W ogóle obawiam się, że dzisiaj autentyczność jest przedsta-

wiana jako autentyczna tylko wtedy, gdy dana kreacja wpisuje się w logikę platformy, na której jest prezentowana. Niezależnie, czy promowany jest idealny kontent typu Aitana, czy nieidealne wpisy Oli Żebrowskiej, obie kampanie obowiązują te same standardy społeczności, np. Facebooka, oraz zasady funkcjonowania, czyli postowanie z konkretną regularnością, nagrywanie reel-sów, storiski itp. Czym innym jest treść, którą uznajemy za autentyczną, a czym innym forma, która jest nam narzucana przez social media i od której nie możemy się uwolnić.

Skoro więc nie resetujemy internetu, a jednocześnie przyszłość nieubłaganie przeniesie nas tam z tradycyjnych mediów, to co pani zdaniem jest dzisiaj największym wyzwaniem?

– Nie wylewałabym dziecka z kąpielą, a największym wyzwaniem jest budowanie relacji między człowiekiem a sztuczną inteligencją, którą uznalibyśmy za moralnie dobrą. Najłatwiej diagnozuje się rzeczy pod względem negatywnym, gdy coś jest problemem, np. gdy AI generuje szkodliwe dla społeczeństwa treści. Ważniejsze moim zdaniem jest budowanie sy-

tuacji, w których sztuczna inteligencja może nam asystować i naprawdę pomagać. Już dziś AI jest używana na przykład w budowaniu relacji z osobami w spektrum autyzmu. Może uzupełniać naszą wiedzę, ponieważ dzięki dobrze zadanemu pytaniu sztuczna inteligencja może zaważyć aspekty czy zjawiska, które przeoczyliśmy – również w obrębie krytycznego myślenia bądź tworzenia złożonych i nielogicznych dla człowieka form.

W pewnym sensie AI zwraca uwagę na to, co jest w nas ludzkie. Dzięki takim postaciom jak sztucznie wykreowany influencer paradoksalnie prowadzimy dyskusję nad autentycznością i być może zainteresujemy się np. kontami na Instagramie, które promują coś więcej niż wyidealizowane ciała trenerki fitness, i skupimy się na osobach, które mają coś ciekawszego do powiedzenia.

**A więc dzięki nieludzkiemu
może zwrócimy się ku temu
co ludzkie?**

– Myślę, że tak, bo rozwój technologiczny oparty jest na mechanizmie rekursywnym, to znaczy, że idziemy trochę do przodu po to, żeby potem zrobić krok w tył i znowu dwa do przodu. Ze sztuczną inteligencją w tym momencie jest trochę tak jak z internetem. Kiedyś wydawało nam się, że to wyłącznie demokratyczna emancypacja, a dzisiaj widzimy, że jednak nie do końca, ale nie zmienia to tego, że myślimy, jak ten internet zmienić i poprawić, czyli jak możemy dotrzeć do treści, które są dla nas wartościowe, gdzie znajdziemy rzeczywiście rzetelne dane czy jak walczyć z fake newsami.

Podobnie jest teraz z AI. W sferze nauki coraz częściej dyskutujemy, jak możemy twórczo korzystać z osiągnięć, które już zdobyliśmy, a jednocześnie nadać im inne cele społeczne, np. stworzyć nieskomercjalizowaną platformę wymiany myśli i poglądów, która będzie bezpieczna dla wszystkich użytkowników. ●

Finałowe Spotkanie Roku Mikołaja Kopernika

W więcej informacji na www.noweobroty.com

Bezpłatne wejściówki dostępne w Księgarni Urzędu Marszałkowskiego, Plac Teatralny 2, Toruń

Bilety na koncert Leszka Możdżera dostępne na Biletomat.pl

kurator dr Jan Świerkowski (Instytut B8I)

16.02

Koncert Pod Specjalnym Patronatem Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego

Centrum Kultury Dwór Artusa
Rynek Staromiejski 6

19:00 – 20:30

Koncert Art & Science Leszka Możdżera

Koncert na fortepianie dekonstrukcyjnym opracowanym przez zespół prof. dr hab. Pawła Nurońskiego z Centrum Fizyki Teoretycznej Polskiej Akademii Nauk

Bilety w cenie 120 zł do nabycia na Biletomat.pl

Przed koncertem odbędzie się rozmowa z prof. dr hab. Pawłem Nurońskim (Polska Akademia Nauk), prowadzenie dr Jan Świerkowski (Instytut B8I (P)) / CECC (P11)



17.02

Panel z okazji Roku Kobiet Odważnych ustanowionego przez Sejmik Województwa Kujawsko-Pomorskiego

Centrum Kultury Dwór Artusa
Rynek Staromiejski 6

16:00 – 17:00

Poszukiwanie życia we Wszechświecie, dyskusja z dr Mary A. Voytek

(Senior Scientist in Astrobiology at NASA), prowadzenie dr Pedro Russo (Leiden University (NL)) / Ciència Viva (P11)



18.02

Wykład pod Specjalnym Patronatem Instytutu B8I

Centrum Kultury Dwór Artusa
Rynek Staromiejski 6

17:00 – 18:00

Uwalniając pasję, twórczość i inteligencję dziewcząt, wykład dr H. C. Leymah Gbowee

(Laureatka Pokojowej Nagrody Nobla)



THE NOBEL PRIZE

17:00 – 18:00

Następna Rewolucja Kopernikańska, wykład prof. Avi Loeb

(Director of Institute for Theory & Computation, Harvard University), prowadzenie dr Jan Świerkowski (Instytut B8I (P)) / CECC (P11)



HARVARD UNIVERSITY

Wszystkie wydarzenia będą tłumaczone symultanicznie na język polski



NOWE OBROTY

Organizatorzy:

Patronat honorowy:

Patronat techniczny:

Partnerzy:

1231

1231

1231

Z **ALINĄ KILIAN**, STARTUJĄCĄ W ULTRAMARATONACH KOLARSKICH, ROZMAWIA **BORYS ALEKSY***

Na swoim blogu piszesz, że udział w Race Around Rwanda był przeżyciem ekstremalnym i wyczerpującym. Ale podobnie jak inni uczestnicy skupiasz się nie na trudnościach, rywalizacji, aspektach sportowych, tylko na ludziach.

– Bo to jest największy szok, który się przeżywa, jadąc przez ten kraj. Tam jest tak duże zagęszczenie ludności, że właściwie nie ma szans, by być samemu choć przez chwilę.

Na dłuższą metę to trudne do zniesienia. Oczywiście jazda przez Rwandę była też wymagająca z wielu innych, naturalnych powodów, jak choćby liczba podjazdów czy przez trudności terenowe. Ale wszechobecni ludzie byli największym wyzwaniem.

Biała, samotna kobieta na rowerze w środku Afryki. Jeśli podejdziemy do tego stereotypowo, brzmi jak zapowiedź samych kłopotów.

– Wyścig był trudny dla wszystkich, ale myślę, że dla kobiet dodatkowo. Ciągłe mijalam grupki mężczyzn, wieczorami często pijanych, których moja obecność bardzo intrygowała. Czasami któryś wsiadał na rower, doganiał mnie – i tak jechał obok albo za mną, bez słowa, nawet przez kilka kilometrów. Gdy próbowałam ich odgonić, nie reagowali. Białą człowieka dalej jest tam synonimem bogactwa i to widzieć, czuć – i pewnie długo się to jeszcze nie zmieni. Widać to w wioskach, ale i w dużych miastach, jak Kigali.

Czułaś się zagrożona?

– Na początku to wszystko było zaskakujące, dziwne i nieprzyjemne. Potem zrozumiałam, że tam się generalnie nic złego nie stanie. Zdałam sobie z tego sprawę trzeciego dnia wyścigu, gdy żołnierze z kałachami w rękach patrzyli, jak się przebiegam w lesie, a nie miałam majtek na tyłku, więc było naprawdę śmiesznie.

Tak, jestem przekonana, że tam nic złego nie może się stać. Tego trzeba spróbować, żeby zrozumieć.

Natomiast pierwszy kontakt z rwandyjską rzeczywistością może być szokujący i jeśli człowiek się do niej nie przyzwyczai przez pierwszy dzień, dwa, to może zrezygnować z dalszej jazdy. Masa uczestników tak właśnie zrobiła – nie poradzili sobie psychicznie z tym, co się działo dookoła nich. Wiem, że to był problem zwłaszcza dla kobiet. Bo tam naprawdę jest kłopot, żeby się normalnie wysikać! Słyszałam o tym wcześniej, ale przyznam, że nie wierzyłam. Dopiero gdy na trasie sikalam w obecności picu osób, rozumiałam, że nie było w tym przesady.

Dlatego dziewczyny nie dawały rady. W obawie przed tym stresem przestawały pić, a tak się przecież nie da jechać.

No i dzieci – ciągle za mną biegły, krzyczały. Prawdziwą furorę robiły moje tatuaże, których każdy chciał dotknąć. Po jakimś czasie ma się tego serdecznie dość.

A czy było coś, co cię pozytywnie zaskoczyło?

– Na pewno pogoda. Lecąc do Rwandy, byłam pewna, że będzie mi bardzo gorąco i że sobie przez to nie poradzę, tak jak to było na Trans Iberica. Tymczasem okazało się, że środkowa Afryka ma najlepszy klimat na świecie, przez cały czas było 25–29 stopni, częściowo zachmurzone niebo, pogoda idealna do jazdy na rowerze. Owszem, wilgotność większa niż u nas, ale właściwie to była zaleta, bo jakoś lepiej się oddychało.

Natomiast jazda szosami jest tam niebezpieczna. Choć asfalty mają przepiękne i wcale mnie nie dziwi, że w 2025 r. w Rwandzie zostaną rozegrane kolarskie mistrzostwa świata. Niemniej rowerzyści są tam dosłownie spychani na pobocze, mimo że jest ich niewyobrażalnie mało. Często byłam też upominana, żeby wyłączyć lampki w dzień.

Kierowcy zatrzymywali się i zwracali ci uwagę?



JAK TAM SIĘ WYSIKAĆ

Najlepszy klimat na świecie, wspaniałe drogi i żadnych batoników. Ścigałam się w Rwandzie na rowerze

– Tak, również inni rowerzyści. „Wyłącz światła, w dzień ich nie potrzebujesz, a przeszkadzasz kierowcom” – słyszałam często. Do tego te ich stare diesle bez przegładów, więc cały czas jedziesz w chmurze czarnego dymu. Tylko raz się czułam podobnie, to było w Albanii, w Tiranie.

A wyobrażałam sobie Rwandę jako afrykańską wersję Holandii – gęsto

zaludniony kraj, w którym rower jako ekologiczny środek transportu rozwiązuje większość problemów itd.

– Jeśli chodzi o liczbę rowerów, to chyba rzeczywiście jest podobnie. I sposób ich użycia, tzn. służą do transportowania przeróżnych, czasami wielkich przedmiotów. Ale nie ma tam szacunku dla rowerzystów. No i na rowerach jeżdżą w zasadzie wyłącznie mężczyźni. Kobiety chodzą pieszo, niosąc bagaż na głowie.

Czy przy tak bliskim i ciągłym kontakcie z ludźmi mogłaś skupić się na trasie i rywalizacji?

– W ogóle nie patrzyłam na licznik. I generalnie Rwanda była dla mnie powrotem do takiego ścigania, jakie najbardziej pokochałam na samym początku, czyli bez cyferek, bez patrzenia na komputer. Wydaje mi się, że wręcz zapocentrowałam, bo wyrzuciłam z głowy to, co mi się w niej pojawiło, od kiedy zaczęłam regularnie trenować i startować w wyścigach – wtedy zaczęło mi się wydawać, że zawsze muszę być pierwsza... Wiesz, tak jest, gdy wygrywasz to czy tamto, więc zaczynasz popadać w taką iluzję.

Mogę sobie wyobrazić, że popularność związana z prowadzeniem bloga i social mediów oraz współpraca ze sponsorem powodują dodatkową presję.

– Tak, to było trudne. Bolesnym zderzeniem z rzeczywistością stała się Trans Iberica, której nie byłam w stanie przejechać. Ciężkie przeżycie pod względem fizycznym, ale najbardziej cierpiałam psychicznie.

I teraz Rwanda okazała się przełomem, udało mi się pozbyć tego nastawienia. Przestałam w ogóle myśleć o tym, że się z kimś ścigam.

Pamiętam, jak byłam nad jeziorem Kivu, swoją drogą – obłędnym. Przejechałam tego dnia niecałe 100 km, czyli niewiele. Ale zobaczyłam taki zachód słońca, że mimo wszystko postanowiłam tam zostać i oglądać. Uświadomiłam sobie, że przecież zapisałam się na ten wyścig, żeby zobaczyć Rwandę. Gdybym te widoki jak z pocztówki pominęła na rzecz ścigania, byłabym uboższa o te wspomnienia. Potem na punkcie kontrolnym niedaleko jeziora nie spie-

FOT. MATT GRAYSON/ASSOS SWITZERLAND



RACE AROUND RWANDA

to 1000-kilometrowy wyścig etapowy dla amatorów. Od większości amatorskich czy profesjonalnych tourów różni go to, że nie jest podzielony na sztywne dzienne etapy, ale ma limit czasu – zawodnik musi dotrzeć do mety w sześć dni. Dzięki temu jest łatwiej, bo gorszy dzień, zatrucie, tzw. bomba – w slangu kolarskim gwałtowne odcięcie sił – nie eliminuje z rywalizacji, ale i trudniej – trzeba samemu rozplanować trasę, a potem na bieżąco modyfikować harmonogram, cały czas szacując siły i potencjalne przeszkody. Alina Kilian była trzecia wśród kobiet, jej przejazd trwał 123 godziny i 51 minut.

szylał się, spędziłam dużo czasu z innymi uczestnikami, mamy kontakt do dziś.

Potem przez dalszą część wyścigu czułam ulgę. A gdy to poczucie presji zniknęło, wyraźnie wzrosła moja efektywność, sprawniej jechałam.

Czy miałas więcej takich przełomowych momentów w rowerowym życiu? Dużo ostatnio rozmawiam z ludźmi o takich przemianach, czasami związanych z wiekiem.

Chyba nie chodzi o konkretny wiek, ale raczej o konkretne wydarzenia w życiu. Momenty, w których nagle przestajesz czekać na realizację marzeń. I w moim przypadku tak dokładnie było, przełom nastąpił, gdy zakończyłam długi związek, a potem poznałam obecnego męża Marka. To dzięki niemu zdałam sobie sprawę, że cały czas próbowałam wcześniej spełnić czyjeś oczekiwania, coś udowodnić. To Marek zachęcił mnie do startu w The Transcontinental Race. Przyszłam pewnego dnia do domu, mówiąc, że jest taki fajny wyścig. On na to: „A co stoi na przeszkodzie?”.

Ale jeździłaś wcześniej na rowerze?

– Tak, ale inaczej. Kiedyś jeździłam na rowerze górskim, ale tak naprawdę nie umiałam na nim jeździć. Teraz przestałam sobie wmawiać, że umiem.

To też są ważne przełomy, gdy człowiek sobie mówi: „Nie muszę skakać tych dropów”.

– To prawda. Kiedyś uważałam, że muszę jeździć w terenie, a ja temu nie mogłam sprostać. Odstawiłam rower kompletnie na dwa lata. Miałam tego serdecznie dość.

A potem pojawiła się szosa, która okazała się tym przełomem właśnie. Moje jeżdżenie zmieniało też decyzja o podjęciu regularnych treningów pod okiem trenera. To jedna z najbardziej dyscyplinujących rzeczy, jaka się człowiekowi może w życiu przytrafić. Wcale niełatwa. Trudno jest się poddać trenerowi, pogodzić z tym, że w zasadzie nie mogę sobie pojeździć dla przyjemności, bo mam zadany trening.

Zdałam sobie jednak sprawę, jak mocno to procentuje. Teraz staram się znaleźć równowagę między treningami a przyjemnością z jazdy. Pewne jest jednak, że gdyby nie regularne treningi, tobym tej Rwandy nie przejechała, bo to nie jest coś, co można zrobić bez przygotowania. Tak samo było z Pirenejami. Oczywiście mówię o przejechaniu wyścigu w limicie czasowym, bo przecież można to rozłożyć na odpowiednio długi czas, tak jak to zrobiłam na Transcontinental. Przejechałam trasę w 21 dni i to było jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu. Ale zmieścić się w limicie czasowym to zupełnie co innego.

Wracając do sceny nad jeziorem – pojechałaś na wyścig z nastawieniem na rywalizację i walkę, ale po ujrzeniu pięknego zachodu słońca zrozumiałaś, co jest dla ciebie naprawdę ważne...

– Tak. A w zasadzie ten reset nastąpił jeszcze wcześniej, już pierwszego dnia. Najpierw był pierwszy odcinek gravelowy [poza szosą, drogą szutrową lub lekko terenową]. Przepiękny! Zrobiłam tam mnóstwo filmów, zdjęć, relacji na social media, w których ogłaszałam, że jestem na najlepszym gravelowym wyścigu na świecie. Euforia trwała do drugiego odcinka specjalnego, na którym się przekonałam, że

to jest... najgorszy taki wyścig. W punkcie kontrolnym wszyscy pytali: „Gdzie ten gravel?”. Bo tam już zaczęła się typowa beskidzka terenowa rąbanka – tylko w innych krajobrazach. Więc to też już zmieniło moje nastawienie, gdy okazało się, jak bardzo rzeczywistość może różnić się z oczekiwaniami.

Ciekawe, że dobierając sprzęt, poszłaś pod prąd trendowi, czy jak kto woli, modzie. Bo zawodnicy amatorzy często kupują maszyny, jakich nie powstydziłby się zawodowy team ze światowej czołówki. Ty postawiłaś na rower z półki cenowej plus minus 10 tys. zł, nie 20 czy 30. Laika te cztery zera po jedynce zszokują, ale osoby bardziej zorientowane wiedzą, że po pandemicznym boomie rowerowym taka cena to żadna ekstrawagancja.

– To był mój pierwszy start w wyścigu gravelowym – i na rowerze gravelowym. Sprawdził się doskonale, nawet lepiej niż droższe rowery, na których jeździłam wcześniej. Do tej pory miałam typowe przekonanie, że im droższy, tym lepszy. W międzyczasie nauczyłam się, że rower musi być przede wszystkim dobrze dopasowany i to jest, moim zdaniem, znacznie ważniejsze niż klasa komponentów. Przekonałam się też, że na tym poziomie nie ma znaczenia, czy rama jest karbonowa czy aluminiowa.

A tak w ogóle to wiele osób wystartowało na rowerze górskim – i to był świetny pomysł. Bo w ultra chodzi jednak o to, żeby było wygodnie, a inne niuanse nie mają takiego znaczenia.

Ja nie mam doświadczenia w jeździe po górach. Nie zapomnę takich momentów, jak ten w nocy na wysokości 2900 m, gdzie uznałam, że po prostu nie dam rady zjechać. Gdy jednak usiadłam i przez chwilę się zastanowiłam, dotarło do mnie, że jeśli nie zjadę, to nikt się tam nie wdrapie, żeby mnie ściągnąć, więc mimo strachu ruszyłam. Przysięgam, że zdarzało mi się tam zamykać oczy i jechać w dół. To jest właśnie przekraczanie własnych barier i uświadomienie sobie, że człowiek jest w stanie robić różne rzeczy, o które by się nie podejrzewał. I dalej będę wszystkich gorąco namawiać, żeby robili takie głupie rzeczy.

Dużo jeździłaś w nocy?

– W Rwandzie zmrok zapada bardzo szybko, pod tym względem u nich jest przez cały rok tak jak u nas w zimie. Dlatego nie ma wyjścia, trzeba jechać po ciemku. Choć czasami trudno to było nazwać jechaniem, mam na myśli te sytuacje, w których prowadziłam rower przez kilkanaście kilometrów...

Pierwszej nocy spałam po 3-4 godziny, czyli więcej niż zwykle. Uważam, że to była dobra decyzja, nawet jeśli zabrała mi trochę czasu, bo w Rwandzie, w przeciwieństwie do Europy, nie da się, ot tak, przespać nocy na jakimś przystanku czy w rowie. Ludzi jest po prostu za dużo, natychmiast masz towarzystwo. Trzeba było więc szukać noclegu i to pochłaniało trochę więcej czasu niż zwykle. Ostatnią noc przejechałam w całości, meta była tak blisko, że już nie chciałam tracić czasu.

Jako właścicielkę bielskiej restauracji muszę cię spytać o rwandyjskie jedzenie.

– Było inne niż to, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni – trudno było znaleźć batony i tym podobne. Trzeba się nauczyć jeść to, co oni. Banany, awokado – najlepsze awokado, jakie jadłam, trzy razy większe niż u nas, maślane. Mają świetne samosy z ziemniakami i czymś à la szpinak, ostro przyprawione. I pyszne mleko waniliowe. Oni w ogóle żyją mlekiem, jest wiele milk barów. Trzeba też się przygotować na to, że jedzenia nie dostanie się szybko, bo jest zawsze przygotowane ze świeżych składników.

W kwestii jedzenia trzeba zweryfikować swoje oczekiwania. Spotkałam chłopaka po drodze, który w sklepie w wiosce poprosił o colę z lodówki, pani na niego patrzyła jak na kosmitę, a on z kolei nie mógł zrozumieć, że tej lodówki tam nie ma.

Jest taki wiek albo moment, kiedy nagle przestajesz czekać na realizację marzeń.

Wtedy pojawia się rower

Jakie widzisz różnice między RAR a wyścigami ultra w Europie?

– To się głównie wiąże z ludźmi. W Rwandzie są bardzo pomocni. W Europie, jeśli złapiesz gumę, rzadko się zdarza, żeby ktoś stanął, pomógł i jeszcze został, żeby się upewnić, że dasz sobie radę.

Ja złapałam raz kaptur po ciemku. Nagle koło mnie znalazło się dwóch małych lepków, 7-10 lat. Stali i patrzyli, nawet mnie to zdenerwowało, więc im powiedziałam, żeby sobie poszli, ale oni dalej stali. A ja nie najlepiej sobie radziłam, bo mam trochę uszkodzoną rękę. Oni, widząc to, bez słowa wzięli to koło i zdjęli oponę, potem pomogli założyć. Żebyś widział ich miny, gdy zobaczyli, jak działa nabój CO2!

Kolejne fajne zaskoczenie: to, jak sobie radziłam na wysokości. Jechaliśmy większość wyścigu na wysokości 2600-2900 m. W Europie, nawet jeśli wjedziesz na wysoką alpejską przełęcz, to jesteś tam tylko przez chwilę, a tu mówimy o ciągłym przebywaniu na tej wysokości. Świetnie się tam czułam. Co ciekawe, u nich na tej wysokości jest mnóstwo zieleni, tam rośnie kawa, herbata.

Czy po tym wyścigu chciałbyś już jeździć tylko po Afryce, czy jednak traktujesz to tylko jako egzotyczny wybryk i ciekawe wspomnienie?

– Afryka sprawiła, że chcę pojechać jeszcze dalej. ●



FOT. TWITTER.COM/BORYSALEKSY

*Borys Aleksy

• dziennikarz, założyciel i redaktor naczelny „Szosy” – czasopisma o wiecznej podróży, marzeniach, kulturze, tradycji, wzornictwie, przygodzie i stylu życia (czyli o kolarstwie). Wszystkie numery w formie klasycznej i cyfrowej można znaleźć na Magazynszosa.pl oraz w wybranych sklepach rowerowych i kawiarniach.



weekendówka
89

MORZE, NASZE MORZE

7 lutego 1939 roku do portu w Gdyni przyłynął ORP „Orzeł”, już pod polską banderą, którą na jednostce podniesiono pięć dni wcześniej, w stoczni De Schelde w holenderskim Vlissingen.

To było oficjalne wejście najsłynniejszego polskiego okrętu podwodnego do służby, acz uroczystość powitania jednostki, uświetniająca obchody Święta Marynarki Wojennej, odbyła się 10 lutego, w gdyńskim basenie przy skwerze Kościuszki. Okręt witali m.in. generał Kazimierz Sosnkowski – którego małżonka, Jadwiga, była matką chrzestną jednostki, szef Kierownictwa Marynarki Wojennej kontradmirał Jerzy Świrski oraz dowódca Floty, kontradmirał Józef Unrug. A także, jak relacjonowała wówczas prasa, ok. 30 tys. osób. Zresztą budowa „Orla” była w dużej mierze możliwa dzięki licznym społecznym zbiórkom funduszy, które przyniosły 8,3 mln zł. Całkowity koszt budowy wyniósł przeszło 20 mln zł.

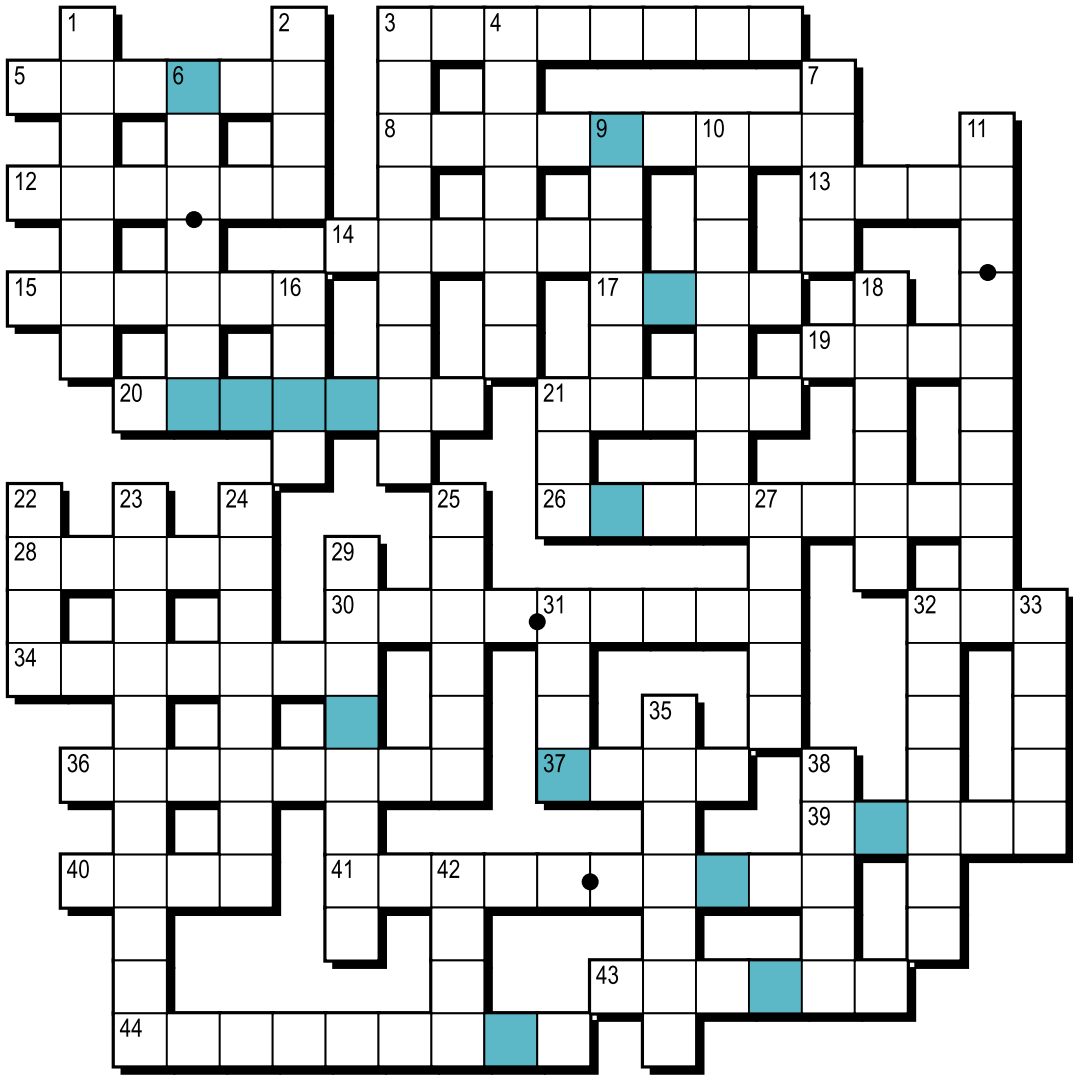
Dowódcą „Orla” został komandor podporucznik Henryk Kłoczkowski (po internowaniu okrętu w Tallinie, 14 września, i wysadzeniu komandora na ląd – skarżył się na zły stan zdrowia – dowodzenie przejął jego zastępca, kapitan Jan Grudziński). Jednostka została włączona do Dywizjonu Okrętów Podwodnych, w którego skład wchodziły też ORP „Wilk”, ORP „Ryś”, ORP „Żbik” i ORP „Sęp”. Z tej liczby jedynie „Orzeł” i „Wilk” zdołały dotrzeć do Wlk. Brytanii i kontynuować walkę z Niemcami. Pozostałe jednostki zostały internowane w Szwecji, gdzie pozostały do końca wojny.

„Orzeł”, po brawurowej ucieczce z Tallina, 14 października dotarł do portu Rosyth w Szkocji. Pod koniec 1939 roku rozpoczął regularne patrole wraz z okrętami brytyjskimi (otrzymał numer burtowy 85A). 8 kwietnia 1940 roku polscy marynarze zatopili niemieckiego transportowiec „Rio de Janeiro”, transportujący żołnierzy i sprzęt, mające zostać desantowane w Bergen, w ramach hitlerowskiej inwazji na Norwegię.

23 maja 1940 roku „Orzeł” wypłynął na swój ostatni patrol. Dzień później dotarł do wyznaczonego sektora na Morzu Północnym, ale rozkazów wysłanych 1 i 2 czerwca już nie potwierdził. 8 czerwca miał zawinąć do bazy w Rosyth. Nie pojawił się, nie odpowiadał też na radiowe wezwania. 11 czerwca w oficjalnym komunikacie podpisanym przez kadm. Świrskiego stwierdzono, że „okręt podwodny Rzeczypospolitej Polskiej »Orzeł« uważać należy za stracony”.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, w rocznicę tego uroczystego powitania „Orla” w Gdyni, które okazało się wielkim świętem polskiej floty, poświęcamy więc sławnym okrętom, statkom oraz ich kapitanom i marynarzom w ogólności. Ahoj! ●

Andrzej Kulasek andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 88 z 3.02:

- Poziomo:**
3) muzea 5) Sezam
7) Komnata 10) kopalnie
11) pociąg 12) Jones
13) Martens 14) Cage
17) Środa 20) Lotto
22) Indiana 23) jabłka
25) runo 26) Adolf Dymsha
28) carat 30) Nowicki
32) archeolog 37) jezioro
38) flotylla 40) rzeka
41) Gollum 42) diament

- Pionowo:**
1) szmaragd 2) Marczak
3) majątek 4) eksponat
5) smok 6) monety
7) Klejnot Nilu 8) mapa
9) dziecko 15) Graal
16) dziedzic 18) Arka
19) państwo 20) Lara Croft
21) Troja 24) Adak 27) bibliści
29) tęcza 31) Order
33) Robert 34) elf
35) morze 36) Plaut 39) Oko

HASŁO:
MOJE ELDORADO

KAPITANIE,
MÓJ KAPITANIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
3) statek z filmu, w którym wystąpił Gene Hackman (1972 r.)
5) rosyjski krążownik zatopiony przez Ukraińców 14 kwietnia 2022 r.
8) przyładek kojarzony z admirałem Nelsonem
12) „Bunt na ...”, z Melem Gibsonem
13) ... Noego
14) film taki jak „Statek widmo” Steve’a Becka
15) Leonid, pierwszy Polak, który samotnie opłynął kulę ziemską

- 17) jacht 15 poziomo
18) okręt 21 poziomo
20) zostawcie, nie wyciągajcie go
21) szef wyprawy po złote runo
26) żaglowiec, na którym koloniści z Anglii przybyli do Ameryki Północnej (1620 r.)
28) cel Odysa wracającego z wojny trojańskiej
30) w 2021 r. zablokował Kanał Sueski
32) „... i władca: Na krańcu świata” (Russell Crowe jako kapitan na statku „Surprise”)
34) amerykański pancernik zatopiony podczas ataku na Pearl Harbor
36) Ferdynand, jako pierwszy opłynął świat
37) „Jan Heweliusz”
39) „Dallas” – USA, „Czerwony Październik” – ?

- 40) Długi ... Silver, pirat z „Wyspy skarbów”, przywódca zbuntowanej załogi „Hispaniola”
41) jeden ze statków Kolumba z wyprawy w 1492 r.
43) „Latający Holender” lub
44) żaglowiec, na którym James Cook dotarł do wybrzeży Australii (1770 r.)

- Pionowo:**
1) jacht, na którym Krzysztof Baranowski opłynął świat
2) „... Celeste”, brygantyna, której załoga zniknęła bez śladu (1872 r.)
3) pancernik z filmu Siergieja Eisensteina
4) Jack, kapitan „Czarnej Perty”, którą przejął Barbossa
6) zbudowana przez Thora Heyerdahla

- 7) statek z ekspedycji polarnych Nansena i Amundsena
9) „bogini” rewolucji październikowej
10) „Wilhelm ...”, niemiecki statek zatopiony w 1945 r. (zginęło ponad 6 tys. osób)
11) żaglowiec, statek muzeum w Gdyni
16) kapitan „Pequoda” ścigający Moby Dicka
18) zbudowana przez Thora Heyerdahla
21) Lord ..., uciekł z tonącej „Patny”
22) jeden ze statków Kolumba z wyprawy w 1492 r.
23) rządzą z mostków
24) pierwszy okręt liniowy o napędzie parowym (Francja, 1852 r.)
25) „... Batory”, z Kargulem i Pawlakiem na pokładzie

- 27) radziecki lodołamacz „rewolucyjny” z napędem jądrowym
29) ci od żółtej łodzi podwodnej
31) Forrest, swój kuter do połowu krewetek nazwał „Jenny”
32) okręt wojenny „ORP Gen K. ...” (fregata od USA)
33) wiele zawdzięcza wyprawie Darwina na statku „Beagle”
35) Disco ..., luksusowy jacht z filmu „Operacja Piorun”
38) sir Francis, XVI-wieczny korsarz
42) pierwszy na „Nautilusie”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byłe do

weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play